

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. REUTERS/ALEXANDER KAZAKOV

**UJAWNIAMY, CO ROSJANIE
ROBIĄ W POLSCE**
W samorządach, na uczelniach,
wśród nastoletnich chłopców
rozmowa z prof. Ireną Lipowicz ► 10



**WYSOKIE
OBCASY**
Kolor, który
odpędza
obsesje i lęki

MAGAZYN
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Witamy nowego prezydenta

- Jak sobie siebie wyobraża • Co robi
- Czy dogada się z Tuskiem ► 2-8

ISSN 0860-908X
9 770860 908167

3 2>

Faceci po 40.
Dokąd uciekają
z psychoterapii
► 21

Chłopki piszą
Aborcja od ręki,
dentysta od święta,
wstyd non stop ► 27

**Myslovitz, Lao Che, Brodka? Dawid
Podsiadło? A może...**
Kompakty, winyle, kasety kręcą młodych.
No to wybierzmy polską płytę 25-lecia ► 24

FOT. SHUTTERSTOCK

Wiktor Dyduła Piosenka ma być radosna

Nawet jeśli jego nazwisko nic wam nie mówi, to kojarzycie charakterystyczny wąs a la Dali i hit „Tam słońce, gdzie my”.

Po wpisaniu w Google „Wiktor Dyduła” wyskakują podpowiedzi: „Skąd się wziął”. Otóż z Przywidza, wsi nad kaszubskimi jeziorami. Gitarę pokazało mu rodzeństwo, w gimnazjum odkrył taniec, w liceum założył zespół. Grywał na ulicach Sopotu i w gdańskich knajpach, aż postanowił sprawdzić się w talent show. Dał sobie ostatnią szansę. „Byłem kelnerem i chciałem więcej robić ze swoją muzyką. Ale nie znałem ludzi z branży”.

W 2021 r. wystąpił „The Voice of Poland”. Był czwarty. Single „Pal licha!” i „Kolo fortuny” zaczęło grać radio. A potem napisał „Tam słońce, gdzie my” i dobił do 22 mln odsłon na YouTube. „Tata odszedł, kiedy miałem 14 lat – opowiada w PAP Life – chciałem opisać myśl, że warto doceniać wszystkie chwile, w których jesteśmy z bliskimi. Czasem ktoś podchodzi i mówi, że to ważny dla niego tekst”.



FOT. JAKUB WŁODEK

Lecz dominującą emocją w tekstach Dyduły nie jest melancholia. „W Polsce wciąż brakuje pozytywnych piosenek” – mówił Interii. Na drugiej płycie – „Tak jak tutaj stoję” – właśnie takich, radosnych i tanecznych, nie brakuje. Nie są to utwory trwale zmieniające scenę muzyczną. To po prostu – i aż – przebojowy pop, który pozwala świetnie się bawić na koncertach. Bo to tam można doświadczyć charizmy i energii Wiktora Dyduły. Na przykład już w piątek 15 sierpnia na Olsztyn Green Festival.

Małgorzata Muraszko
• Więcej o najciekawszym festiwalu lata
► [Olsztyn.wyborcza.pl](https://olsztyn.wyborcza.pl).

SZOT

Andrzej rysuje



• Czego prawica nie wie albo udaje, że nie wie, o relacji Piaseckiego i Miłosza? Więcej ► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Książka-klucz

Każdy zasługuje

Przemytnik, kokainista, agent wywiadu, maskotka salonów

7 sierpnia 2024. Dwóch mężczyzn siedzi przy kawiarnianym stoliku. Ten z prawej ma na sobie garnitur, czarne skórzane buty. Noga założona na nogę. Ten z lewej ubrał się wakacyjnie. Czarna koszulka, krótkie obcisłe dżinsy sprawiają wrażenie, jakby ich szwy miały pęknąć. Do tego nerka i klapki. Choć tak wiele ich dzieli, to łączy ich literatura. Trzymają egzemplarz książki.

Zdjęcie wrzucił do sieci ten w klapkach. To Patryk Masiak, właściciel firmy remontowo-budowlanej Budo Bu. Znany też jako Wielki Bu i Buła przestępca skazany za porwanie kobiety. Mężczyzna w garniturze to Karol Nawrocki, prezes IPN i „obywatelski” kandydat na prezydenta. Też posługujący się pseudonimem. Tadeusz Batyr. „Mądrego to zawsze dobrze posłuchać, a jeszcze miło jak przychodzi z prezentem”, pisze Patryk pod zdjęciem. Za chwilę wyjedzie z kraju. W Dubaju czeka na efekty procesu, w którym zarzuca mu się udział w gangu sutenerów. Karol będzie walczył do końca i zostanie siódmym prezydentem Polski. Relacji Karola i Patryka media poświęcą dziesiątki artykułów. A książka?

To „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” Sergiusza Piaseckiego. Wydana w 1937 r. powieść ma w niektórych kręgach status kultowej, a jej urodzony w 1901 r. autor wyrasta na literacką ikonę prawicy.

Ewa Tomaszewicz jeszcze kilka lat temu była jedną z najbardziej rozpoznawalnych polskich aktywistek LGBT. Razem z partnerką, Małgorzatą Rawińską, walczyły o wprowadzenie równości małżeńskiej. Dziś jest częściej widywana na tle ścianki wspinaczkowej niż tęczowej flagi. – Jestem historyczką literatury, wnuczką Sergiusza Piaseckiego i opiekuję się spuścizną po dziadku – mówi.

Biografia Piaseckiego jest fascynująca. Przyszedł na świat w guberni mińskiej jako syn zrusyfikowanego szlachcica i Białorusin. W domu rozmawiano wyłącznie po rosyjsku. Już jako nastolatek został aresztowany za „zbrojny atak” na inspektora klasy. Uciekł z transportu więziennego i wyjechał do Moskwy, gdzie zastała go rewolucja. W rewolucyjnej zadymie wyjechał do Mińska i dołączył do oddziałów walczących o niepodległą Bia-

loruś. Gdy Białorusinów rozbili Sowieci, dołączył do polskiej Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Wziął udział w obronie Warszawy.

18 marca 1921 Polska podpisała traktat ryski. „Pokój zawarty z bolszewikami był początkiem mojej klęski. Czulem, że jestem oszukany”, wspominał.

Po demobilizacji, bez wykształcenia i majątku, wiódł życie drobnego przestępcy. Rok później został agentem polskiego wywiadu. Zajęcie mało lukratywne, dlatego zajął się przemytem. Uzależnił się od szmuglowanej kokainy. Gdy po jednym z napadów został aresztowany, dostał karę śmierci. Wybroniła go przeszłość i prezydent Mościcki, który zamienił mu „czapę” na 15 lat więzienia. Przenoszony z placówki do placówki, za wszczynanie buntów w obronie więźniów trafił do Więzienia Ciężkiego na Świętym Krzyżu.

W najgorszych kazamatach II RP, które przeszedł też Stepan Bandera, Piasecki odkrył literaturę. W krakowskich „Wiadomościach Literackich” natrafił na ogłoszenie o konkursie dla początkujących literatów. W 1935 r. napisał „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”.

„Skazany na śmierć autorem najnowszej powieści polskiej. Sensacja w świecie literackim” – donosił brukowiec „5-ta rano”, na którego winiecie widniał dopisek: „bezpartyjny dziennik żydowski”. Recenzent Stefan Pomer był zachwycony. „Książka ta zdradza wielki, pierwszorzędnny talent rasowego, urodzonego prozaika”.

„Kochanek...” ukazał się nakładem Roju, którym kierował Melchior Wańkowicz. Najbardziej wpływowego pisarza II RP, na początku lat 20. kierownika rządowej propagandy – dostrzegł talent skazańca. W prasie ukazał się apel Stanisława Cata-Mackiewicza, poczytnego redaktora konserwatywnego dziennika „Słowo”, o uwolnienie Piaseckiego. „Czy sens jest, aby ten człowiek, podobno gruzlik, zdechł tam w więzieniu, w ciągu tych czterech lat, które mu pozostały”. „Wskrzęś człowieka”, apelował do Mościckiego. Kilka tygodni później Piasecki był na wolności.

„Żyliśmy jak królowie. Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy

REKLAMA

Kraj/34389590

LOTTO

LOTTERIADA
na 70-lecie
Totalizatora Sportowego

PONAD 4900 NAGRÓD

7 × TOYOTA Aygo X

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na **lotto.pl**

Szczegóły i regulamin na lotteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 25 czerwca do 31 sierpnia 2025 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

do prezydenta

na drugą szansę?

Karol Nawrocki chciałby być jak jego ulubiony pisarz?

po złotym dnie. Placiliśmy złotem, srebrem i dolarami. Placiliśmy za wszystko: za wódkę i za muzykę. Za miłość placiliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść”. To najsłynniejszy cytat z „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”.

Narratorem jest bezrobotny Władek Łabrowicz, który z Wilna – za namową przewodnika przymytników – przyjeżdża do przygranicznego Rakowa. Zostaje schwytany przez wroga. Ucieka z transportu na zsyłkę, łapie go polska policja, znowu ucieka. Czuje się jak zaszczute zwierzę.

„Kochanka...” czytano jako powieść przywracającą pamięć o ofiarach wojny polsko-bolszewickiej. Takich jak Piasecki – zdemobilizowanych mężczyznach, których jedyną przyszłością była przestępczość. A dla towarzystwa, panów i pań z Krakowa, Warszawy, Lwowa była to powieść „pokazująca nam więcej niż egzotykę obcą, bo część naszego własnego »My«”, jak pisał Pomer. „Przeżeni jesteście tą nowością, bo ktoś mógł wiedzieć z literatury, jak wygląda wschodni obrąbek naszego kraju pod spodem?”.

Książka odniosła sukces nie tylko w Polsce. Już w 1938 r. ukazały się przekłady na szwedzki i angielski. W czasie wojny wyszła w Danii, Norwegii, Francji i we Włoszech.

2024 był rokiem Piaseckiego. W 60 rocznicę śmierci pisarza IPN zorganizował konferencję naukową o jego twórczości i doprowadził do finału digitalizację archiwum pisarza, które udostępniła IPN wnuczka.

– To przedziwne, bo dzięki Piaseckiemu poznałam i Grzegorza Brauna, i Karola Nawrockiego. Braun przed laty robił dokument o Piaseckim. W filmie wypowiadały się dwie osoby. Ja i Szczepan Twardoch.

Tomaszewicz jest wdzięczna IPN. – Przez lata chodziłam po różnych instytucjach i archiwach, próbując je zainteresować spuścizną Piaseckiego. Dopiero IPN zajął się tym kompleksowo. W kilka miesięcy zrobili to, co próbowałam zrealizować od wielu lat.

– Doskonale wiedzieli, kim jest wnuczka pisarza. Podczas jednego ze spotkań dostalam nawet prezenty – dla mnie i dla Gosi.

Dlaczego Piasecki tak fascynuje prawicę? – Każdy sobie z niego bierze to, co mu pasuje – zauważa wnuczka. – Dla nich mój dziadek jest symbolem antykomunisty, patrioty, pisarza niezłomnego.

– Na konferencji padały wielkie słowa, ale coś mnie w nich uwierało. Patriota, pisarz doświadczony przez opresyjne systemy, antykomunista. Coraz mniej był człowiekiem, a coraz bardziej stawał się symbolem. Siedziałam między innymi obok Sławomira Cenckiewicza. Zaczęłam opowiadać o dziadku jako o człowieku. Panowie wydawali się zdziwieni. A przecież mówimy o chłopaku, który dorastał bez matki, praktycznie nie miał dzieciństwa, dorastał na wojnie i w więzieniu. Właściwie nigdy nie miał domu.

Tomaszewicz zdziwiła się, gdy przyszedł prezydent stwierdził, że choć w twórczości jej dziadka trudno znaleźć ślady duchowości, to przeszedł przemianę, która sprawiła, że z człowieka ze skomplikowaną przeszłością stał się niezłomnym patriotą. – Skoro nie można znaleźć śladów, to może zawsze był tym, kim był, zmieniała się za to rzeczywistość?

Często można spotkać informację, że Piasecki był w AK. – To nieprawda. On nie lubił się zrzeszać, miał w sobie głęboką nieufność do jakiegokolwiek instytucji władzy. I ogromną sympatię

do półświatka przestępczego, który po demobilizacji w 1921 r. był dla niego jedynym oparciem, gdy wszystko inne go zawiodło.

Nietrudno zrozumieć fascynację prezydenta autorem „Kochanka...”. Prawica od dawna stawia na przypomnianie historii ludzi, których zawiodł system – od „żołnierzy wyklętych”, przez ofiary komunistycznych represji, aż po bohaterów walki z „lewackim establishmentem”. Odwołuje się tym samym do wciąż obecnej w społeczeństwie traumy zapaści przełomu lat 80. i 90. To wtedy dla wielu młodych ludzi quasi-przestępcze ugrupowania stały się jedyną szansą na lepsze życie. Antykomunizm Piaseckiego i jego spór z intelektualną elitą uprawomocniają i wzmacniają ten etos.

Karola Nawrockiego wyraźnie fascynuje historia ludzi „z marginesu”. Napisał przecież – pod pseudonimem – biografię Nikodema Skotarczaka, „ojca chrzestnego trójmiejskiej mafii”, jako historyk zajmował się przestępczością zorganizowaną schyłku PRL, badał działalność gangów złodziei samochodów, tzw. autoband, w latach 80.

„Wszystkie okoliczności złożyły się na to, aby mnie do zbrodni skłonić, natomiast nie było żadnych, które by mnie od niej powstrzymały”, pisał Piasecki w podaniu o ułaskawienie.

Gdy ukazał się „Kochanek...”, wileńska nauczycielka, Maria Godlewska napisała, że „poznanie duchowości przestępczej w naszym narodzie to sprawa niezmiernie wagi”. Lecz „kolportowanie ich w setkach tysięcy egzemplarzy budzi poważne obawy dalszego pogłębiania się kryzysu w naszych poglądach na życie, jego właściwe cele i drogi, któremi się je osiągnąć powinno”.

Czyżby Nawrocki wierzył, że w gangsterach tkwi gołębia dusza? Będzie wspierał „obrońców granic” i neonazistów? Usprawiedliwia przestępców, jeśli wierzą w większe, państwowe dobro? Chce być jak Mościcki i uniewinnić swojego Piaseckiego? Uważa, że każdy zasługuje na drugą szansę? A może to jego własna historia?

Wojciech Szot

Kod dostępu
do Wyborcza.pl



Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Sztambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Sztambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. Dz. 2 Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. Dz. 3 Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. Dz. 4 Sztambuł na własną rękę. Dz. 5 Powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy 23/04 2026,

28/05 2026 | od 4.298,-



Swingujące Południe USA: Teksas i Luizjana

Magiczna podróż przez Teksas i Luizjanę, od pomnika JFK w Dallas przez wpisane na listę UNESCO hiszpańskie misje San Antonio aż po tętniący jazzem Nowy Orlean.



Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Dallas, Teksas, USA. Dz. 2 Dallas – Austin. Wycieczka po Dallas z pomnikiem JFK i spędzanie w prawdziwie teksańskim stylu. Dz. 3 Austin i San Antonio. Zwiedzanie światowej stolicy muzyki na żywo i hiszpańskie misje w San Antonio wpisane na listę UNESCO. Dz. 4 San Antonio – Houston. Alamo i San Antonio River Walk. Dz. 5 Houston – Lafayette. Centrum Kosmiczne NASA w Houston i wizyta w rejonie połowów raków w Luizjanie. Dz. 6 Lafayette – Houma. Katedra w Lafayette, skansen Vermillionville, wizyta w fabryce Tabasco i na farmie aligatorów. Dz. 7 Houma – Nowy Orlean. Houma – stolica krewetek, wycieczka po bagnach, wizyta na plantacji i zwiedzanie Nowego Orleanu. Dz. 8 Nowy Orlean. Spacer po Dzielnicy Francuskiej i rejs jazzowy po Missisipi z kolacją (opcjonalnie). Dz. 9 Nowy Orlean – Montgomery. USS Alabama i zakupy w centrum outletowym. Dz. 10 Montgomery – Atlanta. Podróż powrotna. Dz. 11 Przylot do Polski.

11 dni | Wyloty z Warszawy 06/10 2025, 11/05, 14/09 2026

16.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, Sp.

Kod reklamy: GW22

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Z PSYCHOLOGIEM **PAWŁEM DROŹDZIAKIEM** ROZMAWIA
KRYSTYNA ROMANOWSKA

KTO PIERWSZY MRUGNIE

Polityk wie, że jego konkurent rozumie go lepiej niż większość jego sympatyków

KRYSTYNA ROMANOWSKA: Szóstego sierpnia to moment, w którym dwie role polityczne muszą się spotkać. Nawet jeśli aktorzy prywatnie nie zrobiliby razem herbaty. Dogadają się ci dwaj faceci: młody bokser Nawrocki i stary piłkarz wspinacz Tusk?

PAWEŁ DROŹDZIAK: Dogadać się pewnie nie dogadają, ale swoje role w czasie ceremonii odegrać muszą, i o tym wiedzą chyba obaj. Ten teatr nie polega na tym, że się lubią, ale na tym, że nie wolno im sobie pozwolić na konflikt, który naruszy ramy instytucji. A my czekamy, czy któryś wypadnie z roli, trochę tak jak w cyrku, czy lew pożre tresera, albo czy linoskoczek spadnie z dużej wysokości.

Jak to jest: stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który jeszcze niedawno mówił o tobie „najgorszy premier po 1989 roku” – i uścisnąć mu rękę. Uśmiechnąć się do kogoś, kto chwilę wcześniej nazywał cię alfonsem?

– W polityce nie premiuje się okazywania prawdziwych emocji. Uczucia polityka pozostają jego prywatną sprawą – nikt się nimi nie zaopiekuje, nikt ich nie uniesie za niego. Publiczne odsłonięcie emocji to w jakimś sensie apel o opiekę.

A przecież to polityk ma być tym, który niesie odpowiedzialność, opiekuje się innymi – nie odwrotnie. Jeśli wyborcy wyczują, że polityk pragnie zamianować rolę, że szuka współczucia czy zrozumienia, pomogą mu to życzenie spełnić – i natychmiast odebrać mu autorytet oraz władzę.

Ale – jako widzowie – chcielibyśmy tę słabość zobaczyć: groźnie zmrużone powieki, grymas na twarzy, unikanie się, niepodanie ręki.

– Może dlatego, że coraz trudniej o dobrego polityka: mamy modę na odgrywanie dramatów. Płaczliwe filmiki na TikToku, emocjonalne monologi, rozdmuchane narracje – oglądamy postacie, które potrafią wzbudzać naszą sympatię, czasem utożsamiamy się z ich tragediami, czasem nas bawią lub irytują.

Ale nigdy, przenigdy nie powierzmy im odpowiedzialności za swój los. Te postacie mogą nas przekonać, by kupić jakiś produkt, wiemy, że są emocjonalnie niestabilne. Jeśli ktoś publicznie dzieli się każdą emocją i traktuje swoje uczucia jak kompas, możemy czerpać przyjemność z oglądania jego show – ale nie zaufamy mu jako liderowi. Nie zainwestujemy w kraju, w którym taki ktoś miałby kierować. Bo wiemy, że nie można na nim polegać.

Dlatego w polityce – zwłaszcza na pozycjach przywódczych – szukamy raczej ludzi spokojnych, wyważonych, takich, którzy nie prowokują niepotrzebnych konfliktów, ale jednocześnie emanują pewnością siebie. Ludzi, którzy potrafią zdystansować się od własnych emocji i działać mimo nich.

Nic nie jest dla polityka bardziej niszczące niż historyczna ekspresyjność i emocjonalny subiektywizm. Polityk nie musi być gwiazdą. Ale musi być kimś, kto potrafi unieść odpowiedzialność – za wszystko.

Rozumiem, że jeśli ktoś zaszedł tak wysoko, że uczestniczy w ceremonii zaprzysiężenia prezydenta, to niezależnie od reprezentowanej strony politycznej musiał doskonale zrozumieć mechanizmy, o których tu mówimy. I nawet swoją samowatość alfa włożyć głęboko do kieszeni.

– Wbrew pozorom politycy często mają więcej wspólnego ze sobą nawzajem niż z własnymi zwo-

lennikami. Grają w tę samą grę – choć w przeciwnych drużynach. Dlatego potrafią się serdecznie przywitać, nawet jeśli jeszcze wczoraj toczyli zacięłą walkę na oczach opinii publicznej.

Najwięcej zrozumienia polityk znajduje nie w oczach wyborców, lecz w oczach przeciwnika?

– Dla części wyborców to bywa rozczarowujące. Ale polityk wie, że jego konkurent rozumie go lepiej niż większość jego sympatyków. I czasem to właśnie z konkurentem łatwiej jest mu się porozumieć – bo łączy ich wspólne doświadczenie.

Bo my mamy naturalną skłonność do szukania ludzi, którzy są do nas podobni w sprawach fundamentalnych. A najgłębsze pokrewieństwo nie zawsze dotyczy poglądów. Częściej: sposobu działania, odporności psychicznej, relacji z emocjami, stosunku do władzy i odpowiedzialności.

Czy naprawdę łączy nas to, w co wierzymy – czy raczej to, jak radzimy sobie z własną słabością?

– Najważniejsze jest więc nie to, co ktoś myśli o tym czy owym. Dużo ważniejsze jest to, jaki jest.

Gdzie leży granica między autentycznością a afektem? I czy wyborcy w ogóle potrafią ją jeszcze dostrzec?

– Warto rozróżnić dwie rzeczy: nadmiarową ekspresję emocji i autentyczność. To nie to samo. Nadmierna emocjonalność może przyciągać uwagę – i często tak właśnie działa. Ktoś może mówić głupstwa, przesadzać, grać na emocjach, a i tak zyska zainteresowanie. Ale jeśli ma dostać władzę, musi wydarzyć się coś więcej.



FOT. PATRYK OGÓRZALEK, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

My, wyborcy, musimy uwierzyć, że naprawdę wyznaje wartości, które deklaruje. Że coś dla niego naprawdę ma znaczenie. I jednocześnie, że potrafi panować nad sobą, umie zamilknąć, kiedy trzeba, potrafi działać mimo emocji. Wytrzymać presję, znieść upokorzenie i przetrwać kryzys. Bo nikt nie ogłosi królem Wertera.

Wyborcy nie testują polityków wyłącznie pod względem wiedzy czy moralności. Oni przede wszystkim obserwują, czy wybrany przez nich człowiek zachowa zimną krew, gdy sytuacja stanie się naprawdę trudna. To dlatego kandydaci, którym „puszczają nerwy”, przegrywają – niezależnie od tego, czy mają rację.

Jak wygląda prawdziwy test przywództwa? I czy w ogóle można się na niego przygotować?

– Wyobraźmy sobie sytuację skrajną. Rosjanie stoją już z czołgami na Grochowie, z Brukseli dzwonią, że mosty za słabe i nie ma jak przewieźć challengerów, a na pociągi się ich nie załaduje, bo nie ma dość platform. „I dźwigi nie takie”. „Samoloty nie dolecą, bo nawigacja padła”. „Pracujemy nad tym”. „Wytrzymajcie jeszcze jakieś dwa tygodnie, aż coś wymyślimy?” „Dacie radę?” „Czy chcecie ewakuację?”

Prezydent i jego sztab siedzi w centrum dowodzenia gdzieś w Alejach Jerozolimskich, koło Blue City. Presja.

A mimo to on musi myśleć trzeźwo, bo tego wymagają od niego ludzie. I setki tysięcy lat ewolucji naszego gatunku nauczyły ludzkie grupy jednej zasady. Przetrwa grupa, której wódz potrafi coś takiego wytrzymać i mimo to myśleć logicznie.

Czemu akurat chłodna głowa, a nie siła czy charyzma, decydowała o przetrwaniu?

– To sięga początków historii. Prototypem polityki jest grupowe podejmowanie decyzji, czy iść na bitwę, z kim się sprzymierzyć i kto nas poprowadzi. Młodych, porywczych – odsuwano od rady, podobnie jak takich o których wiadomo było, że i tak w razie czego walczyć nie będą.

Decyzje podejmowali ci, którzy potrafili zachować chłodny osąd – starszyzna, wojownicy, którzy już swoje przeszli. To oni rozmawiali, planowali, analizowali. I właśnie dlatego polityka, tak jak wtedy, wymaga dzisiaj tej samej cechy: zdolności powściągania emocji i myślenia strategicznego.

Jak to się stało, że opanowanie i dyscyplina przestały kojarzyć się z siłą, a zaczęły z udawaniem?

– Żyjemy w epoce powszechnej wiary, że każda próba powściągnięcia emocji, jakiegokolwiek samokontroli czy narzucenia sobie dyscypliny jest szkodliwa dla zdrowia psychicznego. Bo przecież najważniejsze to „być w zgodzie z sobą”. Tyle że... nie ma jednego, spójnego „siebie”.

Człowiek jest istotą pełną sprzeczności. Nosimy w sobie ambiwalencje, konflikty wartości, sprzeczne pragnienia. A współczesny obraz psychicznego dobrostanu tego nie uwzględnia. Dominuje przekaz: „odkryj, czego naprawdę chcesz, wsłuchaj się w siebie, pójdź za swoim prawdziwym uczuciem”.

To prowadzi do pewnych paradoksów. Ludzie wiedzą, że muszą coś zrobić, że coś wymaga wysiłku – ale nie potrafią już przyjąć, że mogą to zrobić nie dlatego, że chcą, tylko dlatego, że muszą. Szukają więc sposobów na „motywację”, zamiast nawyków, dyscypliny czy wewnętrznego zobowiązania.

W takim świecie zaczynają się zacierać znaczenia. Pojęcia takie jak dyplomacja, polityka i hipokryzja zlewają się w jedno – choć nie powinny. Hipokryta udaje, bo zależy mu wyłącznie na tym, jak jest postrzegany. Nie wytrzymuje dezaprobaty – i dla aprobaty zrobi wszystko.

Polityk lub dyplomata przeciwnie – potrafi znieść dyskomfort, także wewnętrzny. Rezygnuje z tego, co czuje, na rzecz większego celu. Czasem musi udawać, ale nie dlatego, że boi się, co o nim pomyślą – tylko dlatego, że rozumie, co jest stawką.

Hipokryta nie znieśie sytuacji, w której jego reputacja legnie w gruzach. Polityk – owszem. Nawet jeśli robi wszystko, by wypaść dobrze, wie, że jego decyzje mogą być niepopularne, niezrozumiane, odrzucane. Musi wytrzymać to, że ludzie będą myśleć o nim źle. Że nikt nigdy nie dowie się, jak naprawdę było. I właśnie dlatego polityka nie jest dla każdego.

Wyborcy potrafią odróżnić opanowanego lidera od zimnego manipulatora, powiedzmy nawet – psychopaty?

– Bywa, że wyborcy dają się zwieść – bo psychopata potrafi sprawiać wrażenie kogoś wyjątkowo odpornego, zdecydowanego, zimnego i konsekwentnego. Ale to iluzja. W chwili próby nie poświęci się dla wspólnego dobra. Zostawi wszystkich na lodzie – i tak samo, jak dziś wydaje się niewzruszony, wtedy będzie równie odporny na poczucie winy.

Co więcej, psychopata nie zawsze kieruje się racjonalnym interesem. Często definiuje korzyść w sposób całkowicie oderwany od rzeczywistości. Potrafi czerpać satysfakcję z zadawania bólu, nawet gdy to nie służy żadnemu celowi.

Porywa się na działania, które – w jego mniemaniu – mają szybko przynieść mu podziw i sukces. Ale brakuje mu konsekwencji. Jeśli coś nie przynosi natychmiastowego spełnienia narcystycznych oczekiwań, porzuca to i zapomina.

W rezultacie nie tylko nie jest moralny – nie jest też skuteczny. Bo skuteczność wymaga kierunku, wytrwałości i zdolności do myślenia w kategoriach dobra wspólnego. A to są cechy, których psychopacie brakuje.

Co mówi sobie polityk, kiedy nikt już nie słucha?

– Jeśli ktoś ma dość granej roli, to prawdopodobnie dlatego, że ta rola przestała mieć dla niego sens. Gdy cel się rozpada, kontrola nad sobą przestaje służyć czemukolwiek.



Musi wytrzymać to, że ludzie będą myśleć o nim źle. Że nikt nigdy nie dowie się, jak naprawdę było. I właśnie dlatego polityka nie jest dla każdego

Dlatego warto zadać pytanie: w co ten polityk wierzył – i dlaczego przestał? To, co muszą wytrzymywać politycy, jest do zniesienia tylko wtedy, gdy wierzą, że chodzi o coś większego niż oni sami. Czasem ten sens można na nowo odbudować. Czasem pojawia się nowy cel.

A czasem trzeba po prostu odejść. I dołączyć do tych szczęśliwców, którzy mogą sobie pozwolić na luksus codziennego mówienia tego, co naprawdę czują. Choć wtedy pojawia się pytanie trudniejsze, być może najtrudniejsze: po co żyć, jeśli już o nic nie chodzi?

No cóż. Można żyć dla wnuków, na przykład. Serio.

Niektórzy politycy potrafią znosić wrogość wobec siebie bez utraty równowagi. Skąd biorą na to siłę?

– Z przekonania, że to, co robią, ma sens – oraz z umiejętności narzucenia sobie pewnej dyscypliny. W pewnej mierze wynika to również ze zrozumienia, że ataki, z jakimi się spotykają, nie są wymierzone personalnie w nich.

To nie ich osoba jest celem. Celem jest postać, którą reprezentuje – symbol, funkcja, maska. Ludzie nie atakują Jana Kowalskiego, lecz Marszałka Wielkiego Koronnego Kowalskiego. Ich gniew nie dotyczy prywatnego „ja” polityka, lecz figury, którą widzą i której przypisują własne lęki, pretensje czy zawiedzione nadzieje.

Co dzieje się z politykiem, gdy zostaje już tylko on – i jego maska?

– Widać to w momentach granicznych. Przyjrzyjmy się kilku historycznym postaciom: Nicolae Ceaușescu, Maria Antonina, Saddam Husajn – to byli ludzie, którzy do ostatnich chwil życia nie porzucili swojej roli. Nie załamali się, nie rozplakali, nie prosili o litość.

Ceaușescu? cu i jego żona byli niemal na pewno psychopatami, ale ciekawe jest, że nawet po ogłoszeniu wyroku śmierci trzymali formę. Maria Antonina, prowadzona na szafot, do końca zachowywała godność królowej. Oglądałem miejsce, gdzie ją więziono, i salę, gdzie odbywał się sąd. Wyglądało to trochę inaczej niż na rycinach. Przede wszystkim sąd siedział w miejscu, które przypominało nieco ołtarz jakiegoś satanistycznego kultu. Musiała się bać. Ale jak pisali świadkowie, ani przez chwilę tego nie pokazała.

Saddam Husajn, choć schwytany i upokorzony, nie dał po sobie poznać strachu – trzymał fason do chwili egzekucji. W naszych kategoriach był to bardzo zły człowiek, ale rolę utrzymał do końca.

Jeśli ktoś naprawdę jest politykiem – nie tylko z zawodu, ale z wewnętrznej konstrukcji – to po prostu jest swoją rolą. To głęboko zintegrowana tożsamość, w której zachowanie formy staje się ważniejsze niż osobiste emocje, a nawet niż fizyczne bezpieczeństwo.

Trzeba grać do końca, bo tylko tak da się przetrwać w oczach własnego ludu. Nawet w porażce trzeba pozostać tą figurą, którą się całe życie budowało.

Czy sam rytuał zaprzysiężenia prezydenta jest nam jeszcze w ogóle potrzebny? Przecież dziś wielu uważa to za pusty gest albo polityczny teatr.

– Ich celem nie jest wyrażanie osobistych przekonań, lecz podtrzymywanie porządku symbolicznego, bez którego społeczeństwo się rozpada. W rytuał nie musisz wierzyć. Wystarczy, że wierzysz, iż inni w niego wierzą.

A oni – dokładnie tak samo jak ty – podejrzewają, że to tylko szopka, ale są przekonani, że ty wierzysz. Slavoj Žižek nazywa to „podmiotem zakładanej wiary”. I właśnie ta wzajemna projekcja sprawia, że system w ogóle się trzyma.

Nie chodzi o to, czy ceremonia zaprzysiężenia jest „autentyczna”. To my wszyscy wspólnie udajemy, że jest, i to nadaje jej moc.

Państwo to nie tylko zbiór faktów, tylko struktura zbudowana z wyobrażeń, symboli i gestów, które musimy co jakiś czas rytualnie odtwarzać, by mogła nadal istnieć.

Dlatego bez aktu zaprzysiężenia nie ma przekazania władzy. Nie ma symbolicznego domknięcia starego porządku ani otwarcia nowego cyklu. Rytuał ma dokładnie tyle znaczenia, ile potrzebujemy, by jako wspólnota polityczna móc dalej funkcjonować.

Bez niego zostaje tylko zbiór ludzi, którzy przypadkiem dzielą ten sam grunt i mówią na nim „to, co czują”. Na przykład, że „nic ich nie łączy z tym krajem”, bo „nauczyciele są opresyjni, a lektury nudne”. Jasne. Lektury są nudne. Rytuał to szopka. I wszystko gra.

Właśnie tak ma być. ●



Pierwsze 100 dni Karola Nawrockiego

CZY PREZYDENT SIĘ

Niemal wszyscy członkowie nowej ekipy w Pałacu Prezydenckim już szykują się na przenosiny do rządu Konfederacja-PiS.

Dominika Wielowieyska

Karol Nawrocki nie ma doświadczenia politycznego, więc Jarosław Kaczyński otoczył go swoimi ludźmi, aby nowy prezydent nie poległ w starciu z premierem Donaldem Tuskiem i wicepremierem Radosławem Sikorskim. Układ w nowej Kancelarii Prezydenta jest klarowny: rządzi Nowogrodzka.

Pierwsze skrzypce będzie grał Paweł Szefernaker, szef gabinetu prezydenta. To on był szefem zwycięskiej kampanii i to on ma najlepszy przelot i z Nowogrodzką, czyli centralą PiS, i z samym prezesem. Na tej linii będą zapadać główne decyzje. Sekretariat szefa gabinetu jest obok sekretariatu prezydenta, co oznacza, że Szefernaker może zaglądać do Nawrockiego niemal o każdej porze.

Ten polityk od czasów, gdy był wiceszefem MSWiA, jest uważany za sprawnego organizatora

i urzędnika. Chwalił go w rozmowie z Donatą Subbotko prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski: „W apogeum kryzysu uchodźczego profesjonalnie ze mną współpracował i kilka problemów rozwiązaliśmy razem w duchu państwowym”.

Szefernakera wypromował Joachim Brudziński, członek „zakonu PC” – wąskiego kręgu ludzi, którzy byli przy Kaczyńskim od początku lat 90. i jego pierwszej partii, Porozumienia Centrum. Jest uważany za osobę bliższą frakcji Mateusza Morawieckiego niż byłego ministra obrony Mariusza Błaszczaka czy Zbigniewa Ziobry.

Zwłaszcza ziobryści nie będą mieli żadnych wpływów w Pałacu Prezydenckim. Ziobro stara się oczywiście, aby tak było: ostatnio na platformie X pouczał ustępującego prezydenta Andrzeja Dudę, że nie powinien mianować Waldemara Żurka ministrem sprawiedliwości, tylko zdobyć się na odwagę zablokować ten awans. Tak samo chciałby wydawać polecenia Nawrockiemu. Lecz Szefernaker będzie kierował Nawrockim tak, aby prezydent realizował jeden do jednego strategię Nowogrodzkiej.

W tej chwili nie ma mowy o tym, aby Nawrocki w jakikolwiek sposób się usamodzielniał, bo po prostu nie ma wiedzy, jak poruszać się w świecie polityki. Jest zdany na swoje otoczenie. A współpraca z Jarosławem Kaczyńskim powinna przynajmniej na początku przebiegać bez zgrzytów, bo mają wspólny cel:

zniszczyć Tuska. Doprowadzić do sytuacji, w której straci stanowisko premiera.

Obu panów łączy jedna silna emocja, a mianowicie nienawiść. Nawrocki uważa, że wszystkie obciążające go informacje, na przykład o tym, że wyludził kawalerkę od starszego człowieka oraz rozprowadzał prostytutki w sopockim Grand Hotelu, wypłynęły za sprawą Tuska i służb specjalnych.

Co nie jest prawdą, po prostu media mocno sprawdziły niespodziewanego „kandydata obywatelskiego” i znaleźli się chętni, by opowiedzieć, co wiedzą. Lecz Nawrocki się zafiksował. Będzie więc słuchał Kaczyńskiego jak posłuszny uczeń, bo uważa, że prezes wie, jak do celu – wyeliminowania Tuska – doprowadzić.

Plan działania nie polega na tym, aby doprowadzić już teraz do upadku rządu i przyspieszonych wyborów. Chodzi o to, aby osłabiać Tuska, doprowadzić do jego dymisji i do rozbicia koalicji, finalnie – do rządu mniejszościowego. Kaczyńskiemu zależy na tym, aby układ rządzący ulegał powolnemu rozkładowi, a koalicja nieustająco się kłóciła. Temu służyły spotkania z Szymonem Hołownią w domu Adama Bielana, jednego z najważniejszych pisowskich spin-doktorów. I dlatego koleżeńsko zatroškani politycy PiS powtarzają Polsce 2050 i PSL-owi: Tusk tonie, pociągnie was na dno, ewakuujcie się, póki czas.

Tyle tylko, że Koalicja Obywatelska ma około 30 procent w sondażach,



Prezydent będzie słuchał Jarosława Kaczyńskiego jak posłuszny uczeń, bo uważa, że prezes PiS wie, jak doprowadzić do celu, na którym mu najbardziej zależy: **zniszczenia Tuska**

• **Zamek Królewski w Warszawie. Uroczystość nadania prezydentowi Karolowi Nawrockiemu insygniów Wielkiego Mistrza Orderu Orła Białego i Orderu Odrodzenia Polski.**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

re Nawrocki będzie taśmowo wysyłał do parlamentu. Marszałek Sejmu ma tu duże uprawnienia.

Emocje i osobiste relacje w polityce są ważne, a Hołownia z Tuskiem się nie znoszą. Za to Bielan z Kaczyńskim po wieczorno-nocnych spotkaniach z marszałkiem są nim zachwyceni: taki fajny, taki ciekawy rozmówca. Bardzo się polubili. No a jeśli na tym stanowisku jesienią znajdzie się lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty, gra kartą marszałkowską będzie trudniejsza. Stary wyjadacz, specjalista od zakulisowych rozgrywek, polityczny gracz od studenckich czasów w młodzieżówce PZPR, zahartowany przez lata spędzone, jeśli nie u władzy, to za jej kulisami w Sojuszu Lewicy Demokratycznej, nie będzie już taki fajny dla PiS.

Podsyłanie sporów, tak czy owak, będzie ważnym elementem polityki Nawrockiego i jego otoczenia. To ma pomóc PiS odbudować poparcie. A jednocześnie Nowogrodzka dąży do tego, by osłabić tandem Sławomir Mentzen – Krzysztof Bosak i Grzegorza Brauna. Ostatnia akcja z wezwaniem Konfederacji do podpisania pisowskiej Deklaracji Polskiej, brzmiącej niczym kalka z programu wyborczego Mentzena (stop centralizacji Unii Europejskiej, nielegalnej imigracji, Zielonemu Ładowi) z domieszką Zandberga (postulat obniżenia cen mieszkań) – ma taki właśnie cel.

Tu też Nawrocki ma do odegrania ważną rolę. Piotr Semka z „Do Rzeczy”, flagowy publicysta prawicy, liczy, że prezydent pogodzi Konfederację i PiS, ale to raczej mrzonki. Do wyborów parlamentarnych rywalizacja o prawicowy elektorat będzie bardzo ostra. Kaczyński wierzy w wynik ponad 40 procent i możliwość ponownych samodzielnych rządów.

Tę strategię – rozgrywać, podgryzać i kusić Konfederację z Koroną – będzie realizował właśnie Szefernaker.

Czy ta ekipa prezydencka urwie się Kaczyńskiemu? Na razie nie.

Szefernaker ma w pamięci marny los swojego poprzednika, Marcina Mastalerka, który skłócił się w obozie PiS ze wszystkimi. Po szokująco wygranej kampanii prezydenckiej w 2015 roku Mastalerek uwierzył w swoją gwiazdę, zbuntował się przeciwko Kaczyńskiemu i wylądował na politycznym marginesie. Reaktywował go Andrzej Duda, obsadzając na stanowisku szefa swojego gabinetu. Ale w końcówce kadencji Mastalerek poróżnił się nawet z Dudą, nie wspominając już o innych urzędnikach Kancelarii.

Ustępujący prezydent bardzo przeżywał krytyczne, ujawniające zakulisowe sprawy podsumowania jego prezydentury. – Andrzej doszedł do wniosku, co mu zresztą podpowiadali współpracownicy, że głównym źródłem informacji publicystów i dziennikarzy był Mastalerek. Prezydent udział najbardziej zaufanego doradcy uznał za nielojalność. To dlatego napisał swoją książkę, tę, która właśnie wyszła – relacjonuje jeden z moich rozmówców.

Symptomatyczne, że gdy Duda zaprosił dziennikarzy w niedzielę wieczorem, między innymi właśnie po to, by rozdać swoją książkę, to Mastalerka – niegdyś nieodstępującego prezydenta niczym cień – nie było. A gdy pytano innych prezydenckich ministrów, gdzie się podział, wszyscy robili bardzo tajemnicze miny i wzruszali ramionami.

I to Mastalerek doprowadził do sytuacji, w której Duda jest także bardzo osamotniony: właściwie nikt z obozu PiS nie chce go na serio wspierać czy z nim w jakikolwiek sposób współpracować. Pałac od dawna miał złe relacje z samym Kaczyńskim, ale Duda osłabił swoje relacje także z innymi frakcjami. Niektórych rozgrywających wręcz zakazał wpuszczać do Pałacu, taki los spotkał choćby ważnego ziobrystę Patryka Jakiego. A teraz nie ma już władzy, więc mało kto się nim interesuje.

Symptomatyczne, że gdy Szefernaker organizował występ Dudy na ważnej konwencji Nawrockiego, Ma-

stalerek o tym nie wiedział. Sprawę do końca utrzymywano w tajemnicy. Początkowo sądzono, że to Mastalerek dzięki przyjaźni z Przemysławem Wiplerem, szarą eminencją niegdyś PiS, dziś Konfederacji, organizował spotkania Dudy z Menztemem w czasie kampanii prezydenckiej. Jednak potem wyszło na jaw, że tym łącznikiem był Łukasz Rzepecki, doradca Dudy związany z Konfederacją. Nawet on poróżnił się z Mastalerkiem, choć uchodził za jego wychowanka.

Historia Mastalerka jest poważnym ostrzeżeniem, jak kończy się prowadzenie wojen na kilku frontach. Szefernaker tych błędów nie popełni. Jest uważany za osobę, która potrafi pracować w zespole i utrzymywać dobre relacje z ludźmi.

Jednocześnie Kaczyński nie chce popełniać błędów z czasów Dudy, będzie ostrożniejszy, będzie unikał poniżania Nawrockiego tak, jak poniżał Dudę, bo chce uniknąć buntu w Pałacu Prezydenckim.

Szefem kancelarii prezydenta zostanie poseł PiS Zbigniew Bogucki, też zresztą z ekipy Brudzińskiego. Ta nominacja budzi duże zainteresowanie, jednak pozycja szefa kancelarii prezydenta jest o wiele słabsza niż szefa gabinetu. Jest zawalony obowiązkami administracyjnymi, ma słabsze bezpośrednie łącza z Kaczyńskim. I – co nie jest bez znaczenia – siedziba szefa kancelarii prezydenta mieści się na ulicy Wiejskiej, a nie w Pałacu Prezydenckim. Lecz Bogucki może zbudować pozycję polityczną na tym stanowisku, bo weźmie na siebie wszelkie kwestie dotyczące batalii prawnych z ekipą rządzącą – a jest bardzo sprawny medialnie.

A tych starć będzie całkiem sporo. W przyszłym roku kończy się kadencja PiS-owskich członków neo-KRS. Nie ma nowej ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, bo Andrzej Duda jej nie podpisał, tylko wysłał do Trybunału Bogdana Świączkowskiego. Nowa ustawa przewidywała, że przedstawiciele sądownictwa nie wyłania Sejm – jak niezgodnie z konstytucją zadekretował PiS – ale wszyscy sędziowie w powszechnym sędziowskim głosowaniu. Jeśli te nowe zasady nie wejdą w życie, zapewne koalicja rządząca obsadzi KRS wedle własnego uznania, bo innych przepisów nie ma. Wtedy zacznie się batalia o nominację sędziowskie, może nawet o kształt Sądu Najwyższego. Prezydent może oczywiście ignorować wnioski nowej KRS w sprawie nowych nominacji sędziowskich, ale wtedy narazi się na zarzut, że paraliżuje sądownictwo.

W kampanii Nawrocki zapowiedział, że ogłosi referendum w sprawie reformy KRS. Co się za tym kryje? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że referendum prezydent może urządzać, ale wspólnie z Senatem, a tam koalicja rządząca ma większość. Zresztą taki pomysł jest bez sensu również jako chwyt propagandowy, bo wyborcy słabo się orientują w sądowniczych procedurach, reforma KRS to dla większości z nich abstrakcja. Referendum miałoby niską frekwencję. Znaczenie ma to, co w sprawie ustawy o KRS zrobi Trybunał Świączkowskiego. Trwają konsultacje z Nowogrodzką.

Ale front sądowy jest szerszy, bo koalicja rządząca może rozpocząć wybór kolejnych sędziów Trybunału Konstytucyjnego i tu też dojdzie starć. W różnej formie, włącznie z próbami usunięcia Świączkowskiego za pomocą postępowania dyscyplinarnego w chwili, gdy nominaci PiS stracą większość w Trybunale. I tu Bogucki jako realizator strategię Nowogrodzkiej odegra ważną rolę.

W Trybunale Konstytucyjnym są wakaty, ale też wciąż zasiadają dublerzy, dlatego koalicja rządząca nie zdecydowała się na wybór nowych sędziów. Pytanie, czy jeśli rządzący postanowią obsadzić Trybunał, to Nawrocki odbierze od „nowych” ślubowanie. Może argumentować, że sędziów trzeba było od razu wybierać, a nie z takim opóźnieniem.

Nowogrodzka jeszcze rozmyśla nad strategią w tej sprawie. Plan, który się Kaczyńskiemu podoba najbardziej, to odmowa przyjęcia ślubowania, Trybunał

URWIE

a PL2050 oraz ludowcy są poniżej 5-procentowego progu. Namowy Kaczyńskiego są jak zachęcanie karp do przyspieszenia świąt Bożego Narodzenia. Cień szansy, że karpie dadzą się nabrać, pojawi się, jeśli będzie je mamił kto inny, niż sam prezes PiS, słynący jako „pożeracz przystawek”. Stąd przyciąganie Władysława Kosiniaka-Kamysza i Hołowni to jeden z głównych celów, jaki Kaczyński stawia Nawrockiemu.

Lider PSL jest doświadczonym politykiem, zna tę grę, będzie jako szef MON utrzymywał dobre relacje z pałacem, zachowując lojalność wobec premiera. Marszałek Sejmu raczej nie ma doświadczenia i już daje się Kaczyńskiemu rozgrywać. Uważa jednak, że w ten sposób pokazuje niezależność wobec Tuska, więc Nawrocki z Nowogrodzką mają w tym przekonaniu Hołownię umiejętnie utwierdzać. Będą mu proponowali współpracę, wspólny sojusz przeciwko premierowi w różnych sprawach, na przykład w kwestii ustawy medialnej. Kuszenie może okazać się skuteczne, bo Nawrocki ma ważny instrument: obietnicę weto bądź podpisu pod ustawą. Hołownia dostanie poczucie, że jest sprawczy, że może przeprowadzić swoje inicjatywy wbrew onnipotentnemu Tuskowi. To daje pole manewru Szefernakerowi. Jeśli uda mu się wciągnąć PL2050 w akcję przeciwko premierowi, promieni go aura sukcesu.

Być może gra potoczy się o zablokowanie zmiany na stanowisku marszałka Sejmu. Pałac Prezydencki wolałby, aby Hołownia tam pozostał, bo mógłby na złość Tuskowi procedować różne projekty ustaw, któ-

pozostaje niedziałającym kikutem i zostaje obsadzony dopiero wtedy, gdy PiS odzyska władzę.

Za sprawy zagraniczne ma odpowiadać Marcin Przydacz, były wiceminister spraw zagranicznych, który przez jakiś czas odpowiadał za tę działkę w kancelarii Dudy.

Duda chociaż przez chwilę był europosłem, natomiast Nawrocki ma bardzo skromne doświadczenie międzynarodowe, więc Przydacz może odgrywać istotną rolę. A jego cel jest jasny: zbudować silną pozycję, a następnie zawalczyć o stanowisko szefa MSZ po 2027 roku w rządzie PiS-Konfederacja lub rządzie PiS. Wtedy Nawrockiego opuści. Niemal wszyscy w otoczeniu pałacu szykują się na ewakuację do nowego rządu. Zdają sobie sprawę, że przez dwa lata wiele może się zdarzyć i po wyborach parlamentarnych w 2027 roku skład Sejmu będzie wyglądać zupełnie inaczej. Ale PiS jest przekonany, że w tej lub innej formie powróci do władzy.

Przydacz będzie odgrywał ważną rolę przy nominacjach ambasadorskich. Między Dudą a Radosławem Sikorskim toczył się spór. Minister odwołał kilkudziesięciu ambasadorów i wysłał na placówki swoich ludzi w randze chargé d'affaire, bo prezydent nie chciał potwierdzić ich nominacji na ambasadora. Przepychanka trwała wiele miesięcy, bo Duda chciał, aby Sikorski najpierw uzgadniał wszystkie kandydatury z Pałacem. Po jakimś czasie Duda jednak zaczął podpisywać nominacje, choć nie wszystkie. Skąd ten zwrot? Mówi się, że Sikorski zagroził, iż odwoła ludzi prezydenta z kilku placówek. Chodzi między innymi o Krzysztofa Szczerskiego (ONZ), Jakuba Kumocha (Chiny), Pawła Solocho (Rumunia) czy Adama Kwiatkowskiego (Watykan).

Ostatnio spłynął do MSZ z Pałacu Prezydenckiego kolejny tuzin powołań, a w ostatni piątek – a więc na kilka dni przed końcem kadencji – Duda przyklepał sześć nominacji ambasadorskich. To zirykowało obóz PiS, odwoływani ambasadorowie dzwonili do kolegów z partii i się skarżyli na zły los. Słowa jednego z nich zacytowali Cezary Gmyz i Piotr Gociek w tygodniku „Do Rzeczy”: „Za cenę ocalenia swoich Kumochów i Szczerskich odpuścił w sprawie innych, których bezprawnie odwołał Radek. Stało się to, co zawsze: najbardziej wy... (tu słowo niecenzuralne nawiązujące do seksu) nas swoi”.

Ludzie Nawrockiego pomstują, że Duda nawet nie konsultował swoich decyzji z następcami, tylko ostatnim rzutem na taśmę podejmował tak wrażliwe decyzje. Ale druga strona medalu jest całkiem na rękę nowej ekipie – Przydacz może powtarzać, że ustępowanie Sikorskiemu to nie jego wina, tylko poprzedniego prezydenta, przecież wiesz, jak był „Duduś”.

Niemniej nowa ekipa prezydencka musi odpowiedzieć sobie na poważne pytanie: czy chce iść na wojnę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Jej tłaczmy się od dawna zarzewiem jest Waszyngton. Na kluczowej placówce rezyduje Bogdan Klich, minister obrony za rządów PO-PSL, polityk tak kojarzony z core'em Platformy, jak tylko możliwe, w dodatku obsadzony przez PiS po katastrofie smoleńskiej w roli czarnego łada winnego zaniedbań w lotnictwie rządowym. Nic dziwnego, że Duda nie chciał go mianować i że Nawrocki też na pewno tego nie zrobi.

Klich miał doczekać, aż wybory wygra Rafał Trzaskowski. – Wyszło inaczej, więc może będą podjęte jakieś negocjacje w sprawie znalezienia innego kandydata, bo warto w USA mieć ambasadora, a nie chargé d'affaire – słyszę w koalicji rządzącej. Tu Przydacz będzie bardzo przydatny. Na pewno rozpocznie starania o wizytę Nawrockiego w Białym Domu, w czym pomogą telewizja Republika i tandem braci Rachoniów, zaprzyjaźniony z zapleczem Donalda Trumpa. Choć na razie Nawrockiego czeka upokorzenie: na jego zaprzysiężenie Biały Dom wysłał urzędniczkę bardzo niskiej rangi.



• Bazylika Archikatedralna na warszawskiej Starówce. Karol Nawrocki z żoną Martą, już po zaprzysiężeniu na urząd, na mszy w intencji ojczyzny i nowego prezydenta RP

Hołownia z Tuskiem się nie znoszą. Za to Bielan z Kaczyńskim po nocnych spotkaniach z marszałkiem są zachwyceni: taki fajny, taki ciekawy rozmówca. Bardzo się polubili

Kelly Loeffler jest szefową administracji do spraw małych firm, funkcja istotna w polityce wewnętrznej, ale zdecydowanie nie kalibru międzynarodowego i prezydenckiego.

A co z Europą? Nawrocki w kampanii zapowiadał, że „wypowie” pakt migracyjny i Zielony Ład. Oczywiście nie ma takich kompetencji. Politykę zagraniczną, w tym unijną, prowadzi rząd. Pytanie, czy prezydent będzie chciał w tej sprawie urządzić awantury też poza granicami Polski. Dla Przydacza to byłoby ryzykowne, bo się ośmieszy i jako przyszły ewentualny minister spraw zagranicznych nie będzie poważnie traktowany przez zachodnich partnerów.

Kto jeszcze znajdzie się w nowej prezydenckiej kancelarii?

Duda, który w końcówce kampanii mocno wsparł Nawrockiego, poprosił go, aby nie wyrzucał wszystkich hurtem. Więc w Pałacu zostaną Wojciech Kolarski, któremu nie udało się dostać do Parlamentu Europejskiego, i Beata Kempa, też mająca europarlamentarną porażkę na koncie. To objaw miłosierdzia Szefernaker i Nowogrodzkiej. Wierny przyjaciel odchodzącego prezydenta oraz przygasła gwiazda PiS, której kiedyś wieszczono karierę na miarę Beaty Szydło, nie będą odgrywać znaczącej roli w otoczeniu Nawrockiego. Ale zawsze będą mieć jakieś zabezpieczenie. No i Kempa ma tę zaletę, że dobrze się zna z Małgorzatą Manowską, „pełniącą obowiązki prezes Sądu Najwyższego”, jak mawia minister Waldemar Żurek.

Szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego ma zostać Sławomir Cenckiewicz, jeden z promotorów kariery Nawrockiego w IPN. Który ma problem, bo nie ma dostępu do informacji niejawnych. Odebrał mu go rząd Tuska – którego Cenckiewicz miał lustrować w komisji do spraw wpływów rosyjskich, obmyślonej pod koniec rządów PiS jako narzędzie mające zdyskredytować i wykluczyć najgroźniejszego z liderów demokratycznej opozycji. Sąd pierwszej instancji uznał, że dostęp odebrano mu niesłusznie. Sprawa jest w drugiej instancji. Szefernaker to nie martwi, bo wzmacnia jego pozycję, a Cenckiewicza czyni bezzębnym. – Zresztą Szefernaker wołał, aby w kancelarii nie znaleźli się polityczni zawodnicy wagi ciężkiej, bo dzięki temu tylko on będzie kontrolował kanał komunikacji z Nowogrodzką – słyszę w kuluarach sejmowych.

Zastępcą szefa kancelarii ma być Adam Andruszkiewicz z drużyny premiera Morawieckiego. Nawrocki wierzy, że młody polityk, który debiutował jako wszechpolak z białostockiego blokowiska oraz sympatyk piłkarskich ultrasów, pomoże mu utrzymać relacje z narodowcami. Tyle że duża część tego antysystemowego środowiska uważającego, że „PiS-PO jedno zło”, uważa Andruszkiewicza za człowieka, który już dawno przeszedł na ciemną stronę mocy, gdy „dał się kupić” PiS, zostając tuż przed pandemią wiceministrem cyfryzacji.

Media PiS-owskie już formułują wobec Karola Nawrockiego oczekiwania, z których będzie rozliczany.

„Piszą się projekty ustaw, którymi nowy prezydent sprawi nie lada kłopoty premierowi, planowane są inicjatywy referendalne. Pałac prezydencki nie ma być miejscem namysłu, przyjmowania delegacji, klubem dyskusyjnym i rozdzielnią orderów, ale ważnym ośrodkiem władzy, którego rząd nie będzie mógł lekceważyć” – sroży się tygodnik „Sieci”.

Ale już czeka na Nawrockiego pierwsza pułapka. Parlament uchwalił ustawę o wiatrakach, w której jest przepis o mrożeniu cen energii. PiS wiatraków i całej energii odnawialnej nie lubi, wykorzystuje ją w antyunijnej retoryce, broni węgla – ale jeśli Nawrocki ustawę zawetuje, rząd obarczy go winą za wysokie rachunki. Koszty życia to coś, co przeciętnego obywatela obchodzi dużo bardziej niż abstrakcyjne kwestie sądownicze czy dyplomatyczne. Ale w obozie PiS pocieszają się: zawetuje, a potem w orędziu w TVP wyjaśni, dlaczego musiał.

Nawrockiego czeka też decyzja o losie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Sejm i Senat odrzuciły sprawozdanie Rady. Jeśli zrobi to również prezydent, kończy się kadencja jej członków. Tu nowy lokator Pałacu ma prośbę, nie stoi przed żadnym dylematem. Sprawozdania nie odrzuci, bo PiS w KRRiT ma zdecydowaną większość nawet po zawieszeniu jej przewodniczącego Macieja Świrskiego.

Co jeszcze przed nowym prezydentem? Już na początku urzędowania zgłosi projekt ustawy o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, bo obóz PiS uważa, że megalotnisko pod Baranowem to wciąż nośna idea. Mało kto wie, o co chodzi z CPK na poziomie szczegółów, ale ważny jest przekaz, że inwestycję przedstawianą jako projekt na

miarę budowy Gdyni w międzywojniu ograniczył kto? Obecny rząd Tuska.

Prezydent będzie zwoływał rady gabinetowe, aby wzywać Tuska i ministrów na dywanik. To też ruchy pozorowane, obliczone na usatysfakcjonowanie własnych mediów i wyborców – nasz NowRocky rządzi, jak obiecywał, kontroluje zły rząd, pilnuje, dyscyplinuje, nie odpuszcza.

Ale wcześniej czy później również na prawicy, wpiętej w konfederackiej i koronarskiej, lecz z czasem i we własnym obozie, padną pytania o masę rzeczy, które Nawrocki obiecał w kampanii, ale jako prezydent nie jest w stanie wprowadzić, choćby chciał. A były tam tak efektowne propozycje, jak: • obniżka stawki VAT z 23 do 22 procent. PiS to zapowiadał już w kampanii w 2015 roku, ale przez osiem lat tego nie wprowadzili w życie; • rodziny z dwójką lub większą liczbą dzieci miały mieć 0 procent PIT; • podniesienie drugiego progu podatkowego do 140 tysięcy złotych; • likwidacja podatku Belki; • obniżka rachunków za prąd nawet o jedną trzecią; • kwota wolna od podatku 60 tysięcy złotych. To akurat obiecywała również Koalicja Obywatelska, ale po wygranej umilkła, bo budżet trzeszczy w szwach, a dług publiczny rośnie szybko ze względu na olbrzymie wydatki społeczne i zbrojenia; • korzystniejsza waloryzacja emerytur.

Oczywiste, że prezydent nie będzie mógł forsować pomysłów, których koszt może sięgnąć 60 miliardów złotych. Choćby dlatego, że nawarzyłby piwa własnemu obozowi, gdyby ten doszedł do władzy za dwa lata. Jak Nawrocki wytłumaczy się rozczarowanym wyborcom? Bardzo prosto, będzie powtarzał, że zły rząd Tuska nie chce wprowadzić w życie jego wspaniałych pomysłów. I będzie korzystał z wojny kulturowej, czyli tego, że opinię publiczną najbardziej rozpalają kwestie obyczajowe i ideologiczne. Wszystkie ustawy w jakikolwiek sposób liberalizujące prawo antyaborcyjne Nawrocki zawetuje. Podobnie ustawę o związkach partnerskich, nawet gdyby była to wersja bardzo zachowawcza, proponowana przez PSL. Na tym polu PiS podejmie jakąś grę z ludowcami, ale zważywszy na światopogląd prezydenta, szanse na realne porozumienie są skromne.

Raczej pewne jest, że nowy prezydent będzie taśmowo ulaskawiał kolegów z PiS, jeśli dojdzie do ich skazania. Nawrocki wie, że odpuszczenie win „tłustym kotom” może osłabić jego szanse na reelekcję, bo nie spodoba się nikomu poza najtwardszym elektoratem, jednak to zobowiązanie wobec PiS musi wypełnić. Nowogrodzka zbyt wiele zainwestowała w przekaz, że „bodnarowcy” – obecnie „żurkowcy” – prześladują szlachetnych patriotów.

Orędzie wygłoszone zaraz po zaprzysiężeniu było konfrontacyjne. Prezydent zapowiedział choćby, że w sprawie praworządności będzie realizował politykę PiS, nie powołał sędziów, którzy krytykowali łamanie konstytucji za rządów Zjednoczonej Prawicy. Oraz że za swoje główne zadanie uznaje krytykę ekipy rządzącej. A więc potwierdził wszystkie oczekiwania: polityczna wojna na górze będzie ostra. Tylko czy rzeczywiście? A jeśli, to jak bardzo?

Bo przecież Karol Nawrocki jest trochę wystraszonego nuworyszem w polityce, wciąż boi się mediów, w których mogłyby paść trudne pytania, a jego wizerunek jako twardego kreuje PiS. Ale umiejętnie, a tworzywo ma wdzięczne.

– Karol będzie twardszy niż prezydent Lech Kaczyński. Jest impregnowany na groźby, walka go nakreca, ataki wzmacniają jego determinację – słyszę od ważnych polityków tej partii. – Lech Tuska mimo wszystko lubił, Andrzej Duda to taki harcerz z dobrego krakowskiego domu i były działacz Unii Wolności, a Nawrocki to chłopak z kibolskich ustawek, z nizin społecznych, który do wszystkiego doszedł sam, walcząc o swoje. To zupełnie inna mentalność. Tusk może się bać. ●

Homo scrollens gardzi dietą pudełkową

Nie da się tworzyć sprawiedliwego prawa, jeśli każdy uznaje tylko ten wyrok, który mu się podoba.



Marcin Matczak

Pieprzyć Kanta” – to hasło, które można by wydrukować na t-shirtach albo kubkach. Przypominałoby, że imperatyw kategoryczny („postępuj tylko według takiej zasady, co do której możesz chcieć, żeby stała się prawem powszechnym”) się skończył. Nikt nie potrzebuje już tej dziwnej rady: „zanim coś zrobisz, zapytaj, co by się stało, gdyby wszyscy robili tak samo”. Bo to rada bardzo niewygodna. Wymaga wyłączenia emocji („ja tego bardzo chcę!”, albo „ja tego bardzo się boję!”), wyobraźni moralnej, a przede wszystkim czasu na namysł. A i czasu, i namysłu brakuje w epoce emocji natychmiastowych, przekazów skrótowych, reakcji błyskawicznych. Myśl systemowa ustępuje miejsca myśli odruchowej.

„Tu i teraz” czy „Kiedyś tam”?

Widać to w kryzysach ostatnich lat. W ruchach antyszczepionkowych odrzucających racjonalne dowody, a opartych o lęk, nieufność, teorie spiskowe. Strach o dziecko działa dziś silniej niż tabela Excela o milionach uratowanych czy dane o wyszczepialności. W całej Europie składa się coraz więcej skarg konstytucyjnych, kwestionujących zgodność szczepień obowiązkowych z wolnością jednostki. „Nie zaszczipię się!” mówi skarżący. I nie przekonuje go Kantowskie „a co by było, gdyby wszyscy tak robili”. „Tu i teraz” staje się ważniejsze niż „kiedyś tam”, gdy wyszczepialność spadnie i pokonane już, zdawałoby się, choroby powrócą.

To samo dotyczy prawa. Jego zasady przedstawia się dziś jako chłodne, nieludzkie, „systemowe” w złym sensie. Do-

mniemanie niewinności staje się przeszkodą dla „sprawiedliwości społecznej”. Niezależność sądów – utrudnieniem dla woli ludu. A konstytucja? Przydatna, kiedy wzmacnia nasze racje. W przeciwnym razie to komunistyczny relikwitu albo przeszkoda w przywracaniu praworządności. A prawo przecież ma sens, gdy zasady obowiązują zawsze – nie tylko wtedy, gdy nam pasują.

Jest tego więcej. „Co mnie obchodzi przyszła zmiana klimatu, skoro dzisiaj muszę ponieść koszt ekologicznego ogrzewania?”. „Po co mam oddawać ciężko zarobione pieniądze ZUS-owi, skoro mogę wydać lub zainwestować je teraz?”. Pytanie „co będzie, jeśli wszyscy tak zrobią” i wizja upadku systemu już nie przekonuje. Dlaczego tak jest?

Homo scrollens

Kiedyś uczyliśmy się świata przez słowo. Czytaliśmy długie książki, budowaliśmy złożone zdania, formułowaliśmy pojęcia i definicje. Człowiek pisma rozważał

na zasada – przed emocjonalnym wyjątkiem. O homo videns Sartori pisał dekadę przed wynalezieniem iPhone’a. Dzisiaj homo vidensa zastąpił jeszcze bardziej emocjonalny jego potomek: homo scrollens.

Ten traktuje myślenie abstrakcyjne jako formę przemocy elit – nie bez przyczyny w słowie „kategoryczny” pojawia się przecież „kat”. Gdy go spytasz, „czy twoje działanie nadaje się do uogólnienia?”, odpowie: „Po co? Wystarczy, że pasuje do mnie”. Cała ta kantowska gadka o „regułach powszechnych” jest dla niego jak dieta pudełkowa z jarmużem – może i zdrowa, ale całkowicie niezjadliwa.

Po co komu reguła, skoro jest emocja? Ktoś komuś przywalił? Sprawdzamy kontekst emocjonalny. Czy miał powód? Czy czuł się autentyczny? Czy zrobił to z troski o swoje granice? Jeśli tak – sprawa zamknięta.

Społeczeństwo odruchów. To dlatego tak trudno dziś mówić o odpowiedzialności za system, za całokształt. Gdy py-

jeśli każdy ufa tylko sobie i własnemu research’owi z YouTube’a. Nie da się tworzyć sprawiedliwego prawa, jeśli każdy uznaje tylko ten wyrok, który mu się podoba.

Nic już nie będzie zasada

Ale media społecznościowe kierują nasze głowy w całkiem inną stronę. Algorytm nagradza reakcje natychmiastowe i penalizuje refleksję. I oto mamy społeczeństwo, które umie szybko oceniać, ale coraz rzadziej potrafi wyobrazić sobie przyszłość, w której zrealizują się skutki dzisiejszych działań.

Bo w krainie wiecznej terażniejszości, do której zaprasza każdy smartfon, przyszłość to coś podejrzanego. Przede wszystkim jej nie widać. W erze obrazków, wideo i gifów – coś, czego nie da się zobaczyć, właściwie nie istnieje. Kiedy więc ktoś mówi: „musimy myśleć o konsekwencjach”, zaraz pojawia się głos: „ale to są tylko modele”, „prognozy się nie sprawdzają”, „klimat zawsze się zmieniał”. W najlepszym przypadku przyszłość staje się mętным wyobrażeniem, a nie przewidywalnym skutkiem. A jeśli przyszłość to fake news, to nie ma sensu oszczędzać, rezygnować, przewidywać.

Czy to się da odwrócić? Nielatwo. Możemy uczyć dzieci na nowo czytać słowo, nie tylko patrzeć na obraz – ale wycofujemy właśnie lektury obowiązkowe. Możemy uczyć je zadawać pytania: a co by było, gdyby każdy tak zrobił? Ale to już powoli zakrawa na opresję. Bo jeśli system wyjątkiem, to nie muszę tłumaczyć się z konsekwencji. Jeśli moje zachowanie nie podlega regule, to nie da się mnie ocenić. Nie da się mnie rozliczyć. A już na pewno nie można mi niczego „uogólnić” – przecież „nikt nie zna mojej sytuacji”. Pieprzenie Kanta daje realną korzyść – wolność od osądu.

Kant więc już pewnie nie wróci. Jego imperatyw tyle będzie miał wpływu na nasze życie, co łacińska paremia na gmachu Sądu Najwyższego dla podejmowanych w środku, całkiem czym innym motywowanych wyroków. Ale dokąd dojdziemy bez tego prostego pytania: a co by było, gdyby tak wszyscy? Bo przecież jeśli wszystko będzie wyjątkiem, nic już nie będzie zasadą. ●

W krainie wiecznej terażniejszości, do której zaprasza każdy smartfon, przyszłość to coś podejrzanego. Przede wszystkim jej nie widać

i konstruował abstrakcje. Człowiek obrazu patrzy, chłonie i reaguje. Włoski filozof Giovanni Sartori pisał, że „homo videns”, „człowiek patrzący” i wychowany na obrazie, traci zdolność myślenia pojęciowego. Bo obraz nie argumentuje – obraz uderza i zostawia ślad.

Pojęcia takie jak „sprawiedliwość”, „praworządność” czy „dobro wspólne” przegrywają z twarzami, które płaczą, krzyczą albo wzbudzają litość. Abstrakcja ustępuje przed konkretem. Powszech-

tasz, „czy to, co robisz, miałoby sens, gdyby wszyscy to robili?”, słyszysz, że każdy przypadek jest inny. Każdy ma swój własny imperatyw i jest ukształtowany przez unikalne mikrodoświadczenie kulturowe. A myślenie systemowe staje się podejrzanym o technokratyzm i zimno emocjonalne.

Tyle że w sprawach najważniejszych – zdrowie, prawo, demokracja – nie da się żyć według prywatnych prawd. Nie da się ochronić społeczeństwa przed epidemią,

15—17.08.2025

Olsztyn

green

festival

NA WARMII I MAZURACH

3 dni

3 sceny

36 koncertów

PLAŻA MIEJSKA

NAD JEZIOREM UKIEL

PRO8L3M

BRODKA O.SADZA

PAWEŁ DOMAGAŁA

SOBEL

MARGARET

NOSOWSKA / KRÓL

MROZU

ORGANEK MTV UNPLUGGED

i inni

ORGANIZATOR:

wyborcza.pl

WSPÓŁORGANIZATOR:

OLSZTYN

OLGOSZ TUDOR

WARMIA MAZURY

PARTNER GŁÓWNY:

LOTTO

PARTNER STRATEGICZNY:

PERŁA

PARTNER STRATEGICZNY:

HYUNDAI

PARTNER STRATEGICZNY:

ING

PARTNER STRATEGICZNY:

PEPSI

PARTNER STRATEGICZNY:

Energa

PARTNER STRATEGICZNY:

PayPo

PARTNER STRATEGICZNY:

NASK

PARTNER STRATEGICZNY:

Ministerstwo Cyfryzacji

PARTNER STRATEGICZNY:

dobra energia

PARTNER STRATEGICZNY:

chilizet

PARTNER STRATEGICZNY:

GAZETA.PL

PARTNER STRATEGICZNY:

ams

PARTNER STRATEGICZNY:

HELIOS

PARTNER STRATEGICZNY:

helios media

PARTNER TERENOWY:

OSIR

PARTNERZY EDUKACYJNY:

KORTO SFERA

PARTNERZY EDUKACYJNY:

Centrum Pracy i Innowacji

PARTNERZY EDUKACYJNY:

360

PARTNERZY EDUKACYJNY:

bueno

PARTNERZY EDUKACYJNY:

ORIFLAME

PARTNERZY EDUKACYJNY:

AZZARO

PARTNERZY EDUKACYJNY:

eacharel

PARTNERZY EDUKACYJNY:

instax

PARTNERZY EDUKACYJNY:

Jordan

PARTNERZY EDUKACYJNY:

essence

PARTNERZY EDUKACYJNY:

Alcon

PARTNERZY EDUKACYJNY:

MICHELIN

PARTNERZY EDUKACYJNY:

K

PARTNERZY EDUKACYJNY:

MPEC

PARTNERZY EDUKACYJNY:

zook

PARTNERZY EDUKACYJNY:

GALERIA WARMIŃSKA

PARTNERZY EDUKACYJNY:

Aura

PARTNERZY EDUKACYJNY:

89

PARTNERZY EDUKACYJNY:

REMONDIS

Co ustaliła komisja ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich

ADRESY IP PISANE CYRYLICĄ

Rosyjski szpieg w Polsce nie musi czołgać się w krzakach, żeby sfotografować koszary. Wystarczy, że kupi prywatną uczelnię

Z PROF. DR HAB. IRENĄ LIPOWICZ
ROZMAWIA ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Dlaczego do dzisiaj nie znamy wniosków komisji badającej wpływy rosyjskie i białoruskie w Polsce?

PROF. DR HAB. IRENA LIPOWICZ: – Sądzę, że ze względu na wielką politykę. W kwietniu kampania wyborcza wchodziła w decydującą fazę, a tematyka przez nas poruszana siłą rzeczy jest tematyką wrażliwą, która może być wykorzystana tendencyjnie do celów politycznych, oczywiście ku radości naszych zewnętrznych przeciwników. Jak rozumiem, zapadła decyzja, żeby poczekać z prezentacją raportu do dnia wyborów prezydenckich.

Kiedy wybrano nowego prezydenta, rząd skupił się z kolei na rekonstrukcji. A nasze wnioski wdrożeniowe dotyczą różnych części rządu, więc nie mogliśmy mieć pewności, czy minister, z którym rozmawiamy, będzie nadal pełnił swoją funkcję. Wzburzone, polityczne wody dopiero w tym momencie się uspokoiły, więc ministrowie będą mogli wypowiedzieć się o sprawach, których dotyczy ich resortów.

Proszę pamiętać, że na około 500 stronach zawarliśmy wiele tajnych, a nawet ściśle tajnych informacji. A jednocześnie aż jedna trzecia – co do częstotliwości – wejść na stronę internetową, gdzie umieszczono jawną część raportu z początku tego roku, pochodzi z rosyjskich adresów IP. Już teraz widzimy, że z tego, co przedstawiamy opinii publicznej, będzie obficie korzystał przeciwnik inteligentny, groźny i dostosowujący swoje działania do zdobytej wiedzy.

A dlaczego komisja została rozwiązana pod koniec lipca?

– Komisja została powołana zarządzeniem premiera Donalda Tuska rok temu i od początku wiedzieliśmy, że po sporządzeniu raportu zakończymy pracę.

Zdaję sobie sprawę, że część opinii publicznej czuje niedosyt informacji, czym dokładnie się zajmowaliśmy, ponieważ do tej pory nie odbyła się finalna, publiczna prezentacja wyników naszej pracy. Jednak od stycznia, po cząstkowej prezentacji skupionej na dezinformacji na stronie internetowej ministerstwa sprawiedliwości można zapoznać się właśnie z tą z częścią.

Byliśmy gotowi 7 kwietnia z kolejnym raportem, w którym analizowaliśmy różnorodne obszary administracji publicznej

podatne na wpływy rosyjskie i białoruskie i przedstawiali rekomendacje działania. Pracowaliśmy nad nimi dalej do lipca.

Jeden z członków komisji przekazał mi, że premier ani razu nie spotkał się z państwem. Odbyło się jedno spotkanie z ministrami, na którym byli obecni Adam Bodnar, Hanna Wróblewska, Tomasz Siemoniak oraz urzędnicy reprezentujący inne ministerstwa.

– Nie zamierzam ani potwierdzać, ani im zaprzeczać. Sposób pracy tej nietypowej komisji był odrębny.

Przez pierwszy rok mieliśmy okazję zapoznać się z jawnymi i tajnymi dokumentami w ścisłym reżimie bezpieczeństwa. Każdy członek miał dostęp do informacji niejawnych. W komisji pracowali akademicy oraz specjaliści od służb specjalnych i obronności. Tego typu zaawansowana współpraca była już dawno temu specjalnością amerykańską. Wydawało się, że ciężko będzie się nam porozumieć i podejmować wspólnie decyzje.

Tymczasem okazało się, że nam wszystkim naprawdę chodzi o państwo i jego odporność, więc świetnie się porozumieliśmy. Kontaktowaliśmy się z resortami, samorządowcami i parlamentem. Spotykaliśmy się z poszczególnymi ministrami i przekazywaliśmy im czasem istotne informacje, które dotyczyły odpowiednich resortów. W gestii premiera lub osób przez niego wskazanych pozostaje decyzja, czy i które treści raportu zostaną upublicznione.

Badaliście całą administrację publiczną. Nie omówimy wszystkich jej sfer, skupmy się więc na wybranych miejscach. W jaki sposób na działania Rosjan są narażone samorządy?

– Odpowiem nieco naokoło, dając przykład. W Polsce obowiązuje ustawa o dostępie do informacji publicznej, której służnie bronią – jako filaru demokracji – niezależne media i organizacje pozarządowe. Z tego dostępu wyłączone są ustawowo informacje niejawne oraz te dotyczące infrastruktury krytycznej.

Okazuje się, że do wielu samorządów, niekoniecznie przygranicznych, wpływają pytania w trybie dostępu do informacji publicznej o lokalizację ujęć wody, dróg, również ewakuacyjnych, umiejscowienia wiatraków, budynków urzędu gminy, planu tych urzędów czy instalacji nowoczesnych technologii niekoniecznie związanych z obronnością.

Zgodnie z „teorią mozaiki” w teorii informacji, te dane połączone w całość dają przeciwnikowi pełen obraz danej jednostki samorządowej. Wójtowie czy burmistrzowie alarmowali komisję o fali tego rodzaju zapytań, na które samorządowcy mają obowiązek odpowiedzieć.

Pojawia się więc nowy problem. Pamiętam, że kiedyś nie było dronów, którymi

dzisiaj można zniszczyć dowolną, precyzyjnie wybraną lokalizację na terenie gminy. W każdej chwili nasz przeciwnik może zaatakować na przykład wszystkie ujęcia wody pitnej w mieście, których adresy wcześniej otrzymał z urzędu na podstawie dostępu do informacji publicznej. Adres małego ujęcia wody pitnej nie są przecież ani wiadomością niejawną, ani nie jest związany z infrastrukturą krytyczną.

Jak można by uszczelnić prawo?

– Na podstawie ekspertyzy ustalono warunki zmiany prawa nienaruszające zapisów konstytucji. Mamy gotową propozycję, którą za pośrednictwem administracji rządowej można przekazać do parlamentu.

Mam nadzieję, że nowy prezydent nie zawetuje nowelizacji ustawy uszczelniającej dostęp do informacji oraz innych, podobnych zmian służących bezpieczeństwu.

Idźmy dalej: czy szkolnictwo wyższe jest zagrożone?

– Tak. Zgodnie z konstytucją uniwersytety mają poszukiwać prawdy, kształcić obywateli i budować naukowe relacje międzynarodowe. Nauka w Polsce cechuje się więc otwartością, poszukiwaniem partnerstwa za granicą. Mamy też uczelnie prywatne, które również są przedmiotem naszej dumy.

Ale czy sytuacja, w której obywatel Federacji Rosyjskiej kupuje polską uczelnię, a następnie może rekrutować do niej między innymi urzędników, żołnierzy i strażników granicznych na kierunek bezpieczeństwa wewnętrznego, jest dla nas do przyjęcia? Następnie może zlecić studentom tematy prac licencjackich i magisterskich na interesujące go tematy i może otrzymać prace o różnorodnych aspektach obronnych na przykład województwa podlaskiego.

W 2025 roku Rosja nie wykorzystuje tylko staroświeckich szpiegów, który z daleka fotografują koszary lub dworzec kolejowy. Szpieg dzisiaj nie musi czołgać się w krzakach. Wystarczy, że wygodnie kupi prywatną uczelnię.

To przykład hipotetyczny czy w Polsce jest taka szkoła wyższa?

– To nie jest przykład hipotetyczny.

I która to szkoła?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć. Taka szkoła może bardzo szybko zniknąć, a jej archiwa lądują za granicą.

Komisja przyjrzała się szkołom wyższym zajmujących się bezpieczeństwem. Z odpowiednimi resortami sprawdziliśmy, że w Polsce ponad 640 placówek zajmuje się tą tematyką. Czy my panujemy nad tym, kto tam wykłada? Czy wiemy, kto tak naprawdę jest właścicielem tych uczelni? Gdzie przechowywane są ich dane?



FOT. KREMLIN/RU

Oczywiście, w tej grupie są szlachetne podmioty, dobre szkoły, gdzie wykładowcami są zasłużeni oficerowie i profesoria zajmujący się od lat bezpieczeństwem kraju. Nie chodzi o to, aby zlikwidować te kierunki, ale powinniśmy jako państwo mieć lepszą kontrolę studiów, które są dofinansowane ze środków publicznych. Jeśli minister nie ma odpowiednich narzędzi prawnych, to należy je uzupełnić.

A przecież można było tę sprawę załatwić wiele lat temu, skoro w Polsce od lat działało Collegium Humanum, będące dzisiaj przedmiotem postępowania karnego. Ta szkoła jest przykładem niepokojąco podobnym do wzorców rosyjskich. W Federacji Rosyjskiej doktorat, zwykle plagiatowany, jest swoistym ozdobnikiem dla wyższych urzędników państwowych.

Tego typu szkoły skupiały się tam na rekrutacji ludzi władzy. Można więc postawić pytania: dlaczego u nas komercyjna szkoła wyższa, której celem jest przecież pomnażanie zysku, przeznaczająca z uszczerbkiem dla niego tak znaczne środki na promocję i zatrudnianie setek celebrytów? Dlaczego rekrutowano tyle osób ze sfer politycznych, władz samorządowych, oficerów?

Założenie Collegium Humanum inspirowała Rosja?

– Nie wiem, ale wzorce są dziwnie podobne z uczelniami rosyjskimi. Z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa wydawanie fałszywych dyplomów magisterskich i MBA, czego dotyczy obecne postępowanie prokuratorskie, jest niepokojące. Nie chcielibyśmy, żeby nasz przeciwnik „obsadzał” słabymi kadrami podmioty zarządzające gospodarką.

Do 2016 roku trzeba było zdać naprawdę ciężki egzamin lub ukończyć długie stu-



• Władimir Putin na uroczystości z okazji 100 rocznicy powołania GRU

dia MBA. Przepisy zmieniono w czasie „historycznego posiedzenia” w Sali Kolumnowej w Sejmie, gdzie przeniesiono obrady izby niższej i gdzie panował chaos. I właśnie wtedy, w tym dramatycznym momencie, ktoś akurat pamiętał o zmianach w dostępie do dyplomów MBA?

Od tamtej pory uczelnie mogły swobodnie je przyznawać. Boczny wejściem można było uzyskać uprawnienia do zarządzania spółką skarbu państwa, a więc naszym najważniejszym majątkiem. Takich wątpliwych szkół wyższych jest więcej.

Można rozważyć powołanie w resorcie szkolnictwa wyższego specjalnego zespołu, który odpowiedzialby na pytanie, czemu przez tyle lat nie wykorzystano istniejących mechanizmów kontroli. A jeśli były niewystarczające, czemu odpowiednio nie zmieniono prawa.

Co należałoby poprawić w prawie?

– Można uzależnić nabycie lub założenie szkoły wyższej albo średniej przez cu-

dzioziemka od zezwolenia, jak to robią inne kraje Unii.

Już teraz mamy w ustawie dobre rozwiązania, ale dotyczące utworzenia uczelni zagranicznych lub ich filii. Można rozważyć wprowadzenie rejestru kapitału zagranicznego oraz określić jego limity w strukturze właścicielskiej szkół wyższych. Wprowadzić obowiązek raportowania i transparentności struktury właścicielskiej, zwłaszcza informacji o beneficjentach rzeczywistych szkoły, co pozwoliłoby na monitorowanie niebezpiecznych zagranicznych wpływów. W toku wyjaśniania ostatniej afery wizowej uda się pewnie ustalić, czy niektóre uczelnie mogły być wykorzystane do legalizacji pobytu obywateli rosyjskich w Polsce bez podejmowania studiów.

Wszystkie te działania są zgodne z prawem Unii Europejskiej. Te kwestie są możliwe do realizacji niezależnie od toczących się postępowań prokuratorskich.

Weźmy absurdalny przykład: sklepy z jedzeniem. Czy one też są zagrożone?

– Wcale nie absurdalny. Zajmowaliśmy się jedynie kilkoma aspektami, ponieważ komisja nie badała podmiotów gospodarczych niebędących własnością skarbu państwa. Być może prześwietli je wyspecjalizowana komisja.

Wiadomo natomiast, że ochroniarze wielkopowierzchniowych obiektów handlowych narażonych na sabotaż mogą stanowić ukryty zasób przeszkolonych ludzi, z którymi już teraz trzeba rozmawiać i włączyć ich jak najszybciej do budowy systemu odporności państwa.

Na nowo zdaliśmy sobie sprawę, jak dwa sąsiednie państwa są nam wrogię, czego nie ukrywają w strategiach, oficjalnych dokumentach i wypowiedziach polityków. Mówią, że Polska nie zasługuje na niepodległość, że jesteśmy immanentną częścią Rosji, a tylko chwilowo – od 36 lat – nie znajdujemy się w obrębie jej dominacji.

Taka narracja oparta na pracach Iljina i Dugina, czyli głównych twórców nowej, agresywnej ideologii euroazjatyckiej, jest wykładana w szkołach, uczelniach wojskowych, prawosławnych seminariach duchownych. Takie podręczniki mają urzędnicy państwowi i oficerowie. Po 2014 roku niemal każdy resort, urząd i podmiot gospodarczy oprócz tego, co robi na co dzień, musi wykonywać wrogie działania przeciwko Polsce, krajom bałtyckim i innym krajom NATO.

Polska, jak twierdzą niezależni eksperci, bez własnej winy jest wrogiem Federacji Rosyjskiej. Resorty, urzędnicy i firmy codziennie wykonują nieszablone, innowacyjne działania przeciwko Polsce. Nie wyobrażamy sobie oczywiście sytuacji, kiedy tamtejszy minister obrony zleca agen-

tom na przykład zatrucie studni w Gdańsku lub manipulowanie świadomością przyszłych poborowych w województwie lubelskim. To bardziej skomplikowane. Podmiotom gospodarczym ten hipotetyczny minister mówi coś innego: jeżeli byście coś przeciw takiemu przeciwnikowi robili, to będzie się naszej władzy bardzo podobało. Metody są nieistotne.

Sektor gospodarczy w Rosji nie jest dzisiaj wynagradzany tylko za to, ile lodówek czy komputerów wyprodukuje, ale także za twórczy atak na interesy Polski, Estonii czy Litwy. A my wypieramy to zasadnicze niebezpieczeństwo, jesteśmy pogrążeni w naszych wewnętrznych konfliktach.

Ale oprócz tego Rosjanie wciąż „klasycznie” rekrutują agentów, szczególnie wśród młodych ludzi, nastolatków. Jak to wygląda w praktyce?

– Służby obserwują osoby, które korzystają z sieci, są osamotnione, mają problemy, co widać po intensywnym korzystaniu z serwisów społecznościowych. To zwykle chłopcy, którzy kontestują rzeczywistość, nie podoba im się oficjalny świat, więc szukają teorii spiskowych, niestandardowych kanałów informacyjnych w sieci. Taki chłopak ma wrażenie, że przeglądając TikToka lub Telegram, ogląda coś na wzór telewizji, nie zdaje sobie sprawy, że z ekranu telefonu może w każdej chwili wyjść łapa, która go zacznie dusić.

Na początku takiego nastolatka profiluje się, wyodrębniając go z konkretnej grupy wiekowej, utrwała jego nowe przekonania. Nawiązuje się z nim kontakt online, chociażby na stronach oferujących gry, schlebia się mu, daje poczucie wyjątkowości. Następnie zleca się proste i bezpieczne działanie – na przykład położenie jednej ulotki – za które otrzymuje niepropor-

Wójtowie, burmistrzowie alarmują: w trybie dostępu do informacji publicznej wpływają pytania o lokalizację ujęć wody, wiatraków, dróg ewakuacyjnych

cjonalnie wysokie wynagrodzenie w bit-coinach.

Pieniądze docierają, praca była żadna. I kiedy nasz nastolatek już chce się wycofać, widzi inną twarz „przyjaciela” z sieci, wcale nie występującego jako Rosjanin: słyszy, co stanie się z jego matką lub siostrą, jeśli nie przeniesie na przykład tajemniczego plecaka do supermarketu. Są mu wysłane drastyczne, rosyjskie filmy tortur z Ukrainy i Czeczenii.

Ten młody człowiek staje wobec dylematu: usłucha, z rozpaczy odbierze sobie życie albo zgłosi się po pomoc na policję. Znany mediom jest przypadek chłopca, który udał się do organów i praktycznie dobrowolnie przebywa w więzieniu, bo tylko tam jest bezpieczny.

Oczywiście nasi przeciwnicy mogą też pozyskać w tym trybie migranta, ale częściej zagrożeniem może być twój syn czy wnuk. Dlatego warto zobaczyć, co robi, porozmawiać z nim o poglądach, sprawdzić, czy nagle się nie radykalizował i czy nie jest już po drugiej stronie barykady. Powinna zapalić się czerwona lampka, jeśli twój syn lub wnuk nagle zaczyna opowiadać, że nienawidzi cudzoziemców, Europy, NATO.

Ale co dokładnie mógłby mówić na przykład mój brat, gdyby wpadł w sidła rosyjskich służb?

– Na przykład, że Ukraińcy to sztuczny naród, że ta wspólnota narodowa nie istnieje. To sztandarowa teza propagandy Federacji Rosyjskiej, podobnie jak przed 1939 rokiem Polska w propagandzie Rzeszy funkcjonowała jako „państwo sezonowe”. Chodzi o unieważnienie wzorca narodowego. To może być także używanie pojęcia „kolektywny Zachód”, typowo rosyjskiego żargonu.

Ile takich dzieci jest w Polsce?

– Trudno powiedzieć. Sprawa jest na tyle poważna, że jesteśmy w kontakcie z pedagogami i szkołami. Nauczyciele boją się, ponieważ widzą, że dzieje się coś dziwnego z niektórymi uczniami. Przygotujmy szybko dla szkół poradniki, jak rozmawiać z uczniami, dyrektorzy bardzo na nie czekają.

Jak Rosja traktuje tych młodych agentów? I jakie dostają zadania?

– Jak wiemy z literatury, są to agenci śmiectwi, o których nikt się nie upomni. Ci młodzi, czasem długo „uśpieni” agenci, mało kosztują, są z góry przeznaczeni na straty. Jeśli nie zerwą się ze smyczy, to złaپی ich nasze służby, ale jeśli oddadzą się pod opiekę polskich funkcjonariuszy – do czego namawiam każdego czytelnika, który być może jest już dzisiaj szantażowany – będą bezpieczni.

A jeśli chodzi o zadania, to może być przyłączenie się do międzynarodowej sieci cyberprzestępców, czyli popełnić przestępstwo bez wychodzenia z domu.

Ale po co Rosji tacy agenci? Po co jej 100 tysięcy nastolatków z Polski?

– Oczywiście nie aż tyle, bez przesady. Ale to po pierwsze cenna rezerwa w razie inwazji, po drugie nastolatkowie to przyszli poborowi, a po trzecie to długofalowa inwestycja.

W serwisach społecznościowych szaleje dezinformacja. Znamy ten mechanizm: ludzie przeglądają X czy Facebooka, gdzie mało kto weryfikuje wiadomości, tracą na tym prawdziwe media. Ale co chce osiągnąć Rosja w takim kraju jak Polska, który jest jednoznacznie antyrosyjski?

– Sprawa jest złożona. Wielu naszych krytyków twierdziło, że komisja jest niepotrzebna, ponieważ Polaków nie można przekonać do Rosji. Jednak mamy do czynienia z inteligentnym i sprawnym przeciwnikiem, który wie, że Polaka do rosyjskiego trybu życia czy rządzenia trudno na razie namówić.

Ochroniarze wielkopowierzchniowych obiektów handlowych narażonych na sabotaż mogą stanowić ukryty zasób przeszkolonych ludzi, których trzeba włączyć jak najszybciej do budowy systemu odporności państwa

Na razie! Proszę spojrzeć na Gruzinów czy Słowaków: ci pierwsi mają dzisiaj prosyjski rząd, a zdumiewająco spory procent Słowaków już wręcz deklaruje chęć przyłączenia się do Rosji. Proszę nie myśleć, że jesteśmy na wieczność zaszczerpień, szczególnie w sytuacji wojny kognitywnej, której rezultatem ma być zarządzanie refleksyjne, czyli przejęcie rządu dusz w naszym kraju.

W tym momencie władze Rosji nie chcą namawiać Polaków do przyjęcia ich systemu wartości, ten etap dopiero przed nami. Dzisiaj chcą zniszczyć nasze wzorce i system wartości. Stosują tak zwane Wielkie Kłamstwo. Przeciwnikowi jest wszystko jedno, czy wspierają skrajną prawicę czy lewicę. Chodzi o to, żeby nas napuścić na siebie, każda wiadomość, która może wywołać niepokój społeczny i wzajemną wrogość jest dobra dla Rosji. A tematy się zmieniają. Dlatego dzisiaj obserwujemy kampanie nienawiści wobec cudzoziemców, co kreuje dychotomię swój-obcy.

W jaki sposób państwo może wspierać prawdziwe, tradycyjne media? Nie jest tajemnicą, że przegrywamy z big techami nie tylko finansowo, ale też jeśli chodzi o zdobywanie uwagi czytelników. Czy komisja zajęła się i tą sprawą?

– W naszej komisji działał zespół wysoko wyspecjalizowany w przeciwdziałaniu dezinformacji, już opublikowane wnioski są fascynujące. W literaturze naukowej proponuje się finansowanie ze źródeł publicznych weryfikatorów informacji w mediach oraz instytucji zajmujących się *fact checkingiem*. Powinien również powstać organ państwowy, który nadzorowałby przeciwdziałanie dezinformacji.

Wiemy, że jej przewrotność polega na tym, że człowiek czerpiący niszczące „informacje” z jednego źródła nie jest w stanie samodzielnie przerzucić się na poważne media. Dlatego potrzebuje pomocy profesjonalistów. Być może takie medium jak „Wyborcza” powinna mieć na swojej stronie bieżący poradnik związany z przeciwdziałaniem dezinformacji, budowaniem odporności.

Ciekawy pomysł. A w jaki sposób mogą się ochronić samodzielnie przed rosyjskimi wpływami?

– Powinien pan dobrze zabezpieczyć swój komputer. To raz.

Dwa – zastanowić się, czy w przypadku ataku będzie miał pan dostęp zimą do prądu, czy urząd miasta pana już teraz o tym poinformował. Czy wisi w bloku instrukcja spoldzielni? Czy wie pan, gdzie w najbliższej okolicy w sytuacji blackoutu można zanieść noworodka lub osobę chorą? Gdzie zdobyć wodę?

Po trzecie – powinien pan zwracać uwagę, czy ktoś nieoczekiwanie nie zostawił na przykład schodowej pańskiego bloku na przykład stosu worków. Proszę zapytać sąsiadów, czy należą do nich. Jeśli nie – proszę poinformować służby.

Przy okazji wielu zamachów ludzie widzieli coś niepokojącego, ale wstydzieli się interweniować. Nie wstydźmy się: lepiej nawet na darmo zawiadomić kogo trzeba.

Od kiedy Rosja prowadzi te wszystkie działania, o których rozmawiamy?

– W oficjalnych dokumentach rosyjskich pojawia się cezura czasowa, od kiedy cały aparat państwa włączył się w wojnę kognitywną: to 2014 rok po aneksji Krymu. Rosja chyba uwierzyła w swoje siły i przystąpiła do działania. To właśnie wtedy na pytanie, co zrobić z Polską, zaczęto odpowiadać: oddzielić ją od stada i zagryźć. A naszym stadem jest Unia Europejska. A więc trzeba wzbudzić wrogość do Niemiec, Unii Europejskiej, zdestabilizować państwo, pozbawić zaufania do jego struktur i polityków.

Czego możemy spodziewać się w przyszłości?

– W tym momencie na zlecenie rosyjskich służb podpalane są hale targowe, składowiska chemiczne i wysypiska śmieci. Mamy w krajach NATO falę podpalen obiektów ściśle militarnych, ale też masztów telekomunikacyjnych, zwykle pod osłoną nocy i na razie bez ofiar śmiertelnych. Pożucie stresu i niepokoju ma zapewne być – według zleceńodawców – utrzymywane na tym samym poziomie. Czy kolejnym etapem nie będą podpalenia zatłoczonych centrów handlowych? Państwo musi brać każdy scenariusz pod uwagę.

Praktycznie w każdym resorcie mogą już powstać komórki od przeciwdziałania atakom z Rosji. Takie same zespoły – nzwane przeze mnie komisjami odporności – powinny powstać we wszystkich powiatach, na przykład z udziałem emerytowanego starosty, dyrektorki szkoły, strażaka. To adaptowanie dobrych doświadczeń Ukrainy. Miasta z kolei powinny znaleźć „cyfrowych bliźniaków” na terenie kraju, które w razie ataku na infrastrukturę zapewnią dalsze funkcjonowanie administracji publicznej. Chodzi między innymi o znalezienie serwerów, gdzie urzędy miast będą gromadzić kopie zapasowe dla e-administracji.

Gdzie szukać nadziei?

– Mamy armię, służby, dobre przygotowanie naukowe, silne społeczeństwo obywatelskie, innowacyjne samorządy. Oraz coś bezcennego, choć tragicznego dla Ukrainy, czyli możliwość uczenia się na krańcowych doświadczeniach. Po to, aby się uodpornić i dobrze przygotować na zagrożenia.

Jeżeli do nas w końcu dotrze, że sytuacja naprawdę wymaga naszego działania, to jestem przekonana, że nasze niezwykle społeczeństwo – jak pamiętamy to z czasów „Solidarności” – nagle się zjednoczy i znakomicie będzie współpracować. Bądźmy więc raz mądrzy przed szkołą, a nie po niej. I zaplanujemy racjonalnie nasze działania w administracji publicznej i w społeczeństwie. ●



Prof. dr hab. Irena Lipowicz

• w latach 2024-25 członkini Rządowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich. Była Rzecznikzką Praw Obywatelskich (2010-15), ambasadorką w Austrii (2000-04), posłanką, współautorką reformy samorządowej. Absolwentka i pracowniczka Uniwersytetu Śląskiego, do „Solidarności” wstąpiła w 1980 roku. W 1981 roku doktoryzowała się pracą „Sytuacja systemu informacyjnego w sferze prawa administracyjnego”. Po transformacji ustrojowej związana między innymi z Krajową Szkołą Administracji Publicznej, SWPS, obecnie profesorka UKSW.

My nie

Tu nie chodzi o to, czy Trzaskowski przerąbał wybory, tylko o to, że żyjemy w dwudziestej gospodarce świata, a miliony ludzi tego w ogóle nie czują.

Z ADRIANEM ZANDBERGIEM

POSŁEM, WSPÓŁPRZEWODNICZĄCYM PARTII RAZEM, KANDYDATEM NA PREZYDENTA W OSTATNICH WYBORACH, ROZMAWIAJĄ
KASIA BIELECKA | MARIA KORCZ

Razem, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, buduje się na krytyce rządu. Poczuł pan satysfakcję po przegranej Rafała Trzaskowskiego?

– Nie. Paliwo Razem to nadzieja na prospieczną politykę. A to, że akurat u władzy jest marny rząd Platformy, który rozczarował miliony wyborców, to po prostu fakt.

Tu nie chodzi o to, czy Trzaskowski przerąbał wybory, tylko o to, że żyjemy w 20-stej gospodarce świata, a miliony ludzi tego nie czują. Niedofinansowana ochrona zdrowia, szkoły, marne płace w budżetówce, brak inwestycji w przyszłość, w naukę, w rozwój – to nie powinno i nie musi tak wyglądać.

Ale przyznaje pan, że słaba forma rządu napędza wam wyborców.

– Oczywiście. Ludzie przychodzą do Razem, bo też są tym wkurzeni. Widzą, że moglibyśmy się rozwijać lepiej, bardziej sprawiedliwie, ale trzyma nas w miejscu paru facetów, którzy mentalnie tkwią w latach 90. I zamęczają Polskę tą swoją wzajemną nienawiścią, z której nic nie wynika.

Słyszał pan to pewnie wielokrotnie, ale powtórz: mogliście do tego rządu wejść i próbować coś z tym zrobić.

– Realny wpływ ma się tylko wtedy, kiedy od twoich głosów zależy większość w Sejmie. My nie jesteśmy potrzebni do tej większości. Chcieliśmy zapisać w umowie koalicyjnej dojdzie do 1 procenta PKB na mieszkania społeczne. Padło pytanie: „Kto jest za, kto przeciw?”. A potem: „Proszę odnotować, że tylko Razem się przy tym upiera”. To samo powtórzyło się przy ochronie zdrowia, inwestycjach w naukę. Mieliśmy wejść do rządu, żeby asystować w prywatyzacji szpitali i głozeniu nauki?

Jak to się kończy, kiedy większość nie zależy od Razem, widać w budżecie. Rząd przyjął budżet z 20-miliardową dziurą w NFZ, mamy najdłuższe kolejki do lekarzy od lat. Wszystkie partie koalicyjne za tym karnie zagłosowały.

Nam zależało na zmianie, nie na fuchach w spółkach skarbu państwa.

Lepiej może już w najbliższych latach nie być. Sondaże dają większość parlamentarną koalicji PiS ze skrajną prawicą. A Razem kolejny raz ląduje w opozycji.

– Dwa lata to bardzo dużo. W 2020 słyszałem, że PiS będzie rządzić wiecznie. A potem przyszła pandemia, wojna, wkurzenie ludzi na koryciarstwo – i PiS przegrał.

PiS umocniła mierność rządu Tuska. Korzystała na tym zresztą Konfederacja. Rosła, bo nie było wyrazistej opozycji wobec rządu poza nimi i PiS. Ale to się zmienia – w ostatnich wyborach ludzie rozczarowani tym rządem mieli inny wybór. Milion głosów na Razem, to głosy ludzi, którzy mają dość PO-PiS-u, chcą zmiany. Teraz nie są skazani na Mentzena.

Co zamierzacie robić, żeby przeciągnąć wyborców Konfederacji na swoją stronę?

Czy Razem pójdzie z PiS

sprzedaliśmy programu za stołki

– To się dzieje. Wiele głosów, które Razem zdobyło, to ludzie, którzy wcześniej myśleli o głosowaniu na Konfederację. Wybrali nas, bo przekonał ich program rozwoju, silnego państwa. Ale tu nie ma magicznych trików. Ludzie nie zmieniają zdania wskutek rozważań o „przeciąganiu elektoratu”, tylko wtedy, gdy ich polityk przekona konkretami.

To brzmi oczywiście bardzo szlachetnie, ale w polityce trzeba mieć też strategię.

– To jest nasza strategia – przekonujemy konkretami. Na spotkaniach nie pytam: „Proszę powiedzieć, czy pan był wyborcą Konfederacji, czy Hołowni?”. Po prostu mówię o tym, jak widzę przyszłość Polski. Jesteśmy wiarygodni, bo nie sprzedaliśmy programu za stołki, ludzie to widzą. Teraz naszym najważniejszym zadaniem jest dotrzeć z tym programem jak najszerzej. I to staramy się robić.

Wiem, że wielu ludzi wciąż dziwi, że istnieją wyborcy wybierający między Razem a Konfederacją. Mnie to nie dziwi. POiS-owy system rozczarowuje mnóstwo ludzi. A nasza odpowiedź – prospołeczna, solidarnościowa, taka, w której wolność to więcej niż tylko „wara od mojego portfela” – do nich trafia.

Jest jedna partia, która mogłaby powiedzieć coś podobnego. Nazywa się PiS. Wszedłby pan z nim w koalicję?

– Doprawdy, mogłaby? Chyba za czasów, gdy doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego był klasyczny socjaldemokrata pepeosowiec Ryszard Bugaj, a fanatyków religijnych trzymali z daleka od władzy. Ale to było kilkanaście lat temu. Dzisiejszy PiS wybrał inną drogę. To niestety nie jest droga umiarkowanych, prospołecznych konserwatystów, tylko panów Czarnków – wjeżdżania ludziom w ich prywatne, życiowe sprawy, li cytowania się na ideologiczne dziwactwa z prawą ścianą.

Wiecie panie, dlaczego PiS zagłosował przeciwko kretyńskiemu obniżeniu składki zdrowotnej, które miało zrujnować finanse publicznej ochrony zdrowia? Bo się przstraszyli. Na komisji ich posłowie jeszcze chcieli głosować za obniżką, bo „trzeba pomóc naszemu biznesowi”. Zmienili stanowisko dopiero na sali plenarnej. Dlaczego? Bo Marcelina Zawisza zagroziła, że jak to poprą, to będziemy przypominać przy każdym zamykaniem oddziale szpitalnym, że to ich wina.

O tym, że kiedyś byli partią prospołeczną, partią Lecha Kaczyńskiego, przypomnieli sobie dopiero ze strachu. Na co dzień za bardzo ich zajmuje szarpanina z tuskowcami, żeby się takimi pierdołami jak szpitale zajmować. Więc jaka to jest dzisiaj prospołeczna alternatywa?

Pytamy teoretycznie, bo na razie szansę na koalicję z PiS będzie miała raczej Konfederacja. W tej chwili przekonują prawie trzy razy więcej wyborców niż Razem.

– I to akurat jest wina Razem, do której się przynaję. Za długo zajęło nam zajęcie jednoznacznej pozycji – tak, żeby ludzie widzieli, że jesteśmy w opozycji do tego marnego rządu. Wcześniej Konfederacja i Mentzen mieli fory, byli jedyną alternatywą dla rozczarowanych, którzy nie chcą powrotu do patologii z ostatnich lat PiS.

Nie będę ukrywał – to było spowodowane sporem wewnętrznym. Przecięło go dopiero referendum partyjne i głosowanie przeciwko budżetowi. Niewielka, ale rozpoznawalna grupa polityczek została w klubie parlamentarnym Nowej Lewicy, z którego my wyszliśmy. I obraliśmy jasny kierunek.

Kierunek może i dobry, patrząc na wasz przyrost poparcia. Ale do bycia równym przeciwnikiem dla Konfederacji jeszcze wam daleko.

– Siła Konfederacji nie powstała z dnia na dzień. Te środowiska budowały ją przez dekady. Natomiast prospołeczne, wolnościowe myślenie ma krótszą historię. Przed pojawieniem się Razem przez długie lata nie było takiej partii. W latach 90. była Solidarność Pracy, Unia Pracy, ale później przyszła kilkunastoletnia wyrwa. SLD Leszka Millera był w praktyce partią centroprawicową, tylko z postkomunistycznymi korzeniami. To niestety musiało potrwać.

Częścią sukcesu prawicy jest umiejętność tworzenia symbolicznych wrogów, wokół których konsolidują się jej wyborcy – „lewaków”, „ideologię gender”. Dlaczego lewica tego nie umie? Przecież są takie figury, jak nieruchomościowi fliperzy, którzy mają podobny potencjał?

– Komu jak komu, ale nam trudno zarzucić, że o tych patologiach milczymy. Kryzys mieszkaniowy wywołany przez spekulacje to był jeden z głównych tematów mojej kampanii. Dyskusja o podatku antyspekulacyjnym od trzeciego mieszkania ma miejsce dlatego, że Razem go położyło na stole.

Ale to prawica ma monopol na gniew.

– Nie ma. Ale gniew to nie wszystko. Sam gniew jest pusty. Jest inna, równie ważna potrzeba – potrzeba przynależności do wspólnoty, za którą bierzemy odpowiedzialność. Ta wspólnota jest cholernie ważna. Bo tylko tak możemy postawić się korporacjom, tym, którzy mają realną władzę ekonomiczną – i ich politycznym pacyнком.

Razem przez wiele lat próbowało się pozycjonować jako wyważona partia socjaldemokratyczna. Odmieraliście zarzuty o radykalizm. A tymczasem, jak mówi nowy raport „Krytyki Politycznej”, radykalizm jest tym, co przyciąga młodych.

– Słowo „radykalizm” niewiele znaczy. Natomiast ludzie mają na pewno dość owijania w bawełnę, smętołenia, że nic się nigdy nie da zrobić. Chcą słyszeć, co polityk naprawdę myśli. Wiedzieć, że to na serio, że nie zmienią zdania 5 minut po wyborach.

Tak, był problem z tym, jak mówiliśmy. Byliśmy za grzeczni, za bardzo się przejmowaliśmy, co o nas pisał. Pod tym względem rozłam w partii był dla Razem ożywczy. Czytaliśmy sobie, że skoro nie chcemy klęczeć przed Tuskiem, to właśnie popełniamy samobójstwo, telewizje trąbiły, że dostanę pół procent głosów. No i jakoś się nie sprawdziło. Najwyraźniej Razem lepiej sobie radzi, jak się nie przejmuje tym, co też napisze o nas „Wyborcza”.

Czyli celowo przez całą kampanię wyborczą odmawiał nam pan rozmowy? Celowo dystansuje się pan od tradycyjnych mediów na rzecz skracającego na prawo YouTube’a?

– YouTube nie jest z definicji prawicowy. Ale jak lewicy tam nie było, bo poświęcała czas na zdobycie serc salonu, to miejsce zajęli inni. Razem nadal chodzi do plemiennych mediów – jednych i drugich, platformianych i pisowskich – ale jeśli możemy, mówimy do wyborców bezpośrednio.

Naszym wyborcom nie brakuje tego gędzenia, że PiS jest złem absolutnym albo że Platforma to zdrajcy Polski. Nasłuchali się tych mądrości przez pół życia, przy rodzinnych obiadach. Teraz chcieliby dla odmiany porozmawiać o sprawach, które ich dotyczą. A że łatwiej o to na YouTube niż w starych mediach, to już nie wina YouTube’a.



Wiele głosów, które Razem zdobyło, to ludzie, którzy myśleli o głosowaniu na Konfederację. Wybrali nas, bo przekonał ich program rozwoju, silnego państwa

Życie społeczne i polityczne staje się zakładnikiem zwrotu konserwatywnego. Wydaje się, że Razem też mu uległo...

...a ja mam poczucie, że w końcu walczymy skuteczniej. Nie klepiemy progresywnej nowomowy, która przekonuje mniej więcej nikogo, tylko odbieramy Konfederacji wyborców.

Ale schowaliście postulaty tożsamościowe – liberalizację aborcji czy prawa społeczności LGBTQ+. Kiedyś zachęcaliście do wstąpienia do Razem, odwołując się do wartości takich jak siostrzeństwo. Dziś reklamujecie partię „walką z koryciarstwem”.

– Nasz program się nie zmienił. Jesteśmy za złagodzeniem ustawy antyaborcyjnej. To rząd Platformy, Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi, który ma większość w Sejmie, przez półtora roku nie przyjął żadnych zmian. To wyłącznie ich odpowiedzialność.

Natomiast w naszej komunikacji faktycznie wydarzyły się zmiany. Tak, mówimy więcej o koryciarzach, bo to jest granda, co robią z majątkiem publicznym. To nie powinno tak wyglądać. Ale głównie wyjęliśmy kij z tyłka. Przestaliśmy się zachowywać jak najlepszy uczeń w klasie, który ma trzy przypisy do każdej wypowiedzi i skupia się głównie na tym, żeby przypadkiem nikogo nie urazić.

Dlatego zmieniliście też narrację w sprawie migracji? Przeglądając wasze serwisy społecznościowe, można odnieść wrażenie, że słowa potępienia zmieniliście na retorykę ośmieszenia postaw rasistowskich i ksenofobicznych.

– Jak coś jest żenujące, to będziemy to wyśmiewać. Dlaczego mamay tego nie robić?

A nasze stanowisko jest jasne: Polska powinna uczciwie rozpatrywać wnioski o azyl. Tak głosują nasi posłowie w Sejmie, także na ostatnim posiedzeniu, gdzie większość rządząca po raz kolejny to prawo zawiesiła. Ale też wyraźnie rozdzielamy: czym innym jest prawo do azylu, czyli przestrzeganie praw człowieka, a czym innym podejście do migracji ekonomicznej. Tu też mówimy wyraźnie – polityka migracyjna to nie może być wolnoamerykanka. Masowe rozdawanie wiz pracowniczych bez żadnej kontroli – to jest patologia. Polityka poprzedniego rządu była pod tym względem po prostu głupia. Ściąganie przez agencje pracy tymczasowej pracowników z Ameryki Południowej czy Azji

na warunkach niemal niewolniczych, łamanie przepisów BHP, prawa pracy, podcinanie stawek – temu się twardo sprzeciwiamy. Te patologie trzeba ukrócić przy samej ziemi.

Zawsze będziemy stać w obronie praw człowieka, ale nie jesteśmy naiwni. Jeśli chodzi o migrację zarobkową, mamy ostrożne podejście. Nie będziemy pożytecznymi idiotami agencji, które chcą rozwałać polski rynek pracy.

Nawet jeśli sondaże będą na granicy progu wyborczego, Razem nie rozważa startu z Nową Lewicą?

– Podchodzę z dystansem do sondaży, bo wiem, jak powstają. Weszliśmy w tę kampanię z sondażami, które dawały nam pół procenta. Ostatecznie dostaliśmy dziesięć razy więcej.

Przygotowujemy się na samodzielny start. Oczywiście z listami otwartymi dla osób spoza Razem, które myślą podobnie, którym nasz program społeczno-gospodarczy jest bliski.

Chwilę temu powiedział pan, że grudniowy rozłam pozwolił wam w pełni stanąć w opozycji do rządu i dopiero to pozwała Razem rosnąć. Tamten rozwód wyszedł wam na dobre?

– Co by się wydarzyło, gdyby sprężyna historii zgięła się inaczej? Nie wiem. Nie jestem specem od historii alternatywnej. Jeśli chodzi o polityczki, które „wybrały sprawczość” – sprawczości nie zdobyły, za to wspierają swoimi głosami marny rząd. Czy warto było? To pytanie od nich. Dla Razem bilans jest taki, że z partii odeszło 70 osób, a zgłosiło się jedenaście tysięcy.

Zresztą, my w pierwszych miesiącach nowego rządu naprawdę bardzo uprzejmie daliśmy mu szansę. Wielu ludzi w Polsce miało wtedy nadzieję na prawdziwą zmianę. Ale szybko okazało się, że tej zmiany nie ma. I dzisiaj jesteśmy w innym miejscu.

Ilu z nich zostaje na dłużej?

– Na to pytanie będę mógł uczciwie odpowiedzieć za pół roku, za rok. Na pewno budujemy strukturę tam, gdzie do tej pory byliśmy bardzo słabi. Dam przykład z ostatnich dni – przed kampanią prezydencką mieliśmy w Tarnowie dosłownie dwoje członków. A teraz, jak przyjeżdżamy po kampanii, w środku lata, na spotkanie otwarte, to przychodzi 200 osób.

Przez lata słuchałem, że nasz sufit to 200–300 tysięcy głosów, że możemy co najwyżej z jakiejś koalicyjnej listy wprowadzić kilkoro posłów z wielkich miast – i koniec. Pokazaliśmy w praktyce, że jesteśmy w stanie pójść dalej. Nie ma nic dziwnego w tym, że Razem jest najsilniejsze w wielkich miastach, w Europie lewica zwykle ma tam swoje twierdze. Ale żeby się rozwijać, musimy budować się w mniejszych miastach. To nasze zadanie na najbliższe lata.

To wystarczy, by w 2027 roku zająć wreszcie inne miejsca niż w ławach opozycji?

– Jeśli z jednej strony rządzi Kaczyński, z drugiej Tusk, to szanse na wyjście z klinczu – nawet w małych sprawach, jak sądownictwo – są skromne. I ludzie to widzą. Coraz więcej osób ma poczucie, że ci dwaj starsi panowie są tak zafiksowani na sobie, że nie zauważą, jak świat wybuchnie.

Naprawdę nie kojarzę rządu, który po niecałych dwóch latach zjechałby w sondażach tak nisko jak rząd Donalda Tuska. I to nie jest przypadek. Po prostu poszli w zupełnie innym kierunku niż ten, który obiecywali ludziom w kampanii. I za to się płaci. Politycznie. ●

Od razu się czuje ten vibe, ten rytm, ten styl. Idę przez miasto, które żyje, ktoś jedzie na rowerze, ktoś w różowych włosach idzie po kawę, robotnicy rozciągają kable wzdłuż ulicy, pijani mężczyźni awanturują się pod sklepem, dzwony dzwonią, a chłopak z Wolta wiezie jedzenie na rowerze.

„Oni chcą wszystko kontrolować”

Wzdłuż ulicy stoją piękne, stare kamienice. Jak się o niektóre oprzeć, tynk odpadnie, a inne opieraniem się strach byłoby zabrudzić. Szlachetne i klasyczne. Miałoby o silnych fundamentach. Cień Wiednia. I wszędzie plakaty, ogłoszenia, koncerty, imprezy, spotkania, inicjatywy, młodość i energia, i knajpa na knajpie.

Szimpla Kert, czyli słynny bar w ruinach, tętni ruchem setek ludzi, głównie turystów, bo dziś to w mieście must go, więc my też go.

– Magia tego miejsca to ludzie. Dzięki temu przetrwało pandemię – mówi Ágota Stella Janikovits, lokalna artystka, która dorabia w jednym z barów.

Jest po trzydziestce, pochodzi z Budapesztu, mówi, że maluje energię, bo sztuka jest kluczem do zmian. Na Węgrzech wymaga ona jednak odwagi. Ágota często się zastanawia, jak bardzo powinna być otwarta. Czy poniesie konsekwencje, jeśli swobodnie wyrazi swoje poglądy?

Byli tacy w Budapeszcie, którzy ze strachu przed utratą finansowania nie zgodzili się, by być w tym reportażu. Ágota się zgodziła i teraz odpowiada na rzucane przeze mnie tematy:

– Władza?

– Oni chcą wszystko kontrolować.

Wymyślają głupie zasady. Dziel i rządź. Na Węgrzech nie istnieje nawet załączek kultury debaty.

– Aborcja?

– Daj spokój! Starzy chcą decydować, co mam robić ze swoim ciałem? Szaleństwo!

– LGBT+?

– Znam wielu gejów, którzy myślą o przeprowadzce za granicę. Znajoma para ma problem, bo stara sąsiadka nie chce zaakceptować tego, że mieszkają razem.

– Młodzi?

– Jesteśmy zmęczeni i smutni, bo nie wierzymy, że cokolwiek się zmieni. Wiem, że za rok będą wybory, ale co, jeśli je sfałszują?

– Viktor Orbán zakazał Parady Równości.

– Parada się odbędzie.

– Idziesz?

– Idę!

Parada się odbyła. Dwa tygodnie po naszej rozmowie, 28 czerwca, ponad 200 tysięcy ludzi przeszło ulicami miasta.

My tymczasem mamy połowę czerwca i jedziemy stopem po Europie Środkowo-Wschodniej, a konkretnie po Słowacji, Węgrzech i Rumunii, by sprawdzić, jak się tu dziś tym stopem jeździ, i by pogadać z ludźmi o polityce.

„O co tu chodzi?”

Węgry przywitwały nas w Rajce tablicą: „Welcome! Family friendly Hungary”. Z przystanku zgarnęła nas Jana, zwolenniczka Orbána i Roberta Ficy (czytaj część I. „Autostopem przez Europę Środkowo-Wschodnią”), z którą pojechaliliśmy do Mosonmagyaróvár, trzydziestotysięcznego miasta, 16 km od granicy ze Słowacją.

A tam już lata 90. pełną gębą. Szaro, smutno i wszędzie plakaty z wściekłymi twarzami Wołodymyra Zełenskigo, Ursuli von der Leyen i Manfreda Webera. Wściekłymi, bo mają namówić Węgrów, by w referendum „Voks 2025” zagłosowali przeciwko przyspieszonej ścieżce akcesyjnej Ukrainy do Unii Europejskiej.

Nikt na nas nie patrzy, nikt nawet nie zerka, gdy stoimy w deszczu i machamy. Dlatego chrzanić to! Bierzymy pociąg,



Autostopem przez Europę Środkowo-Wschodnią – cz. 2

W BUDAPESZCIE *róże piją na smutno*

Stolica Węgier jest wielokulturowym centrum pełnym młodych ludzi, którzy są bardziej otwarci na świat.

A ludzie tacy jak Kaczyński czy Orbán nie szukają wrogów na wsi, tylko w miastach.

Tekst **Anna Wyrwik**
Zdjęcia **Jakub Włodek**



◀ **Budapeszt. Szimpla Kert.** Bar w opuszczonej kamienicy w Dzielnicy Żydowskiej. Jedno z najmodniejszych miejsc w mieście

▶ **Od góry:**
• **Plac Kossutha pod parlamentem.** Zsófia i Balázs z kolegami, podczas protestu Partii Psa przeciwko zakazowi organizowania Parady Równości (17.06.2025)

• **Ágota Stella Janikovits,** malarka i barmanka

• **dr Áron Demeter** z węgierskiego oddziału Amnesty International

• **Barnabas Kiss,** pisarz i niezależny wydawca

• **András Kádár** (z prawej) z węgierskiego Komitetu Helsińskiego



Węgry – trasa autostopem (238 km)



© GAZETA WYBORCZA

1784 kilometry, trzy kraje, trzy stolice

• Reportaż to jedna z trzech części cyklu, który powstał po podróży dziennikarki Anny Wyrwik i fotoreportera Jakuba Włodka przez Europę Środkowo-Wschodnią. Jechali stopem przez Słowację i Węgry do Rumunii. 1784 km z 22 kierowcami. Wśród nich byli zwolennicy

i przeciwnicy wszystkiego, 7 kobiet, 15 mężczyzn, 1 pies. Podwoziły ich głównie volkswageny, ale zdarzył się też pięknie wyremontowany czerwony bmw e30, renault z kierownicą po prawej stronie oraz wielki jak ciężarówka range rover rumuńskiego senatora...

• Byli w trzech krajach, trzech ich stolicach, w kilku miastach, miasteczkach i na wsiach, po to, by sprawdzić, jak się dziś tym stopem po naszej części Europy jeździ, oraz by pogadać z ludźmi o polityce

Za tydzień cz. 3 i ostatnia – wędrownia po Rumunii

drugi pociąg i jeszcze autobus, by dostać się do Felcsút, wsi Orbána, bo na Węgrzech rozmowa o polityce, to rozmowa o Orbanie.

Orbán urodził się w Alcsútdoboz, wiosce 5 km dalej, gdzie spędził część dzieciństwa, potem mieszkał w Felcsút, a gdy miał 14 lat jego rodzina przeniosła się do większego miasta. Jednak to Felcsút premier Węgier najbardziej sobie umiłował.

Idziemy główną drogą, która wieś dzieli na pół. Po prawej stronie są domy, zarzewia ogrodzenia, stary sztyl nieistniejącej Madagascar Muzik Café i sklep, a przed sklepem leży rozleniwiony kot i panowie piją piwo. Po lewej są domy, zarzewia ogrodzenia, stadion Páncs Aréna, budynki Puskás Akadémia FC, hotel Páncs i stacja benzynowa, na którą zajeżdżają kolejne pick-upy i bmw cabrio.

O co chodzi w tej wsi? Na pierwszy rzut oka nie wiadomo.

Zaczynamy od lewej. Idziemy do hotelu, by spytać o nocleg, i dowiadujemy się, że pokój jest, restauracja jest, wellness jest, gości mało, bo są, gdy są mecze i konferencje, a „Páncs” to ksywka Ferenc Puskása, najsłynniejszego piłkarza w historii Węgier. Następnie podziwiamy architektoniczne wyczyny Tamása Dobrosiego, który stworzył tu stadion jakby na wzór Stadionu Ludwika II w Monako, z dachem w stylu Franka Gehry’ego.

Na rogu ulic stoi dom z datą 2005, ale wygląda, jakby wyremontowano go w 2025. Białe tynk, spadzisty dach, drewniane okiennice, na oknie czerwone róże, płot z desek i flaga Węgier. To dom rodziny Orbána, do którego ten ponoć nigdy nie przyjeżdża. Na boiskach akademii piłkar-

skiej chłopaki kopią piłkę, strażniczka macha do nas, że absolutnie żadnego wstępu na teren stadionu nie ma, a po okolicy kręci się wycieczka z Budapesztu.

– O co tu chodzi? – rżnę głupa.
– To rodzinna miejscowość naszego premiera – mówi trójka mężczyzn i się śmieje.
– A klub dobry?
– Na nasze warunki dobry, na europejskie nie – i znowu się śmieją.

Idziemy na prawą stronę drogi.
– My nie rozmawiamy o polityce. Pokazujemy tylko turystom, gdzie, co i jak – mówi kobieta w sklepie.

Ma dzinsy, różową bluzkę, opaskę w barwy Węgier na ręce i mówi, że najczęściej turystów przyjeżdża z Budapesztu. Orbán raczej nie przyjeżdża.

– Czasem na mecz – mówią panowie, którzy siedzą pod sklepem w brudnych robotach ubraniach i piją piwo. Rozkładają ręce, jakby wszystko im było obojętne.
– Lubicie Orbána? – pytam na odchodnie. I tu pada gest wyprostowaną dłonią, jakby fale robila, czyli takie fifty-fifty.

„Atakują nas na trzy sposoby”

Viktor Orbán jest obecny w węgierskiej polityce od początku lat 90. W 1993 r. został przewodniczącym partii Fidesz i z krótką przerwą jest nim do dziś. Pierwszy raz premierem był w latach 1998-2002, a od 2010 dzierży rządy niepodzielnie.

– Gdy w 2010 r. Fidesz ponownie doszedł do władzy, rozpoczął się proces podważania wszelkich mechanizmów kontroli i równowagi – mówi András Kádár z Węgierskiego Komitetu Helsińskiego. – Władze zaczęły przejmować instytucje, których zadaniem jest kontrola ich działani, czy-

li Trybunał Konstytucyjny, Rzecznik Praw Obywatelskich, Sąd Najwyższy. Myślę, że w Polsce to znacie.

Znamy. Siedzimy w gabinecie, gdzie na ścianie wisi polski plakat z napisem „Konstytucja” w tym stylu, w jakim na koszulce nosi go Lech Wałęsa.

Kádár mówi o niszczeniu i przejmowaniu niezależnych mediów. Następnie przechodzi do walki z organizacjami pozarządowymi.

– Rząd atakuje nas na trzy sposoby. Po pierwsze, jest kampania oszczerstw oskarżających nas o bycie zagranicznymi agentami, służenie obcym interesom, Sorosowi itd. Po drugie, rząd finansuje tylko organizacje, które go wspierają, najczęściej te założone przez osoby związane z członkami Fideszu lub rodzinami członków Fideszu. Na dodatek rząd planuje ustawę, dzięki której będzie można karać organizacje przyjmujące zagraniczne finansowanie, czyli coś na wzór ustawy rosyjskiej. Trzeci sposób to zablokowanie organizacjom pozarządowym dostępu do instytucji publicznych. Nie możemy monitorować więzień, policji, aresztów ani ośrodków dla uchodźców. Nie mamy jak rozmawiać z ministerstwami.

Pytam Kádára, czy w takim razie wciąż można mówić, że Węgry to demokratyczny kraj.

– Odpowiedź poznamy w przyszłym roku po wyborach parlamentarnych. Jedni mówią, że opozycja wygra i przejmie władzę. Inni – że nawet jeśli wygra, system jest tak zabetonowany, że Orbán władzy nie odda. Jeszcze inni mówią, że do wyborów w ogóle nie dojdzie.

„Wyodrębniają grupę i ją piętnują”

Wybory parlamentarne odbędą się na Węgrzech w 2026 r. Na największego konkurenta Orbána wyrósł Péter Magyar, poseł do Parlamentu Europejskiego, który wcześniej związany był z obozem władzy, ale w 2024 r. przeszedł do młodej i mało aktywnej wówczas Partii Szacunku i Wolności (TISZA). Od tego czasu Magyar jeździ po kraju, udziela się, gdzie może, i organizuje manifestacje antyrządowe. Według sondażu opublikowanego pod koniec czerwca w węgierskim niezależnym tygodniku „HVG” na partię TISZA zagłosowało by 46 proc. Węgrów, a na Fidesz 35 proc.

– Wszyscy się zastanawiają, czy w przypadku zwycięstwa opozycji nastąpi płynne przekazanie władzy, czy też Fidesz zrobi wszystko, by nowy rząd nie mógł rządzić – mówi dr Áron Demeter z węgierskiego oddziału Amnesty International.

Tłumaczy nam krok po kroku, jak wyglądało niszczenie praworządności na Węgrzech, a ja się czuję, jakbym w przyspieszonym tempie przeżywała osiem lat rządów PiS.

– Nadzieję daje to, że w ostatnim czasie węgierscy sędziowie zaczęli głośno mówić o tym, co się dzieje. Wcześniej milczeli. Myślę, że zainspirowali ich sędziowie z Polski – mówi Demeter. I dodaje: – Nie zmienia to faktu, że jeśli opozycja wygra wybory, przywrócenie praworządności będzie bardzo trudne. Widzimy to na polskim przykładzie.

Jednym z powodów, dla których opozycja ma szansę na zwycięstwo, jest według wielu komentatorów zła sytuacja gospodarcza na Węgrzech.

– Fidesz przez długi czas wygrywał dzięki wzrostowi gospodarczemu, który jednak nie był ich zasługą, ale globalnych trendów gospodarczych i pieniędzy płynących z Unii Europejskiej.

Teraz trendy się zmieniły, a i też poziom korupcji i okradania kraju przez węgierskie władze jest coraz bardziej widoczny. Sieć powiązań rodzinnych i przyjacielskich między premierem Węgier a nowymi węgierskimi miliarderami to temat na osobny artykuł albo kilkutomową sagę.

Jednak nie tylko gospodarka była według Demetera atutem Fideszu.

– Są dobrzy w opowiadaniu historii. Mówią, że jesteśmy wyjątkowym krajem, że



• **Budapeszt. Dworzec Deli. Plakat referendum, w którym rząd pytał Węgrów czy Ukraina powinna być przyjęta do UE**



• **Budapeszt. Plac Kossutha pod parlamentem. Protest przeciwko zakazowi organizacji Parady Równości**

mamy wielu wrogów, ponieważ jesteśmy chrześcijanami i ludźmi tradycyjnymi, którzy wierzą w świętość małżeństwa i rodziny. Orbán jawi się jako jedyny, który może nas ochronić przed gejami, kobietami czy muzułmanami, którzy, jeśli go nie wybierzemy, przyjdą tu w liczbie milionów, zabiorą nam pracę i zgwałcą nasze żony i córki.

Znowu mam déja vu

Przechodzimy do tematu LGBT+, bo wciąż jesteśmy przed Paradą Równości i temat jest gorący. Przypomnijmy, że Orbán zakazał parady na mocy ustawy o wolności zgromadzeń z 18 marca tego roku. Daje ona policji podstawę prawną do zakazywania demonstracji, a poza tym umożliwia jej wykorzystywanie kamer do rozpoznawania

tworzy w celu identyfikacji uczestników i nakładania grzywien.

Do organizacji parady zobowiązał się jednak burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony, a wydarzenia miejskie nie podlegają ustawie.

– Autorytarne reżimy podążają tym samym schematem, czyli wyodrębniają grupę i ją piętnują. Na Węgrzech byli już uchodźcy, ludzie ze świata akademickiego, Romowie, NGO-sy, a teraz jest społeczność LGBT+. Przyjęto wiele ustaw przeciw niej, a ostatnio kolejną, która zakazuje tak zwanego promowania homoseksualizmu i zmiany płci. Jest fundamentem ustawy o wolności zgromadzeń, bo właśnie ona zakazuje organizowania marszów, które pokazywałyby, przedstawiały lub promowa-

ły homoseksualizm. Rząd argumentuje, że prawa dziecka są nadrzędne wobec wszystkich praw człowieka z wyjątkiem prawa do życia. Według rządu osoby LGBT+ są niebezpieczne dla dzieci. W skrócie: musimy je chronić przed Paradą Równości, ponieważ jeśli dzieci ją zobaczą, staną się gejami.

Demeter wymienia kolejne przykłady dyskryminacji osób LGBT+, pobicia na ulicach za trzymanie się za ręce, molestowania w miejscach pracy i inne rodzaje przemocy. Sytuacja przenosi się też na szersze działania firm i przedsiębiorstw.

W 2019 r. Węgierski Urząd Ochrony Konsumentów ukarał firmę Coca-Cola grzywną w wysokości 500 tys. forintów (ok. 65 tys. zł) za demoralizację dzieci.

Co było powodem? Plakaty, na których znalazły się przytulające i całujące się pary jedнопłciowe pijące coca-colę. Było to w ramach kampanii #loveislove promującej różnorodność miłości i równość ludzi. Mimo iż organizacje pozarządowe były pewnie wygranej koncernu w sądzie, ten wolał, jak mówi Demeter, dla świętego spokoju zapłacić.

Kolejny przykład: – Przedstawiciele jednej ze stacji komercyjnych powiedzieli nam, że nie kupowali amerykańskich seriali, w których byli homoseksualni bohaterowie – mówi Demeter. – Pracownicy niższych szczebli czasem sami podejmowali te „bezpieczne” decyzje, a dyrektor nic o tym nie wiedział. Tak działa ten system. Ludzie sami się cenzurują.

„Jak tak dalej pójdzie, niedługo na Węgrzech będzie jak w Rosji”

Wieczorem w Budapeszcie też czuje się ten vibe, ten rytm miasta, ten styl, może czuje się nawet jeszcze bardziej. Idziemy z Barnabaszem Kissem, właścicielem niezależnego Wydawnictwa &, i patrzymy na Budapeszt, który żyje: ktoś pali papierosa, ktoś idzie na piwo, pijani mężczyźni awanturują się pod sklepem, muzyka gra, a chłopak z Wolta wiezie jedzenie na rowerze. Barnabas człapie po chodniku starymi tenisówkami, w wytartych džinsach i koszulce The Rolling Stones.

– Budapeszt jest wielokulturowym centrum pełnym młodych ludzi, którzy są bardziej otwarci na świat – mówi. – Ludzie tacy jak Kaczyński czy Orbán nie szukają wrogów na wsi, tylko w miastach. W miastach żyją artyści, intelektualści, osoby LGBT+ i wszyscy ci, którzy marzą o wolności, więc są ofiarami ich rządów.



• **Felcsút. Rodzinna wieś Viktora Orbana, w której zbudował wielkie centrum treningowe i stadion Pancho Aréna (3 800 miejsc). „Pancho” to ksywka Ferenc Puskása, najsłynniejszego węgierskiego piłkarza**

Mapa wyborcza przedstawiająca wyniki wyborów parlamentarnych z 2022 r. wygląda tak, że jest cała pomarańczowa, jak barwy Fideszu, z trzema małymi wyjątkami: Szeged (trzecie co do liczby ludności miasto w kraju), Pecz (piąte) i Budapeszt (poza jedną dzielnicą).

– Mamy coraz mniej wolności, by publikować, by tworzyć... Coraz mniej praw – mówi Barnabas. – Walcząc z nami kolejnymi ustawami, jak ta, by chronić dzieci przed LGBT+. Absurd! Atomizują społeczeństwo, nastawiają ludzi przeciwko sobie. Teraz już nawet na protesty ludzie nie idą razem. Jeśli pójdą jedni, to inni nie, jeśli ci pójdą, to tamci zostają w domach.

Barnabas ma nadzieję, że wybory wygra Magyar. Choćby dlatego, że chce zobaczyć twarz Orbána, jak przegrywa.

– Chcę się poczuć tak, jak wy czuliście się 15 października 2023!

Sam zamierza zagłosować na MKKP (Magyar Kétfarkú Kutya Párt), czyli Węgierską Partię Psa o Dwóch Ogonach, która działa od 2006 r. (jako partia od 2014) i z satyry przeistacza się w realną polityczną siłę. W swoich pierwszych wyborach obiecywali dwa zachody słońca dziennie i darmowe piwo. Dziś organizują tłumne protesty antyrządowe. Biorąc pod uwagę, jak wiele miejsc w Budapeszcie ma na szybach naklejki z psem w krawacie w logo i jak wiele osób mówi o MKKP, mają szansę stać się tym – jak mówi Barnabas – elementem systemu kontroli i równowagi w przyszłym parlamencie.

Przychodzimy na plac Lajosa Kossutha przed budynkiem parlamentu, gdzie trwa protest.

– Demonstrujemy od marca w każdy wtorek – mówi Zsófia, młoda dziewczyna, która siedzi z flagą LGBT+.

– Demonstrujemy, bo na Węgrzech łamane są prawa człowieka – mówi Balázs, który siedzi obok. – Łamane są prawa dziennikarzy, dyskryminowane są organizacje pozarządowe.

– A parada się odbędzie? – pytam.
– Oczywiście!
– Idziecie?
– Oczywiście!

Pod parlamentem ludzi jest niedużo, bo to już końcówka demonstracji, więc część tańczy w kółku przy skocznej melodii, część trzyma transparenty z wizerunkami Orbána i jego współpracowników, z hasłami o „przyjaciółach Rosji” i „zdrajcach”, trzymają flagi Unii Europejskiej, tęczowe i węgierską flagę z kołem wyciętym w środku. Policjanci w rzędzie stoją przy barier-

Jedni mówią, że opozycja wygra wybory w 2026 r. Inni – że nawet jeśli wygra, to Orbán władzy nie odda. Są też głosy, że do wyborów w ogóle nie dojdzie

kach ze wzrokiem spuszczonej, smutni. Tak jak w Polsce stali.

– Dużo młodych – mówi Barnabas. – Może dla wielu z nich za rok to będą pierwsze wybory.

Pewnie będą dla dwójki chłopaków, którzy siedzą na ziemi, a obok leży transparent z sylwetką Putina i napisem: „Nigdy więcej Fideszu”.

– Nie podoba nam się to, co się dzieje na Węgrzech – mówi pierwszy.

– Jak tak dalej pójdzie, niedługo na Węgrzech będzie jak w Rosji – mówi drugi.

„Jestem po prostu rozczarowany”

– Czasem mam wrażenie, że na Węgrzech wielu ludzi marzy o powrocie do przeszłości – mówi Barnabas. – Nie wiem...

Siedzimy w barze, do którego się wchodzi, dzwoniąc domofonem, jak do mieszkania, bo jest trochę jak w mieszkaniu. Ludzie przy stolikach dyskutują w papierosowej ćmadzie. Z zaimprovizowanego we wnętrze baru dziewczyna sprzedaje piwo wyjmowane z kuchennej lodówki, palinkę i tosty. Knapa jest tajna, tylko dla wtajemniczonych, więc mimo że trochę niewtajemniczonych też się tu pojawia, bo magia internetu działa, nie napiszę, gdzie jest, by uszanować tych, którzy tu przychodzą na wielkie dyskusje do rana. Nasza wciąż jest o tym samym.

– W latach 80. i 90. pragnęliśmy wolności. Byliśmy pewni, że wolność równa się bogactwu, bo wiecznie wpatrzni w Austrię widzieliśmy, że mają i wolność, i pieniądze. Dostaliśmy wolność, ale bogactwa nie, więc czujemy się rozczarowani... Myślimy sobie, że no dobrze, mamy tę wolność, ale wszystko jest do bani!

Pijemy piwo, a Barnabas czochra się po kręconych włosach, poprawia okulary i mówi o edukacji. W krajach Europy Środkowo-Wschodniej ciągle o edukacji. O braku edukacji.

– Nigdy nie było na to czasu. Może jeszcze w latach dziewięćdziesiątych edukowano ludzi, by dbali o siebie, byli otwarci, niezależni i nie polegali tylko na władzy, ale też na sobie. Orbán to wszystko odwrócił. Sprawił, że ludzie poczuli się od niego zależni, bo obiecał im, że uratuje ich, ochroni, zaopiekuje się i wszystko zrobi za nich. „Nie róbcie żadnych niezależnych ruchów, zrobimy to za was”. Ech... Myślę, że trzeba pokoleń, by nauczyć się niezależnego myślenia i niezależnego życia. Tylko jak to zacząć, skoro nam nie pozwalają?

Pijemy piwo, palimy papierosy i gadamy o literaturze i sztuce, bo ileż można gadać o Orbanie, ale jego temat i tak wraca jak bumerang.

– Wszystko rozwalili. Kiedyś na Węgrzech były festiwale, była niezależna sztuka... Oni po kolei wszystko niszczą – Barnabas zaciąga się papierosem, w oczach ma smutek. Smutek i żal. – Czuję się przygnębiony, bo nie widzę światła w tunelu. Jestem po prostu rozczarowany. Żadne wiadomości na temat tego, co dzieje się na Węgrzech, mnie już nie zaskakują, i czuję, jak krok po kroku odbiera nam się wolność.

„Ha én rózsza volnék”

Idziemy przedmieściami Budapesztu. Stare budynki, samochody, graffiti i błękitne niebo, a na słupach ogłoszeniowych wiszą te same plakaty z wizerunkami Zelenskigo, von der Leyen i Webera. Za 10 dni będzie wiadomo, że w referendum wzięło udział ponad 2 mln Węgrów. 95 proc. z nich głosowało przeciwko akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej, 5 proc. za. Takie oficjalne wyniki ogłoszą władze.

My tymczasem trafiamy na dworzec, pociągiem na obrzeża, autobusem na stację benzynową, z kobietą, która po całym aucie ma porozrzucone katalogi z pościelą, na kolejną stację, a tam zagaduję do tirowców. Dowiadujemy się, że z Oradei jedzie mechanik samochodowy, który zostawia tu narzędzia i wraca do siebie.

Po chwili już siedzimy z nim w volkswagenie kombi i zmierzamy w stronę Rumunii. On pali papierosy, a ja patrzę na Węgry przez szybę samochodu i słyszę w głowie melodię, którą mężczyzna grał na trąbce, idąc po budapeszteńskiej ulicy, gdy czekaliśmy chwilę wcześniej na pociąg na podmiejskiej stacji. Dźwięk się roznosił, a ja patrzyłam na zniszczone okoliczne budynki i myślałam o tym budapeszteńskim vibie.

Jadę, słyszę dźwięk trąbki w głowie i myślę o smutnych oczach Barnabasa, jak zaciąga się papierosem, kręci z rezygnacją

głową i wbija wzrok w kufel. Miał w oczach taki smutek jak nikt podczas tej naszej podróży. Jakby na mnie spadł cały ten Budapeszt. Jedziemy, a ja myślę o tym, jak toczą się kręgi historii. Trąbkarz grał melodię starego węgierskiego protest songu „Ha én rózsza volnék”, czyli „Gdybym była różą”:

„Gdybym była bramą, byłabym zawsze otwarta,

Wpuszczałabym każdego, bez względu na to, skąd pochodzi,

Nie pytałabym, kto cię przysłał,

Byłabym szczęśliwa, gdyby przyszli wszyscy.

(...)

Gdybym była flagą, nigdy bym nie łopotała,

Gniewałabym się na każdy wiatr,

Byłabym szczęśliwa, będąc mocno rozwiniętą

I nie byłabym zabawką dla żadnego wiatru”.

Wjeżdżamy do Rumunii, na granicy stoją od lat nieużywane, żółte budynki dawnej kontroli, a ja wciąż słyszę tę trąbkę.

„Gdybym była oknem, byłabym tak duża,

By można było zobaczyć cały świat”. • A kurva életbe! (węg. ja pierdolę)

odcinek 3. Rumunia – 14 sierpnia w wydaniu specjalnym na długi weekend sierpniowy oraz na Wyborcza.pl

 **The Eastern Frontier Initiative**

- **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmocnienia europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są: 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellngcat.
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

„WYBORCZA” NA DŁUGI WEEKEND



W CZWARTEK 14 SIERPNIA

Czy wojsko pokocha silnego prezydenta Nawrockiego?

Fenomen sklepów Flying Tiger. Dlaczego tak trudno wyjść z nich z pustymi rękami?

W SOBOTĘ 16 SIERPNIA

Jak się szkoli w Polsce na prawo jazdy? Co trzeba naprawić?

Po co idziemy na strzelnicę? Kto dziś uczy się strzelać i dlaczego?

Trump naprawdę upokorzył przeciwnika i sporo osiągnął. Czemu nie jest sobą? Nie wykorzystuje okazji, nie buduje sobie pomnika?

Z **MICHAELEM SINGHEM**,
BYŁYM DORADCĄ
PREZYDENTA USA
I SEKRETAZEM OBRONY
ROZMAWIA
MATEUSZ MAZZINI

Wakacje z geopolitykiem

Glob gordyjski



• Amerykańscy żołnierze obalają pomnik Saddama Husajna stojący w centrum Bagdadu. (9.04.2003)

FOT. MIRRORPIX/GETTY IMAGES

MATEUSZ MAZZINI: Gdy mowa o Bliskim Wschodzie, znów czołówki zdominowała sytuacja Palestyńczyków w Gazie.

Niedawny atak Izraela na Iran, który miał trwale zmienić układ sił w regionie, już odszedł w niepamięć. Ten rozejm przeradza się w coś trwałego?

MICHAEL SINGH: Na takie pytania ciężko odpowiedzieć, bo nie za bardzo mamy przydatne analogie historyczne. W czerwcu było paręnaście dni bombardowań izraelskich i jeden dzień amerykańskich. Jeden dzień nalotów i koniec.

Chyba nikt na świecie nie wyobrażał sobie, że kiedy dojdzie wreszcie do konfrontacji Iranu z USA, to ona będzie tak ograniczona. Amerykanie zrzucili raptem parę ładunków, po czym Iran odpowiedział, ale teatralnie. Bardziej, żeby pokazać, że mogą, niż żeby rzeczywiście komuś zrobić krzywdę.

Trump dokładnie tego chciał, bo od samego początku sprzeciwiał się wszelkim formom długotrwałego, wyraźnego zaangażo-

wania wojskowego USA na Bliskim Wschodzie. Ten jeden dzień odstępstwa nie zmienił jego celu.

Czyli?

– Doprowadzenia do jakiejś umowy z Iranem. To, że zrzuciliśmy bomby, wcale nie wyklucza, że Teheran usiadzie do rozmów.

Problem z rozmowami po czymś takim jest inny – nikt w tej chwili nie wie, na czym stoi. Normalnie po pierwszej fazie nalotów oceniasz, co udało ci się zniszczyć: część ośrodków rozwaliliś całkowicie, ale pewnie jakieś elementy techniczne zostały wywiezione, kogoś z naukowców udało się ewakuować, może wzbogacony uran jedzie w ciężarówce po pustyni...

Ewoluujeś własne ataki – a teraz tego po stronie amerykańskiej i izraelskiej nie zrobiono. I oba kraje zachodzą w głowę: a może Iran coś jeszcze ma? Jakies wirówki, a może cały kompleks, o którym nikt nie wiedział? Więc możliwe, że za jakiś czas agencje wy-

wiadowcze zidentyfikują nowy cel i wszystko zacznie się od nowa.

No właśnie, ile wiemy o skali zniszczeń? Trump twierdził, że „całkowicie rozwalili” irańskie ośrodki nuklearne, ale wiadomo, że on nie wierzy raportom wywiadu i ignoruje konkluzje jego szefów. Nawet Tulsi Gabbard, kierującą amerykańskimi zasobami wywiadowczymi, entuzjastyczną trumpistkę i zaufaną prezydenta, która w kwietniu twierdziła, że Iran nie wzbogaca uranu do celów wojskowych. – Tu sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana, niż przedstawiają to media. Gabbard mówiła o czymś zupełnie innym niż to, o czym myślał Trump.

W dużym skrócie: ona i jej podwładni analizowali tylko, czy Iran będzie miał zdolności techniczne, żeby stworzyć bombę. Trumpa interesowało z kolei, czy w reżimie ajatollahów jest wola polityczna, żeby taką broń mieć. To trochę jak z policjantem,

w którego ktoś mierzy z pistoletu: policjant bierze pod uwagę, że broń może być nienaladowana, ale co, jeśli jednak jest? Kiedy ma strzelić? A może opuścić broń i wtedy tamten też ją opuści?

Istniały dowody, że Iran z technicznego punktu widzenia robił wszystko, żeby nabyć zdolność nuklearną. A nie było wiadomo, czy będzie chciał bombę ostatecznie zrobić. Stąd całe zamieszanie, które wybuchło publicznie, gdy Trump mówił, że irańskie ośrodki skasował w całości, a CNN ujawniło doniesienia wywiadu, że irański program cofnięto co najwyżej o kilka miesięcy.

Przy czym obie wersje mogą być prawdą.

Ślucham?

– W takich sytuacjach trzeba wrócić do słynnego powiedzenia Donalda Rumsfelda, sekretarza obrony u George’a W. Busha. On mawiał, że są rzeczy, o których wiesz, że wiesz, rzeczy, o których wiesz, że o nich nie wiesz, oraz te, o których nie wiesz, że nie

wiesz nic. Przejdźmy więc przez casus Iranu krok po kroku według tego schematu.

Co wiemy na pewno jako USA? Że trafiliśmy w irańskie ośrodki nuklearne – piloci nie spudłowali. Dane satelitarne i wywiadowcze pozwalają ocenić skalę zniszczeń na 80 procent. Możemy sobie potem to dokładnie przeanalizować, zobaczyć, gdzie rozwaliliśmy wejście do budynku, gdzie trudno będzie odtworzyć infrastrukturę i tak dalej. To proste.

Trudniej jest z rzeczami, o których wiesz, że o nich nie wiesz. Wiemy, że Iran wywiózł sporą część wzbogaconego uranu – ale gdzie on jest? To samo z wirówkami, o których i przed atakiem nie wszystko wiedzieliśmy, bo raporty Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej z czasów, kiedy Iran wpuszczał inspektorów, mówiły, że nie udało im się skatalogować wszystkich.

Przy czym wiemy, że tego nie wiemy. A jest jeszcze trzeci poziom, czyli rzeczy, o których nie wiesz, że nic o nich nie wiesz. I musisz je uwzględnić w procesie decyzyjnym, ale jak, skoro o nich nie wiesz?

Na przykład?

– Czy Rosja byłaby w stanie pomóc Iranowi rozwinąć zdolność nuklearną? Pewnie tak, ale nie dowiemy się, dopóki to się nie zacznie dziać. Tak samo z pytaniem o pełną skalę programu nuklearnego. Może są jakieś ośrodki, o których nie wiedzą ani USA, ani Izrael? Może oni takich centrów badawczych w górach mają siedem, a nie trzy?

Poza tym z analizą skutków czerwonych bombardowań jest problem typowy dla zachodnich operacji militarnych. Wszyscy – Amerykanie, Izraelczycy, Europejczycy – mamy tendencję do przeceniania naszych zdolności wywiadowczych. Zobacz, wszędzie słyhać zachwyty, jak to Mosad przeniknął na każdy poziom irańskiej architektury obronnej. Penetracja była totalna.

A wiemy, że była? Może tak, może nie. A jeśli są elementy irańskiego systemu, do których Mosad się nie dostał, bo o nich nie wiedział?

Dlatego i Trump ma rację – zbombardowane ośrodki są zniszczone w całości albo w dużej części – i CNN ma rację – bo Iran może być w stanie złożyć sobie bombę za kilka miesięcy, w innym ośrodku albo w bardziej decentralizowany sposób.

To przejdźmy do rozwiązania, które wiele osób na Zachodzie uznaje za najlepsze i ostatecznie rozwiązujące problem, czyli zmiany ustrojowej w Iranie. Co dalej z ajatollahami? Efekt flagi, ewolucja przywództwa, przewrót wewnętrzny?

– Te scenariusze się nie wykluczają. Ogromne społeczne niezadowolenie z władzy ajatollahów i względny liberalizm sporej części Irańczyków, którzy czują się częścią „cywilizowanego” świata, nie wykluczają antyzachodniego nacjonalizmu. To nie jest zero-jedynkowa sytuacja, w której ktoś albo kocha Chameneiego, a nienawidzi USA, albo chce obalenia reżimu, a kocha Amerykanów. Szybko się o tym przekonałszyśmy w Iraku, kiedy obaliliśmy Saddama. Mnóstwo Irakijczyków cieszyło się, że dyktatora już nie ma – a wcale nas u siebie nie chciało, więc zaczęli z nami walczyć. Ci sami, którzy wcześniej walczyli z Saddamem.

Na pewno ataki Izraela i USA były ciosem w prestiż reżimu, i w polityce krajowej, i zagranicznej. Ale czy śmiertelnym? Jeśli już istniały rozłamy w obozie rządzącym, wojny frakcyjne, to na pewno ktoś ten kryzys spróbuje wykorzystać, dążąc do zmiany przywódcy. I po przetarasowaniach na szczycie będzie nowa strategia, głównie w kwestiach dyplomatycznych i bezpieczeństwa.

Ale równie możliwe, że rywalizujący liderzy uznają, że Ameryka i Izrael stanowią dla nich wszystkich śmiertelne zagrożenie, więc cała polityczna elita postanawia trzymać się razem. Zakopują topory wewnętrznych wojen, wolą przetrwać, niż próbować ewoluować. Wtedy nastąpi przykręcenie śruby w kraju, bo kogoś trzeba dla pokazu ukarać, a Iran nie ma już zdolności, żeby uderzyć w Waszyngton czy w Tel Awiw.

W sumie to wszystko wygląda na fajne ćwiczenie intelektualne i nic więcej. Na studiach mój wydział stosunków międzynarodowych organizował gry kryzysowe, gdzie robiliśmy mniej więcej to samo, co my teraz. Jest sposób, żeby wyjść z symulacji i dowiedzieć się, co jest najbardziej prawdopodobne?

– Można przeprowadzić kilka testów, na co ajatollahowie są gotowi. Po pierwsze – proponujesz im rozmowy w sprawie programu nuklearnego. Pewnie się nie zgodzą, ale szansa zawsze jest. Nawet jak z tych rozmów nic nie wyjdzie, to możesz ich obserwować przy stole podczas samych rozmów o propozycji i wyedukować, czy są zjednoczeni, czy wewnętrznie podzieleni. Potem próbujesz ich prowokować do wystąpień publicznych – i analizować postawy, odkodować przekaz, który zawsze jest skierowany do środka, nie na zewnątrz. Zastawiasz pułapki i patrzysz, co robią. Musisz się nauczyć, że ostateczny cel nie musi być największą nagrodą.

Tylko czy ktoś w Waszyngtonie serio chce zmiany w Iranie? Nie. Oczywiście administracja Trumpa to eklektyczna zbieranina różnych ludzi o bardzo różnych poglądach, ale nie wydaje mi się, żeby po doświadczeniach z Iraku i Afganistanu ktokolwiek chciał wysłać wojska na Bliski Wschód, budować demokrację w Iranie, wspierać społeczeństwo obywatelskie. Zwłaszcza że ludzie obecnej administracji mimo wszystkich różnic światopoglądowych w jednym zawsze byli zgodni – w krytyce republikańskich poprzedników właśnie za tego typu działania.

Zmianę ustroju w Iranie Waszyngton przyjmie z entuzjazmem, jeśli wydarzy się spontanicznie. Ale nikt nie będzie próbował do niej doprowadzić.

Użyj twojego argumentu – te pozycje nie muszą się wzajemnie wykluczać. Przecież Waszyngton mógłby wspomóc upadek ajatollahów, a potem Iran po prostu zostawić, nie biorąc udziału w kłopotliwym budowaniu czegoś nowego.

– W pewnym sensie właśnie to zrobił Trump. Izraelczycy zaczęli konflikt, mocno osłabili irańskie zdolności obronne, potem Ameryka dołączyła, niszcząc ośrodki nuklearne – ale bez tego, co zwykle, czyli wspierania diaspory, budowania załączka rządu na uchodźstwie, który mógłby w razie czego wejść w pustkę po reżimie. Bo tak naprawdę celem Waszyngtonu jest jakiś układ z Iranem. Trump najbardziej chciałby, żeby Ali Chamenei, osłabiony nalotami i upokorzony, usiadł do stołu i coś podpisał.

Ciekawi mnie, jak w tej układance pozycjonuje się Netanjahu. Zaraz po izraelskiej ofensywie było sporo analiz, że on zbudował się na tyle, żeby eskalować ataki w regionie jeszcze bardziej. Że Izrael już jawnie zamierza być jedynym bliskowschodnim mocarstwem.

– Żadnej izraelskiej eskalacji nie będzie. Spójrz na to szerzej, z uwzględnieniem USA. Z tego, co wiem, administracja nie ma żadnej spójnej, konkretnej, długotrwałej strategii dla Bliskiego Wschodu. Naloty na Iran nie były częścią większego planu. Gdyby taki istniał, omawialibyśmy teraz realizację jego kolejnych etapów.

Skoro już uderzyłeś w największego szkodnika w regionie, upokorzyłeś go, ograniczyłeś jego zdolności militarne – to teraz wykrzystaj to i zrób coś wielkiego, zbuduj sobie na tym pomnik. W tym przypadku to mogłaby być wielka normalizacja stosunków regionalnych, przywrócenie Syrii do obiegu międzynarodowego, zbudowanie relacji Izraela z Arabią Saudyjską. Ale do osiągnięcia tych rzeczy potrzeba zawieszenia broni w Gazie.

Amerykanie mogliby teraz zakomunikować Izraelczykom: czas na spokój, i tak więcej wojskowo przeciwko Hamasowi nie osiągniecie, za bardzo już nie ma czego atakować, skupmy się więc wszyscy na tym, co po wojnie – rekonstrukcja, budowa administracji, systemu bezpieczeństwa. Ale kiedy Bibi przyjechał do Waszyngtonu, nikt nawet niczego takiego nie bąknął.

Amerykańska dyplomacja za Trumpa: codziennie słońce wschodzi na nowo, każdy dzień to nowe rozdanie. Dzieje się to, co się dzieje, a nie to, co się ma dziać

Dlaczego ogon macha psem? Naprawdę Biały Dom nie ma żadnego instrumentu nacisku na Bibiego?

– Nie chodzi tylko o to, że nie ma woli politycznej. Obecna administracja nie uprawia dyplomacji w sposób usystematyzowany. Znikło planowanie, analizowanie scenariuszy. Codziennie słońce wschodzi na nowo, każdy dzień to nowe rozdanie. Dzieje się to, co się dzieje, a nie to, co się ma dziać. A to dlatego, że wszystko decydowane jest ad hoc. Amerykańska polityka zagraniczna jest rezultatem tego, co w danym dniu za interesuje, poruszy czy zdenerwuje Donalda Trumpa.

Po pierwszej wojnie w Zatoce, w 1991 roku, był wielki plan. Konferencja madrycka, potem intensywne negocjacje pokojowe Izraela z państwami arabskimi. Najpierw manifestacja siły ognia w regionie, potem zwycięstwo i próba przekucia go w zyski strategiczne. Teraz nie ma w ogóle takiego systematycznego myślenia. Jakby z punktu widzenia USA nic się w Iranie nie wydarzyło.

A z punktu widzenia Europy? Widzisz w ogóle miejsce dla niej w tym układzie, jakkolwiek rolę?

– Nie. Europa nie ma nic do powiedzenia na Bliskim Wschodzie, i to jest głównie konsekwencja jej własnych decyzji. To skutek wyborów z poprzednich lat. Bliski Wschód to specyficzne miejsce na ziemi, które potrzebuje bardzo konkretnych rzeczy.

Po pierwsze, pomocy w zakresie bezpieczeństwa, czego Europa nie jest w stanie zaoferować, bo Europejczycy przez lata rozmontowywali własny przemysł obronny. Po drugie, na Bliskim Wschodzie jest zapotrzebowanie na inwestycje – i tego Europa też nie zapewni, na pewno nie w takim stopniu jak Chiny czy USA zdolne zainwestować znacznie szybciej dużo większe środki. I po trzecie, żeby być silnym graczem na Bliskim Wschodzie, trzeba mieć narzędzia presji. A Izrael, Iran, inni gracze w regionie nie specjalnie się przejmują tym, co Europejczycy o nich myślą.

Europejscy przywódcy przez 20 lat nie zrobili nic, żeby zbudować sobie na Bliskim Wschodzie strefę wpływów. To oznacza, że dziś jesteście bardzo słabo przygotowani do obrony własnych interesów strategicznych. Przecież każdy kryzys na Bliskim Wschodzie może bezpośrednio destabilizować Europę,

The Eastern Frontier Initiative

- **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmocnienia europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i Bellingcat (Holandia).
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

dowodem był kryzys migracyjny w 2015 roku. A dodatkowo przez to zaniechanie tracicie na innych frontach, bo mieć wpływ na Bliskim Wschodzie, to mieć wpływ w Waszyngtonie.

Wyobraź sobie sytuację, w której europejskie państwa są w stanie przeprowadzić szybką operację wojskową w krajach bliskowschodnich bez udziału i zgody USA. Biorąc pod uwagę europejskie PKB, to naprawdę powinno być możliwe. Gdyby tak było, Amerykanie by na Europę patrzyli zupełnie inaczej. A jeśli Unia Europejska z przyczyn etycznych czy historycznych brzydzi się wpływami militarnymi, mogłaby się wysilić gospodarczo. Mogłaby na przykład pokazać Amerykanom, że jest wiarygodnym partnerem w nakładaniu i przestrzeganiu sankcji wtórnych.

Ale tego też nie ma, bo Bruksela nie jest spójnym podmiotem geopolitycznym, tylko tworem wewnętrznie podzielonym. Dopóki nie odbudujecie arsenału narzędzi, którego dobrowolnie się zrzekliście, w czasach kryzysów zawsze będziecie na lasce innych.

Co grozi Europie w tej chwili? Kolejny kryzys migracyjny? Napływ uchodźców?

– Wszystko, łącznie z atakami ze strony Iranu. Dopiero co niemieckie służby aresztowały agenta irańskiego wywiadu. Po czerwonym upokorzeniu Irańczycy będą szukać sposobu, żeby zadać ból wszystkim nam na Zachodzie. A że ich tradycyjne i dotychczas skuteczne narzędzia – własne rakiety, arsenał, siła i wpływ Hezbollahu, ataki Huti w Jemenie – zostały prawie w całości unieszkodliwione. Zostały im więc terroryzm, ataki w cyberprzestrzeni, drony.

Europa jest na takie rzeczy szczególnie narażona. Spójrz na to z perspektywy ajatollahów. Siedząc w Teheranie, musisz się liczyć ze zbrojną odpowiedzią USA i Izraela, ale ze strony Europy nic ci nie grozi. Europa nie odpowie na żaden atak. Przez długie lata Europa nie pokazała światu, że jest gotowa na jakąkolwiek akcję odwetową po zamachu, dlatego Iran może uznać, że stanowi łatwy cel. Koszty niskie, a zyski spore, bo upokorzony reżim pokazałby, że wstaje z kolan.

Ale upadek reżimu to też dla was nic dobrego. W kierunku Europy ruszy nowa fala uchodźców. Syria, Irak, Afganistan – jedynym państwem, którego brakuje na uchodźczej mapie regionu, jest Iran.

Jeśli nie Europa, to może kraje Zatoki Perskiej? W końcu to ich region, ich sąsiedztwo.

– Rozmowa o zaangażowaniu państw zatok w stabilizację całego regionu przypomina tę o roli Europy w NATO. Katar, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie muszą wziąć większą odpowiedzialność, zacząć używać swoich zasobów, a nie tylko spychać wszystko na Amerykanów. Ich liderzy nawet zaczynają coś robić, lecz używają dyplomacji, unikają użycia siły. A jeśli następuje jakaś projekcja arabskiej siły, to na zewnątrz, poza regionem. Co jest zrozumiałe, bo to nie Bliski Wschód jest źródłem ich strategicznej pozycji.

Te państwa są silne tak długo, jak długo mogą bezpiecznie produkować ropę, a potem sprzedawać ją na całym świecie. Stąd dla nich ważniejsze jest bezpieczeństwo międzynarodowych szlaków handlowych niż stabilność regionu. Mogą odegrać jakąś rolę na Bliskim Wschodzie, ale inną, niż chciałby Zachód. Prędzej zaangażują się inwestycyjnie, także poza samym regionem. Mogą wspierać negocjacje pokojowe w innych częściach świata, próbować ograniczać konflikty i radykalizmy – Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie już to robią, budując swoje zdolności dyplomatyczne i soft power. Ale czegoś w stylu „Zjednoczonych Arabskich Sił Wojskowych” stabilizujących Bliski Wschód się raczej nie doczekamy. To kompromis, na który musimy pójść, jeśli chcemy, aby Arabowie jakoś nam pomogli.

Warto też zmienić postrzeganie tych krajów po naszej stronie – bo to nie są już małe, bardzo bogate, ale nic nieznaczące geopolitycznie monarchie. Powinniśmy na nie

patrzyć tak, jak na Brazylię czy Indie, czyli wschodzące potęgi średniego szczebla, które mają i zasoby, i poczucie, że mogą oddziaływać na całą planetę.

Dzisiaj od tego, czy masz marynarkę wojenną, którą możesz wysłać na drugi koniec świata, ważniejsza staje się twoja zdolność do inwestowania w czyjś sektor technologiczny. Liczba ludności czy położenie geograficzne też tracą na znaczeniu. Arabia Saudyjska jest najszybciej rozwijającą się gospodarką w grupie G20, co daje jej większe prawo do nazywania się „wschodzącą potęgą międzynarodową” niż Indiom, które są olbrzymie i mają o rzędy wielkości większą ludność, ale sporo mniejszą zdolność wywierania wpływu poza swoimi granicami.

A więc to możliwe, że w przewidywalnej przyszłości państwa Zatoki zbiorowo wywrą na Izraelu i Iranie taką presję, żeby ten konflikt rozwiązać raz na zawsze?

– Ona już jest wywierana, ale dyskretnie, za zamkniętymi drzwiami. Te kraje nie mają skłonności do ryzyka, dlatego nie chcą niczego robić publicznie. To prosta zasada: każda publiczna runda negocjacji pokazuje światu, jak bardzo jesteś w stanie się zaangażować i co możesz na siebie wziąć, a państwa Zatoki nie lubią takiego rozgłosu – może poza Katar, jedynym, który aktywnie i publicznie bierze udział w negocjacjach multilateralnych.

Katańczycy ponoszą spore koszty takiego zaangażowania, narażają się na krytykę, choćby z powodu ich relacji z Hamasem, ale przyjęli założenie, że coś za coś – to ogromnie bogaty kraj, ale mały, bez potencjału militarnego, bez głębi strategicznej. Dlatego obrał strategię bycia miłym dla wszystkich, próbując wejść w rolę bliskowschodniej Szwajcarii.

Ale jeśli jesteś, dajmy na to, Arabią Saudyjską, twoja sytuacja jest zupełnie inna. W przypadku jakiegokolwiek inicjatywy pokojowej z udziałem Izraela i Palestyny bierzesz na siebie większe ryzyko. Musisz wziąć pod uwagę nie tylko interesy Izraela, interesy Palestyny, w te interesy Ameryki, ale też własne nastroje społeczne. Siadając do stołu z Bibim, narażając się na gigantyczną krytykę w kraju i w regionie.

Właśnie, na ile ta awersja do ryzyka jest podyktowana kwestiami finansowymi i rynkiem ropy, a na ile – nastrojami społecznymi? Jakiś czas temu książkę koronny – a w praktyce już władca – Mohammed bin Salman mówił sekretarzowi stanu USA, że chętnie by potępił Hamas, lecz 80 procent populacji jego kraju to młodzi ludzie, którzy są wściekli na Izrael. Ale czy to nie jest wykręt, skoro mówimy o monarchii absolutnej, która bez skrupułów stosuje przemoc wobec poddanych?

– Każdy rządzący w każdym kraju Zatoki jest doskonale świadom jednej rzeczy: największe zagrożenie dla twojej władzy pochodzi nie z zewnątrz, ale ze środka. Niekoniecznie ze środka twojego kraju, ale ze środka świata arabskiego. Spójrz, co się stało po podpisaniu Porozumień Abrahamowych z 2020 roku, które normalizowały stosunki Izraela z Emiratami, Bahrajnem, Marokiem i Sudanem. Zaczęła się ogromna współpraca gospodarcza Arabów z Izraelczykami, ale współpracy politycznej nie było w ogóle – dlatego, że państwa arabskie w pierwszej kolejności oglądają się na inne państwa arabskie, nikt nie chce zrobić pierwszego kroku.

Dlaczego?

– Bo każdy boi się o własną legitymację do rządzenia. Panuje strach, że kto wylaśnie się z niezwerbalizowanego arabskiego konsensusu, obrazi arabską opinię publiczną, zapłaci za to jakąś rewoltą, zamachem. Wszystkie reżimy w Zatoce Perskiej charakteryzują się ogromną niepewnością, brakiem zaufania wobec własnych mieszkańców i nieufnością wobec ludności arabskiej jako takiej. Dlatego przywódcom tych państw jest znacznie trudniej wykonywać gesty, które politykom z USA czy z Europy

przychodzą relatywnie łatwo. Saudyjczycy nie będą deklarować, że zaatakują tych czy tamtych, bo wiedzą, że to wywoła ferment u nich w domu.

No i dlaczego mieliby się wychylać, narażać, skoro wiedzą, że wszystkim zajmą się Amerykanie? Gdyby Stany nie były obecne militarnie na Bliskim Wschodzie, Emiraty czy Saudowie musieliby podjąć jakieś ryzyko. Ale jeśli nawet izolacjonista Trump nie zmniejsza zaangażowania USA w regionie, śmiało mogą publicznie popierać Palestynczyków, realnie nic nie robiąc. Bezkosztowo uspokoją swoich mieszkańców, a wszelkie problemy na zewnątrz – mniejsza, czy na dobre, czy na złe dla arabskich pobratymców – rozwiąże za nich Waszyngton.

No właśnie, dzisiaj Stanami rządzą ludzie bardzo krytyczni wobec dekad amerykańskiej aktywności w regionie. Wiceprezydent J.D. Vance, sekretarz obrony Pete Hegseth to weterani z Iraku, Elbridge Colby, najważniejsza postać Pentagonu, zbudował pozycję na krytyce wejścia do Iraku i Afganistanu. Wszyscy oni uważają, że te wojny były „kretynskimi” decyzjami. Co dalej z Ameryką na Bliskim Wschodzie, jeśli kierują nią ludzie z bliskowschodnią traumą?

– Ameryka nie ma innego wyboru, musi być tam aktywna. Nie ma znaczenia, czy sami tego chcemy, czy zostajemy do tego zmuszeni i czy będziemy sobie tutaj, w Waszyngtonie, nawzajem powtarzać – że chcemy się wycofać z Bliskiego Wschodu czy Europy, żeby zwiększyć obecność na Pacyfiku. Ameryka definiuje siebie samą jako globalną potęgę...

Mike, serio? Nadal? Z tą administracją?

– Oczywiście, że tak.

Sorry, przecież oni wszyscy, od prekursorów trumpizmu z Tea Party z pierwszej dekady XXI wieku po samego Trumpa i zwolenników Make America Great Again, gorąco deklarowali, że Amerykanie zbyt długo przelewali krew i dolary, narażali się dla innych. A teraz przeszli od słów do czynów. To, co robi obecna administracja – szybko nudząc się negocjacjami Ukrainy z Rosją, szczytami NATO, zrywając sojusze handlowe – potwierdza, że mówili serio.

– Mateusz, skupmy się na faktach.

Fakty u mnie w Warszawie są takie, że za wschodnią granicą mojego kraju Ukraincom kończy się broń, a Rosjanie ich mordują, bo prezydent USA „nie stoi po niczyjej stronie”.

– Tak mówi. Ale Ameryki nie stać na wycofanie się z całego świata. Bez względu na to, co słyszymy w mediach, powrót do rzeczywistości z drugiej połowy XIX wieku, kiedy Ameryka wymuszała wpływy i profity w Ameryce Łacińskiej, w Azji i na Brytyjskich, ale bez angażowania się militarnego i finansowego, jest niemożliwy.

Marco Rubio może sobie opowiadać o „strefach wpływów”, Partia Republikańska może zadeklarować, że od teraz nasz kraj nie jest zainteresowany przeciwdziałaniem zmianom klimatycznym czy wspieraniem praw człowieka – ale przecież nie jesteśmy gotowi zostawić Azji Chińczykom czy Europie Rosjanom. Nie zamknijemy się na naszej półkuli. Rzuć okiem na nowy budżet obronny – nie ma zwiększenia wydatków na działania na półkuli zachodniej. Koncentrujemy się na deportacjach nielegalnych latynoskich migrantów, ale nie zwiększamy swojej obecności wojskowej w tej części świata.

Ale we własnym kraju już tak. Zaraz po zaprzysiężeniu Trump wysłał trzy tysiące dodatkowych żołnierzy na granicę z Meksykiem. A w jego otoczeniu jest frakcja, która powtarza za ojcem pierwotnego sukcesu Trumpa, spin doktorem wizjonerem Steve'em Bannonem, że all security is homeland security, bezpieczeństwo wewnętrzne i nic więcej.

– Tylko że to nic nowego. Od początku amerykańskiej państwowości były u nas ten-

dencje izolacjonistyczne, tezy, że powinniśmy być „fortem Ameryka”, obojętnym na to, co dzieje się na świecie. I z grubsza przez pierwsze 150 lat tak było. Bezpieczni za dwoma oceanami, mieliśmy u siebie niezmierzony kontynent do ekspansji, więc nic dalej nas nie interesowało. Ale pod koniec XIX wieku zaczęliśmy dochodzić do granic kontynentu, gdzie zderzyliśmy się z meksykańskimi Kreolami, chwilę później na Morzu Karaibskim z Hiszpanami, nastąpiła kolonizacja Filipin, Puerto Rico – i zaczęliśmy nabierać wagi i znaczenia globalnie. Ale izolacjonizm zawsze tu był, tak samo w latach 30., podczas II wojny, w latach 50. Teraz po prostu wraca, mówiąc to, co zawsze: zostawmy Azję Chinom, zostawmy Europejczykom walkę z Rosjanami, skupmy się na naszym podwórku.

I jak zawsze nic takiego się nie dzieje. Bannon jest głosem z marginesu, efektywnym i politycznie użytecznym, ale bez wpływu na realia.

Arabskie monarchie już nie są tak nieistotne geopolitycznie, jak bogate. Powinniśmy na nie patrzeć tak, jak na Brazylię czy Indie

Choćby dlatego, że odcięcie się od świata dziś nie byłoby już możliwe. Zagrożenia ze strony Rosji czy Chin to nie są jakieś odległe, fantomowe strachy. Rosyjskie myśliwce naruszają naszą przestrzeń powietrzną na Alasce. Chińskie lodolamacze poruszają się na granicy naszych terytoriów na północy. Pekin może w każdej chwili odciąć nas od metali ziem rzadkich. Cyberwojska nie znają granic, mogą w każdej chwili uderzyć w nasze elektrownie, szpitale, samochody z wi-fi. Czasy, gdy mogliśmy pozwolić krajom europejskim czy azjatyckim się niszczyć, a my budowaliśmy w spokoju gospodarczą potęgę, zaczęły się kończyć wraz z silnikiem odrzutowym, a skończyły z nastaniem internetu.

Czy administracja Trumpa zachowuje się, jakby chciała ograniczyć swoje zaangażowanie na świecie? Mówię o realnych ruchach, nie o retorycznych popisach. Nie – bo owszem, polityka zagraniczna nawet w przypadku USA koniec końców jest reaktywna wobec rzeczywistości. Owszem, wydajemy więcej pieniędzy na kontrolę i bezpieczeństwo krajowe, ale jednocześnie wzmacniamy marynarkę wojenną. Budujemy myśliwce F-47. Budujemy antyrakietową Złotą Kopułę. Utrzymujemy zaangażowanie na Bliskim Wschodzie – bo na Bliskim Wschodzie nieustannie wybucha jakiś kryzys. Wysyłamy broń Ukraincom, mamy żołnierzy w Europie, zwłaszcza na wschodniej flance – bo tam jest teraz kryzys, który zagraża naszym interesom. Nie wysyłamy lotniskowców, żeby kręciły kółka wokół Tajwanu – bo tam w tej chwili kryzysu nie ma.

A jednocześnie Pacyfik jest teraz dla nas obszarem kluczowym. Nie chcemy prowokować Chin, ale nie możemy dopuścić do sytuacji, w której nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na przykład na agresję wobec Tajwanu, bo to zaszkodzi naszym interesom w ogromnym stopniu. Ludzie tacy jak Colby tym martwią się najbardziej.

Tym, czyli Chinami?

– Tym, że będziemy zbyt rozproszeni, żeby zareagować na kryzys dla nas naprawdę poważny i bezpośredni. To nie tak, że ktoś w Białym Domu czy Pentagonie uznaje Bliski Wschód albo Europę za kompletnie nieważne dla Ameryki. Oni się boją, że angażując się tu lub tam długoterminowo, wyczerpiemy zapasy amunicji, sprzętu i kiedy coś nam wybuchnie w rękach na Pacyfiku, nie damy rady odpowiedzieć.

To sensowne podejście, problem w tym, że polityka zagraniczna polega na szukaniu

równowagi pomiędzy planowaniem na wypadek przyszłych, hipotetycznych kryzysów i reagowaniem na te rzeczywiste, które już się dzieją. A w amerykańskiej dyplomacji zawsze był z tym kłopot, nie tylko za Trumpa.

W Białym Domu przy Bushu spędziłeś trzy lata. Wcześniej byłeś doradcą Colina Powella i Condoleezy Rice. Znasz ten świat na wylot. Gdzie popełniście błędy?

– Nie powinniśmy byli wchodzić do Iraku. Za nic w świecie. Irak całkowicie wykołbał amerykańską politykę zagraniczną na długie lata i traumatyzował amerykańskie społeczeństwo, naraził na konkretne niebezpieczeństwa kraje europejskie, zdestabilizował ich politykę, nie mówiąc o bezpośrednich tragediach milionów ludzi na Bliskim Wschodzie.

Już w latach 90., w czasach radosnej globalizacji po zakończeniu zimnej wojny w dyplomacji, think tankach, w obu partiach byli ludzie, którzy przeczuwali, że ta nasza cywilizacyjna misja szerzenia „amerykańskich wartości” na całym świecie prędzej czy później doprowadzi do nadmiernego rozproszenia amerykańskich zasobów. Nieśliśmy wolny rynek i demokrację kolejnym narodom, a nie zauważaliśmy, że zmniejsza się dystans pomiędzy nami a Chinami. I że tworzymy system globalnej prosperity, dzięki któremu bogacą się dosłownie wszyscy, czyli również Chiny i Rosja. Żadna z tych rzeczy nie była rozsądna w ujęciu strategicznym.

Ale interpretując lekcje z 11 września i Iraku, musimy być ostrożni, żeby nie przegiąć w żadną stronę. Jesteśmy w podobnym momencie, co w latach po wojnie w Wietnamie. Kiedy nasze wojska wyszły stamtąd, w Waszyngtonie zapanował konsensus, że już nie powinniśmy używać siły militarnej – nigdy i nigdzie. Dopiero pojawienie się Reagana sprawiło, że naród chciał się znowu zaangażować, uwierzyliśmy, że możemy wygrać zimną wojnę. Reagan przyszedł z wizją Ameryki jako lśniącego miasta na wzgórzu, drogowskazu dla reszty świata – i trochę się w tym zapędziliśmy.

Nową zmienną w tym porównaniu jest Trump. On nie podziela reaganowskiego podejścia, wiary w Amerykę, w jej siłę i zdolności przywództwa. Owszem, ciągle powtarza, że jesteśmy „najbardziej hot państwem na świecie”, ale to bardziej nostalgia, głębokie poczucie żalu i resentment niż energiczne spojrzenie w przyszłość.

Epoka Reagana w wielu kwestiach kojarzy się fatalnie – zniszczenie zaufania do instytucji państwowych, atak na solidarność społeczną, deregulacja, późny kapitalizm, neokolonialne interwencje w Ameryce Łacińskiej, odrodzenie obyczajowego i religijnego obskurantyzmu... Ale w polityce zagranicznej musimy odzyskać ducha czasów Reagana, to nasze poczucie zobowiązania wobec świata i optymizm. Ameryka musi być zaangażowana, żeby być Ameryką. ●



Michael Singh

• dyrektor zarządzający The Washington Institute for Near East Policy, najważniejszego amerykańskiego centrum analitycznego zajmującego się kwestiami bliskowschodnimi. W latach 2005-08 był dyrektorem departamentu Bliskiego Wschodu w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego w administracji George'a W. Busha. Wcześniej pracował jako doradca sekretarza obrony Colina Powella i sekretarz stanu Condoleezy Rice. Współtworzył strategię polityki zagranicznej w kampanii prezydenckiej Mitta Romneya w latach 2011-12. Wykładał na Harvardzie, zasiadał w wielu komisjach doradczych przy Senacie i Izbie Reprezentantów USA.

Wysiadają z Mercedesów i wspólnie płaczą

ZNUZONY MĘZCZYZNA *po czterdziestce*

Męskie kręgi. Nic tak nie tuli bólu istnienia, jak spotkanie z samcem, którego boli tak samo.

Artur Nowak



• Świątynia Pashupatinath w Katmandu. Andrzej Nowak i sadhu - starzec, który wyrzekł się życia świeckiego, żeby poświęcić się medytacji, modlitwie i duchowej praktyce. - Byliśmy razem może minutę, a ja poczułem, jakby z głowy spadło mi kilo gwoździ – lekkość, której nie da się wytłumaczyć, tylko poczuć - mówi autor tekstu

Około 45. roku życia coś się zmienia. Masz już swoje lata, jesteś poważnym facetem – z doświadczeniem, wiedzą, może nawet z osiągnięciami, o których kiedyś marzyłeś. Powinno być łatwiej. A jednak coś jest nie tak. Entuzjazm wyparował, motywacja osłabła, zaangażowanie coraz częściej się kruszy. W głowie zaczyna krążyć pytanie: czy to wszystko jeszcze ma sens?

Jedni nazwą to wypaleniem, inni kryzysem wieku średniego, jeszcze inni – andropauzą. Niezależnie od etykiety uczucie jest podobne: pustka i rozczarowanie. To, co kiedyś cieszyło – sukcesy i awanse, stabilizacja, dom, samochód – przestaje mieć znaczenie. Pojawia się przewlekłe znużenie. Zjawisko *male midlife unraveling* – rozplątanie wieku średniego – różni się od klasycznego kryzysu tym, że popycha nie ku impulsywnym zmianom, lecz ku stopniowemu rozczarowaniu.

Badania opublikowane w „Harvard Business Review” pokazują, że satysfakcja życiowa osiąga najniższy poziom w połowie czterdziestki. Jak sobie z tym poradzić? Długo wstydzilem się głośno o to zapytać. Ale wreszcie trzeba było zdecydować: udawać dalej czy stanąć z tym twarzą w twarz?

Przed wszystkim warto dać sobie prawo do kryzysu. To nie porażka, lecz naturalny etap rozwoju. Życie nie biegnie po prostej – jest pełne zakrętów, przystanków i nagłych przyspieszeń. Banał, ale dobrze go sobie uświadomić. Ale to czasem za mało. Wtedy nie wstydz się, poszukaj wsparcia.

Nic nie pomaga tak jak rozmowa z drugim człowiekiem – kimś z krwi i kości, kto sam przeszedł tę drogę. Nic tak nie utuli bólu istnienia jak spotkanie z samcem, którego boli tak samo. Nie wymyślono dotąd niczego lepszego niż grupa wsparcia.

• Spotykamy się w miejscu, gdzie nie wypada przyjechać najnowszym mercedesem. Nie dlatego, że nikt go tu nie ma. Raczej dlatego, że nikt nie chce nim imponować. A w zasadzie, bo nie ma tu takich, na których to robi jeszcze wrażenie. Na tych wyjazdach – warsztatach, kręgach męskich, coachingach – staramy się coś nadrobić. To elementarz, bez którego nie da się iść dalej w życiu.

Przychodzimy w klapkach. Często dosłownie. Milionerzy i setni milionerzy. Faceci, którzy po komunie budowali w Polsce kapitalizm: flipy, rundy inwestycyjne, excelowe cuda. Ludzie sukcesu, którzy teraz uczą się... siedzieć. Po prostu siedzieć. Na tyłku. Przez godzinę. Bez telefonu, bez pitchowania, bez LinkedIna. Zjawisko „kryzysu osiągnięć”, jak je nazywa amerykańska psycholożka Susan David, to pułapka, w którą wpadają mężczyźni ze szczytów hierarchii: zaczynają odczuwać bezsens wcześniej wyznaczonych celów. Sukces społeczny nie chroni przed emocjonalnym głodem, często go nawet potęguje, bo odbiera prawo do zwątpienia.

Dlatego mężczyźni z elity biznesowej są dziś jedną z grup najczęściej sięgających po alternatywne formy rozwoju osobistego. Jeszcze wczoraj zabetonowani na duchowość, dziś nie dość, że chodzą boso i przytulają się do drzew, to jeszcze szybko uczą się specyficznego języka. To bywa zabawne. Słyszę na przykład, że „coś ich zawołało”, że „to przyszło do nich w medytacji” albo „zarezonowało z ich polem serca”. Opowiadają, że „wysłali intencję do wszechświata” i „odpuścili kontrolę”, bo „głowa puściła, a ciało przemówiło”. Zamiast pitchować, próbują „pomieścić swoją złość” i „wejść w przestrzeń czucia”. Ale w tym towarzystwie, kiedy ktoś mówi, że „puściło mnie na oddechu” albo „byłem w totalnym procesie”, nikt się nie śmieje.

Najpiękniejsze, co słyszałem, to to, kiedy prezes zarządu, co do niedawna miał opinię buldoga negocjacyjnego, siada w kręgu i mówi: „Chciałem się podzielić, że dzisiaj wyszło mi dużo smutku z miednicy. Ale czuję, że jestem z tym w zgodzie, bo coś mnie zawołało do bycia z tym, co niewygodne”.

Wszyscy milkną, aż któryś szepcze z uznaniem: „Ależ ty to pięknie pomieściłeś, bracie”.

Przebiecie? Być może. Ale to ponoć naturalny etap nowicjusza na ścieżce transformacji. Lepsze zresztą to niż siedzenie na dupościsku w domu i udawanie przed bliskimi, że wszystko masz pod kontrolą.

W wieku 50 lat uczymy się puszczać emocje. Czasem mamy zajęcia w parach. Patrzę w oczy kolesia, który kiedyś sprzedawał start-up za kilkadziesiąt baniek. – Słuchaj, ja nie wiem, jak zapytać syna, jak się czuje – mówi. – Zawsze myślałem, że coś osiągnąłem... – zawiesza głos –...a teraz dzieci mówią, że jestem nudny. Że mnie nie ma, nawet jak jestem. Rozumiesz coś z tego?

Coś zaczynam rozumieć. Choćby to, że mamy wszystko, ale nie umiemy z tego korzystać. Mamy środki, narzędzia, ale nie język. Brak języka emocji to temat, który wraca w badaniach nad alexithymią męską – trudnością w nazywaniu i przeżywaniu emocji uwarunkowaną zarówno biologicznie, jak i kulturowo. Według profesora Ronalda Levanta, psychologa z Uniwersytetu Akron, większość mężczyzn w wieku średnim uznaje, że nie umie rozmawiać o emocjach z własnymi dziećmi – i to niezależnie od statusu społecznego. To objaw i jednocześnie efekt wyuczonej samotności. Emocjonalnego analfabetyzmu.

• W pewnym wieku – po czterdziestce, zwykle bliżej pięćdziesiątki – coś się zacina. Jakby wewnętrzny silnik, który przez dekady gnał na pełnych obrotach, nagle zaczął się krztusić. To nie dzieje się nagle. Objawia się raczej przez drobne pęknięcia: rosnące zmęczenie, drażliwość, bezsenność, obojętność na to, co kiedyś ekscytowało. Twarz niby ta sama, nawet niekoniecznie postarzała, wielu nadal wygląda na późną trzydzistkę, ale oczy nie błyszczą. Jakby dusza przesiadła się na tylne siedzenie i tylko patrzyła, dokąd to wszystko zmierza. Świat, w którym żyjesz, który zbudowałaś w pocie czoła, wydaje się obcy.

Dobrze oddaje ten stan amerykański filozof Ken Wilber: – Mój umysł jest sztuczny, myśli też mam sztuczne, ukształtował je ktoś inny lub coś innego i trudno mi uwierzyć, że należę do mnie. Myśli skonstruowane przez kosmicznego inżyniera, myśli nie-żyjące. Kto zaprogramował ten bajzel, który nazywa się mną?

Odpowiedź jest banalna: my sami sobie. Na opisanie tego stanu i zaoferowaniu nadziei opiera się olbrzymi sukces „Mnicha, który sprzedał swoje ferrari”. Julian Mantle – amerykański prawnik, ikona sukcesu – miał wszystko: sławę, pieniądze, willę, prywatny samolot. A mimo to padł w sądzie z zawalem. Organizm powiedział „stop”, zanim zrobiła to świadomość. Przeżył, zniknął, wrócił odmieniony – promienny, spokojny. Mantle to alter ego autora Robina Sharma – prawnika, który przeszedł podobny proces i od lat jako mówca motywacyjny i pisarz pomaga przechodzić go innym. Czyli, zakpił ktoś, jako coach celebryta sprzedający coś, o czym pisano i śpiewano wiele razy. Ale co z tego, jeśli nie wciska kitu, tylko przekłada na język, który rozumieją technokraci i nerdy, to, z czym literatura, filozofia i piosenka nie zawsze umiały się przebić.

Słynny myśliciel i guru Eckhart Tolle opisuje, jak po załamaniu psychicznym przeszedł duchową przemianę. Z „Alchemika” Paulo Coelho można chichotać tak jak z Elizabeth Gilbert i jej „Jedź, módl się, kochaj”, ale są właśnie o tym: o odkryciu, że coś przestało trybić, i o próbie spotkania siebie. Z nich pokpiwamy, ale już nie z Lennona, gdy śpiewa: „Musiałem po prostu odpuścić”. Ani z Cohena, kiedy zauważa: „Pęknięcia są we wszystkim i to przez nie wpada światło”. Ani z Pink Floydów, gdy pytają, czy przypadkiem nie zamieniliśmy „wojennego epizodu” na „główną rolę w klatce”.

Nie każdy może rzucić wszystko i wyjechać w Himalaje. Ale każdy może się zatrzymać. Zapytać: co daje mi spokój? Kiedy ostatni raz byłem autentyczny? Dezerter śpiewa drwiąco: „Musisz być kimś!” – a my

śmy naprawdę chcieli. Napieraliśmy na zaryglowane drzwi z całą siłą, ryzykowaliśmy, nie spaliśmy. I doszliśmy tam, gdzie „jest do brze”. Tyle że nie umiemy tam być. Pracowaliśmy na sukces, a nie na siebie. Więc teraz się cofamy. Do podstawówki życia. Uczymy się słuchać, oddychać, mówić o emocjach. Takich prostych słów: „jest mi smutno”, „boję się”, „jestem samotny”. I to jest trudniejsze niż zamknięcie milionowego kontraktu. Bo nie ma procedury. Nie ma wyniku. Nikt nie klaszcze. Ale jak się przebudzić?

• Niektórzy potrzebują ekspresji. Na przykład świętego gniewu. *Sacred rage* to jeden z klasyków współczesnej terapii męskości: weź poduszkę, kij bejsbolowy i przez pół godziny wykrzykuj całą złość, jaką masz na ojca, matkę, byłą dziewczynę i kierowcę autobusu z Radomia. Placz, wściekaj się, udawaj lwa. Potem siadasz w ciszy i mówisz „czuję ulgę”. Działa? Może. Dziwne? Bardzo.

Chcesz iść jeszcze grubiej? Proszę bardzo. Nocą kładziesz się w prawdziwej trumnie. Prowadzący zamyka wieko, a ty przez 15 minut „kontaktujesz się ze śmiercią”, słuchając, jak cię zasypują.

**Top menedżerowie,
prezesi, właściciele firm.
Wczoraj zabetonowani na
duchowość, dziś przytulają
się do drzew, opowiadają,
że „coś zarezonowało z ich
polem serca”**

Mniej traumatyczna wydaje się duchowa silka dla ciała i ego. Woda w beczce jest tak zimna, że aż gęsta. Męczyzna w środku drży i oddycha jak lokomotywa. Obok instruktor z brodą mówi: „To twoje granice. Oddychaj. Wdech. Wydech. Jesteś silny!”. Z każdą sekundą facet czuje się bardziej męski.

A może *rebirthing*? Słynny jogin i trener oddechu Leonard Orr odkrył tę metodę bez żadnego planu. Nie rozważał duchowej misji, po prostu leżał w wannie. Ciepła woda, parujący spokój, może trochę za dużo czasu. I nagle – bach. Coś się odpięło. „Poczułem, jak opuszcza mnie trauma narodzin”. Oddech. Głęboko, rytmicznie, aż wdech i wydech zaczęły się zlewać w jedno długie „coś”. I wtedy zalała go fala wspomnień, których nie powinien mieć: moment, gdy przeciskał się przez kanał rodny, przerażenie, zimno, poczucie odrzucenia. „To był powrót do narodzin. Czulem, że się odradzam” – mówił później z absolutną powagą, jakby właśnie odkrył nowy kontynent.

Nawet już przy męskości majstrują ci wszyscy wystawiające rachunki z wieloma zerami specjaliści od tego, jak żyć.

• Zjawisko redefiniowania męskości przyspieszyło po pandemii. Lockdown, izolacja społeczna i praca zdalna obnażyły nie tyle brak wrażliwości u mężczyzn, ile brak języka, by ją wyrażać. W 2021 r. w badaniu American Psychological Association nawet mężczyźni deklarujący empatię czy otwartość nie mieli narzędzi, by mówić o swoich emocjach.

Rozpoczął się globalny ruch: mężczyźni zaczęli bardziej świadomie dbać o zdrowie psychiczne, fizyczne i duchowe. Skala tej przemiany znajduje odzwierciedlenie w liczbach. W 2023 r. globalny rynek zdrowia i dobrego samopoczucia mężczyzn został wyceniony na 1,27 biliona dolarów. Przewiduje się, że do 2029 jego wartość się podwoi, osiągając 2,57 biliona. Segmenty rosnące najszybciej: suplementacja mentalna, aplikacje terapeutyczne, coaching męski, *mindfulness retreats*.

Nowa męskość nie sprowadza się już do siłowni i białka w proszku. Mężczyźni

uczestniczą w kręgach, warsztatach, medytacjach, korzystają z terapii. Coraz częściej dbają o siebie, pardon, holistycznie: fizycznie, psychicznie i społecznie.

W przeciwieństwie do kobiet oni się tego muszą uczyć. Kobiety potrafią intuicyjnie – zadzwonią do przyjaciółki, popłaczą, pogadają, pójdą na jogę albo terapię. Faceci? Nawet ci wiedzący o istnieniu psychologii i umiejący przyłożyć do siebie teorie, o których słyszą od dziewczyn i żon, wezmą jeszcze jedną sprawę, jeszcze jednego klienta, jeszcze jedną noc zarwaną „tylko na chwilę”. Albo whisky – zawsze ta sama, „ta, co ją lubię sączyć dla smaku”. Męska wersja „czucia” wygląda tak: garść cytatów z Monty Pythona na WhatsAppie z kumplem, dwie butelki wina, nocny binge na Netflixie i poranna szaradka z nerwów.

Jednak wielkim nieporozumieniem jest twierdzenie, że aby być w kontakcie z emocjami, mężczyźni muszą stać się bardziej jak kobiety – łagodni, czuli, otwarci. Czulość, miękkość, potrzeba troski to nie są cechy obce męskości. To jej integralna część. Czytam w poważnych opracowaniach i słyszę od poważnych terapeutów, że każdy mężczyzna nosi w sobie delikatność, którą warto chronić, zamiast wypierać. Nie trzeba być jak kobieta, by być emocjonalnym. Trzeba być człowiekiem, który potrafi uznać własną delikatność, i czasem dać jej fory.

Problem polega na tym, że mężczyźni na co dzień nie potrafią rozmawiać od serca.

• Żyjemy w micie samotnego wilka – niezależnego, twardego, zdystansowanego. Tyle że w naturze samotny wilk nie przetrwa zimy. Prawdziwe wilki żyją w wataście. Mężczyźni potrzebują wspólnoty innych mężczyzn.

Lecz męskie relacje są powierzchowne, zbudowane wokół aktywności: sportu, pracy, rytuału wspólnego oglądania meczów. Brakuje w nich miejsca na szczerość, intymność, opowieść o sobie. A przecież męczyzna może być jednocześnie silny i wrażliwy. Dopiero gdy pozwoli sobie na jedno i drugie, wchodzi na drogę prawdziwej dojrzałości – również duchowej.

Kobiety zachęcają nas, by się tego nie bać. Ciągłe mówią, że facet zanurzony w duchowości zyskuje magnetyzm – emanuje autentycznością i głębią. Jego relacja z czymś większym niż codzienność, transcendentnym sprawia, że staje się bardziej obecny, spokojny, zrównoważony. A ta wewnętrzna harmonia przyciąga, bo widać, że nie tylko ciało, ale i dusza wiedzą, czego chcą. Znamy jogin i popularyzator Swami Mukerji opisuje *personal magnetism* jako „subtelny siłę, która umożliwia wywieranie niezwykle go wpływu na innych, przyciąganie ich bez wysiłku”. Osoby stabilnie uduchowione promieniują energią, która wzbudza zaufanie – nie jako manipulacja, ale jako przyciągająca wewnętrzna harmonia.

Brzmi pięknie. Ale jak to zrobić? Mężczyznom włącza się od razu zadaniowo-problemy tryb Adama Słodowego: z czego to nową męskość zbudować? Magiczne rozwiązania mamy na wyciągnięcie ręki. Książki o mężczyznach i dla mężczyzn rosną jak grzyby po deszczu.

Czytam kilka. W jednej znajduję: „Prawdziwa siła rodzi się z obecności – z bycia w chwili, która objawia się jako ty i twoje doświadczenie”. W drugiej: „Ta lektura pomoże ci w pełni ucieleśnić obecność w oddechu, spojrzeniu i działaniu”. W trzeciej: „Świat i twoja kobieta tęsknią nie za twoją kontrolą, lecz za autentycznym sercem, które masz odwagę ofiarować całym sobą”. O matko.

Niektóre strategie „rozwoju” to po prostu kolejne aktywności-ucieczki w przebraniu tandetnej duchowości. Zamiast zmierzyć się z lękiem – afirmujemy. Zamiast zanurzyć się w smutku – wizualizujemy obfitość. Zamiast przyznać się do bólu – idziemy na kolejną sesję oddechową. A wszystko podlane sentymentalnym sosem. Tak duchowość staje się kolejnym towarem. Kolejnym sposobem na to, by nie poczuć.

I nie mówić szczerze. Zauważyłem jedną rzecz u znajomych – tych z zawodów, w któ-

rych trzeba mieć twardą skórę i żelazny żołądek: prawników, lekarzy, dziennikarzy śledczych, ludzi od finansów, czasem księży. Większość reaguje na stres, robiąc wszystko, tylko nie przyznając się, że coś ich ruszyło. Chirurg po ciężkiej operacji idzie na siłownię i katuje się do granic wytrzymałości. Prawnik z korpo wsiada na wyczynowy rower i jedzie z Krakowa do Gdańska i z powrotem. Finansowy czarodziej kupuje zegarek za kilkadziesiąt tysięcy, choć nie pamięta, gdzie schował poprzedni. Żaden nie powie: „czuję lęk”, „jestem zestresowany”, „potrzebuję pomocy”. Co najwyżej: „coś mnie łupie w krzyżu”.

Nie wiem, czy to kwestia wychowania, męskiego kodu honorowego rodem z westernów czy męskiej biologii, od testosteronu poczynając, ale większość z nas odreagowuje emocje przez działanie. Im gorzej się czujemy, tym bardziej się zapracowujemy. Zamiast zająć się sobą, zajmujemy się całym światem. Kiedy kobieta wchodzi do gabinetu terapeuty i mówi „czuję smutek”, facet w tym czasie robi odprawę z najbliższymi współpracownikami i zastanawia się, jak podnieść efektywność. A potem przychodzi moment, że człowiek, który umiał wypunktować każdy błąd proceduralny prokuratora, nie potrafi odpowiedzieć na pytanie: „Kochasz mnie?”. Że organizm kardiologa mówi „dość” – bezsennością, wrzodami, zawalem.

Najwięcej bólu u mężczyzn siedzi w tym, czego nie da się wypowiedzieć. W tym, co wisi w długich milczeniach przy stole, co brzmi w zaciśniętej szczęce, w nonszalancim „nic mi nie jest” o 2.17 w nocy przy piątym kieliszku. Może, gdybyśmy mieli trochę więcej luzu, który mają nasze partnerki, matki, siostry, nie padalibyśmy jak muchy w wieku 52 lat z sercem w stanie wojennym. Ale wolimy udawać, że mamy wszystko pod kontrolą. A potem odreagowujemy z poczućciem, że znowu „za mało zrobiłem”.

Niektórzy z nas już dostali kopa w tyłek. Dosłownie. Żony powiedziały „pas”, dzieci się odsunęły. Zaczęliśmy szukać pomocy. I okej, niby ta pomoc jest na wyciągnięcie ręki. Anonse gabinetów psychoterapeutycznych atakują na każdym rogu. I to pomoc niedroga, bo publiczna służba zdrowia psychicznego nie jest aż tak niedostępna. Rzecz w tym, że my nie chcemy terapeuty w eleganckiej koszuli, odpowiednika nas samych, efektywnego profesjonalisty, tylko z innej, bardziej miękko wystylizowanej branży.

Szukamy czegoś prawdziwego. Kogoś, kto nic od nas nie chce.

I to działa. Język zaczerpnięty z hochsztaplerskiego coachingu i New Age bywa komiczny, a zaangażowanie, z jakim pogubieni, po rozwodach, zmęczeni sobą ludzie sukcesu go używają, kaže podejrzawać, że od ruchowo wskazują w wytrenowany, zgubny schemat: że to dla nich kolejne nowe wyzwanie, tyle że z dziedziny duchowości.

Sam siebie o to podejrzewam. Niemniej coraz częściej słyszę w męskich grupach pytanie: „Jak się masz?”. Nie: „Czym się zajmujesz?” ani „Co ostatnio zrobiłeś?”. Po prostu: „Jak się masz?”. I nie chodzi o *small talk*. Wiem, jak naiwnie to brzmi. Ale czuję się po takich spotkaniach zafriendowany – jakbyśmy razem chodzili do podstawówki. Żadnych masek. Żadnych stanowisk. Po prostu żywi ludzie. W takich chwilach odkrywam, jak bardzo tęsknię za przyjaźnią. Za obecnością. Za byciem razem bez celu.

Marek zna się na wszystkim, co ma w nazwie „oddech”, „czakra”, „regres” albo „ceremonia”. Mógłby z marszu poprowadzić warsztat z każdego z tych tematów. Ma gadane jak mało kto i zaraża entuzjazmem. Przerobił wszystko: żył miesiąc na kitcheri, wędrował po Indiach z przewodnikiem „w stronę światła”, ostatnio zrobił detoks z poziom duzy. Siedzi naprzeciw mnie z lemoniadą z arbuza i oznajmia ze śmiertelną powagą, jakby miał mi wyznać, że zaraz umrze: – Ja już z tym wszystkim kończę.

Podnoszę brwi. – Serio?

Przecież Marek to duchowy nomada. Człowiek bez stałego adresu, ale z napiętym

harmonogramem: ajahuasca w Peru, ustawienia Hellingera w Pradze, regresja hipnotyczna w podwarszawskim ośrodku prowadzonym przez kobietę, która twierdzi, że kiedyś była drzewem.

– Ale na męskie kręgi będziesz jeszcze wpadał? – dopytuję. To jedyne momenty, kiedy zatrzymuje się na dłużej w swoim mikroapartamencie na Żoliborzu i mam szansę go złapać.

– No jasne. – Uśmiecha się. I już wiem, że zaraz zacznie wykład. Marek to TED Talks na dwóch nogach. Tym razem tematem jest duchowy *bypassing*. Mówi o tym z powagą mnicha zen po doktoracie z psychologii jungowskiej. – Uciekamy. Zamiast przeżyć emocje, zanurzyć się w smutku, złości, lęku – afirmujemy. Duchowy *bypassing* to stary numer. Unik bólu. A rozwój to nie tylko światło i pokój. To też noc ciemna.

Na zajęciach w parach patrzę w oczy kolesia, który sprzedał startup za kilkadziesiąt baniek. – Słuchaj, ja nie wiem, jak zapytać syna, jak się czuje. Zawsze myślałem, że coś osiągnąłem. A teraz dzieci mówią, że jestem nudny. Rozumiesz coś z tego?

– Medytujemy. Albo „wizualizujemy obfitość” – zgadzam się. – A przecież tak nie da się żyć. Ile można jeździć i szukać?

– Robimy sobie to, od czego chcieliśmy uciec – Marek wchodzi mi w słowo. A ja jemu: – Testujemy, odhaczamy zadania, wyznaczamy nowe cele.

Duchowy *bypassing* to zjawisko opisane już w latach 80. przez Johna Welwooda, psychologa klinicznego i jedną z głównych postaci psychologii transpersonalnej, czwartej, po psychoanalizie, behawioryzmie oraz orientacji humanistycznej, szkoły psychologicznej skoncentrowanej na doświadczeniach duchowych, mistycznych i religijnych. Chodzi o wykorzystywanie praktyk duchowych (medytacji czy „pracy z energią”) do unikania konfrontacji z realnym cierpieniem. W erze Instagrama i kultury wellnesu, gdy świecka duchowość już na dobre z drogi przemiany stała się towarem, zjawisko tylko przybrało na sile.

Coraz więcej osób trafia do terapeutów z „przetrenowaną duchowością” i niedotkniętym bólem. Psychodeliczna turystyka, coaching obfitości, detoksy emocjonalne – to często kolejne ucieczki, tym razem pod szyldem „rozwaju osobistego”. Skuteczne, bo uciekającemu nie wypada wygarnąć prawdy w oczy – przecież próbuje, pracuje, jest w procesie. Na tym żeruje przemysł rozwojowy obiecujący „wysokie wibracje”, a nie głęboką zmianę. Jak pisze socjolożka Jennifer Rauch w książce „Resisting the Attention Economy”, duchowość skolonizował ten sam mechanizm co technologię: ma być natychmiastowa, spektakularna i mierzalna.

A prawdziwa transformacja nie działa jak aplikacja. Nie ma powiadomień. Nie ma lajków. Nie ma wypełnionego parametrami rankingu jak na Stravie. Im bardziej normalizujemy bycie wiecznie nieuleczalnym, tym bardziej ten rynek będzie prosperował.

Nie tylko Marek opowiada mi o konfrontacji z cieniem. Przyzwyczailiśmy się myśleć, że gdy spotyka się dwóch facetów, rozmowa krąży wokół siłowni, meczu, samochodów albo wakacji. No i polityki. Zależy od wieku i zawodu – ale schemat jest podobny. Twarde tematy. Zero emocji. Broń Boże uczucia. Bo przecież gadanie o tym, co się czuje, wciąż uchodzi za coś niemęskiego. A jednak coś się wyraźnie zmienia. Choć powoli.

Psychologowie społeczni od lat mówią o „kryzysie tradycyjnej męskości” – modelu opartego na sile, rywalizacji i milczeniu, który przestaje działać w świecie wymagającym elastyczności, empatii i współpracy. Świeże badania Gallupa wskazują, że aż 25 procent młodych Amerykanów (15-34 lata) często czuje się samotnie. Coraz więcej z nich deklaruje też potrzebę emocjonalnego wsparcia – ale od innych mężczyzn. To nie jest moda. To sygnał kulturowego przesilenia.

Psycholodzy od lat alarmują, że hegemoniczna męskość – oparta na kontroli i emocjonalnym dystansie – nie tylko zawęża tożsamość, ale też prowadzi do poważnych kryzysów psychicznych. Mężczyźni internalizujący ten model częściej chorują na depresję i sięgają po używki, a pomoc terapeutyczną traktują jak ostatnią deskę ratunku.

Profesor Ronald Levant, jeden z pierwszych badaczy diagnozujących problem, nie wziął się znikąd – sam był rozwiedzionym ojcem, który nie potrafił się zbliżyć do własnej córki. Punktem przełomowym był seans „Kramer kontra Kramer”. „Zrozumiałem, że to nie tylko ja byłem zagubiony – całe moje pokolenie nie zostało przygotowane do aktywnego ojcostwa” – wspominał po latach. To doświadczenie popchnęło go do stworzenia pionierskich programów edukacji dla ojców. Nie stricte poradnikowych, o przewijaniu i kolkach, bo ojcostwo rozumiane jako partycypacja w codziennym trudzie już w Ameryce nie było nowością, lecz o relacji, zaangażowaniu, człowieczeństwie.

To było w drugiej połowie lat 80. Dlatego powtarzam, że zmiana zachodzi powoli.

Sporo podróżuję. Może nawet za dużo. Ale w tych podróżach wydarza się coś, czego nie znajdziesz w żadnym przewodniku: spotkania. Krótkie, przypadkowe, na lotniskach, przy hotelowych śniadaniach. Odkąd przestałem pić, przyciągam ludzi jak czołowka cmy. Głównie facetów. I zawsze przychodzi moment, kiedy coś w nich pęka. – Już nie piję – mówią. – Uciekłem z Warszawy, zanim mnie zjadła. – Zacząłem słuchać siebie.

Słyszę historie mężczyzn, którzy pili, żeby uciszyć lęk, samotność, niewypowiedziane potrzeby. Kiedyś się pilo. Dziś się oddycha.

Mam kolegę księgowego. Żadna egotyka. Typ spokojny, metodyczny. Przez lata ogarnięty. Aż przyszedł rozwód, depresja, cisza. Próbował terapii, jogi, wszystkiego. W końcu trafił na buddyjską Vipassanę. Dziesięć dni milczenia. Bez telefonu. Bez słów. Bez ucieczki. – Dawniej myślałem, że siła to duszenie wszystkiego w sobie, a na zewnątrz niewzruszona mina – powiedział mi po powrocie – a teraz wiem, że siła to umieć się rozplakać na środku kuchni.

On rozplakał się siódmego dnia.

Kilka tygodni później byłem w Grzybnicy, w Kamiennych Kręgach. Mistyczne miejsce – glazy w lesie, jak pozostałości po pradawnej radzie starszych. Wśród nich faceci. Brodacze, karki, biegacze. Ci we flanelach, tamci w koszulkach Runmageddonu i tacy w lenarach a la Tupac do trailowych butów, wszyscy jak z lifestylowych magazynów dla mężczyzn. I przytuleni do kamieni.

Najpierw się śmiałem. Potem się przytuliłem. Zamknąłem oczy. Nie wiem, ile w tym było autosugestii, ale coś ze mnie zeszło. Ciężar. Po prostu.

Kultura Zachodu utraciła rytuały przejścia – inicjacyjne doświadczenia, które w tradycyjnych społecznościach wyznaczały moment wejścia w dorosłość. Dziś dojrzałość mierzy się zarobkami, zegarkiem i liczbą kontaktów w telefonie. Dlatego tak wielu mężczyzn wraca do starych form. Od buddyjskich medytacji, przez prace z cieniem, po obozy inspirowane Robertem Blyem, mistycznym antywojennym poetą, tym od później przeinaczonego bon motu, że „kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa”.

Brak rytuałów przejścia to nie tylko antropologiczna luka. To realna pustka psychiczna, która odciska się na codzienności. W eseju „The Myth of Adulthood” historyk Joshua Rothman pisze, że współczesna dorosłość została zredukowana do ciągłości obowiązków – bez wyraźnego początku. Dlatego tylu mężczyzn w wieku 30-

50 lat szuka doświadczeń granicznych, które nadałyby ich życiu symboliczne „teraz”: samotne wędrowki, ceremonie, retriity. Coś, co mówi: „Tu się zaczynam naprawdę”.

Opowiadam o tym wszystkim dwóm jeszcze nie wkręconym kumplom. Klasyka: przewracanie oczami, pomruki, że palma mi odbiła. Nie mam pretensji. Cenię sceptycyzm, staram się go w sobie wypracować. Sam wiem, że nie każda podróż w głąb siebie kończy się oświeceniem. Zbyt często kończy się nowym kursem za cztery tysiące, zadrezczaniem otoczenia kolejną zajawką i poczućciem winy, że nadal nie zintegrowałeś swojego cienia.

Bo oto mamy nową religię. Nazywa się samorozwój. Ma proroków (certyfikowanych), liturgie (w sesjach po 90 minut) i dziesięciny (przelewane Blikiem). Oraz co tydzień nowe objawienie: *somatic release*, *inner child rebirth* z bonusową integracją przez taniec. Przemysł cierpienia i uzdrowienia to jeden z najszybciej rosnących rynków świata. Duchowość stała się usługą premium – z brandingiem, influencerami i reklamami na Instagramie. „Jesteś wystarczający” – mówi grafika. „Ale jeśli chcesz to poczuć, zapisz się na mój sześciotygodniowy kurs”.

Ściągam cugle kpinie, bo u wielu to działa. Niekiedy ratuje życie. Ale czasem trudno nie mieć wrażenia, że praca ze sobą to nie proces, lecz nowy wyścig szczurów. W którym łatwo gubi się to, czego się szuka. Tę prostotę. Że chodzi nie o idealną metodę ani o kolejny warsztat, tylko o to, żeby wreszcie zostać z tym, co boli. Bez lajków. Bez feedbacku. Największym dowodem dojrzałości nie jest to, że zintegrowałeś archetyp wojownika z wewnętrznym dzieckiem. Tylko że potrafisz posiedzieć z żoną, partnerką, synem, córką, kumplem i po prostu nie udawać.

Kilka tygodni później siedzę ze starym przyjacielem. Kończy osiemdziesiątkę. W oczach ma to specyficzne światło ludzi, którzy już więcej widzieli, niż jeszcze zobaczą. Mówi: – Chciałbym po sobie posprzątać. Żeby nikt nie musiał się domyslać, co naprawdę myślałem.

Opowiada, jak odchorowuje pogrzeby starych kolegów. Jak każdy zgon coś z niego wycina. Jak boi się momentu, w którym choroba, demencja albo ślepa loteria odbierze mu pamięć, ruch, sprawczość. – Nie chcę być kimś, co tylko siedzi w domu i czeka, aż będzie po wszystkim – mówi cicho.

Kiedyś słuchałem tych słów z empatią, ale bez zrozumienia. Dziś rozumiem je doskonale. Bo po tych wszystkich zakrętach, terapiach, ceremoniach i psychodelicznych wszechświatach wiem jedno: Najważniejsze, co po sobie zostawię, to nie będą tytuły kolejnych książek, lajki ani zera na koncie.

Nie udawajmy, one są ważne. Nie przebrałem się w jutowy worek, aby wyjechać w Bieszczady. Nadal za nimi gonię Ale już nie dla not w wewnętrznym i publicznym rankingu sukcesu. Są tym, czym zawodowe sukcesy być powinny – środkiem pozwalającym zabezpieczyć bliskich, żyć i być sobą. A na końcu będzie liczyło się tylko to, że komuś dałem ulgę. Że komuś dodałem odwagi. Że ktoś pomyśli: „On naprawdę próbował być dobrym człowiekiem”.

Artur Nowak

• ur.w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Ze Stanisławem Obirkiem wydał książki: „Gomora”, „Babilon. Kryminalna historia kościoła”, „Skandaliści w sutannach”, „Antysemickie chrześcijaństwo” (dostępne na Kulturalny-sklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl). Autor wywiadu rzeki z Tadeuszem Bartosiem „Bóg odszedł z poczućciem winy”, współautor – z Ireneuszem Ziemińskim – książki „Chrześcijaństwo. Amoralna religia”.

PLEBISCYT NA PŁYTE 25-LECIA

• Wybierzcie z nami album minionego ćwierćwiecza. Na wyborcza.pl/plyta25 znajdziecie formularz, w którym można zagłosować na maksymalnie trzy albumy z poniższej listy. Ten zestaw 25 tytułów wytypowało 48 zaproszonych przez nas dziennikarzy muzycznych i kulturalnych. Zabawa trwa do 26 sierpnia, a kto nagrał Płytę 25-lecia, poinformujemy 29 sierpnia.



2000
Kaliber 44
„3:44”
S.P. Records



2000
Paktofonika
„Kinematografia”
Gigant Records



2001
Ścianka
„Dni wiatru”
Sissy Records



2001
Lenny Valentino
„Uwaga! Jedzie tramwaj”
Sissy Records



2001
Pogodno
„Sejtenik miuzik & romantik loff”
Noff Records



2002
Lech Janerka
„Fiu fiu...”
BMG Poland



2002
Myslovitz
„Korova Milky Bar”
Sony Music Entertainment Poland



2002
Cool Kids of Death
„Cool Kids of Death”
Sissy Records



2003
Raz, Dwa, Trzy
„Trudno nie wierzyć w nic”
Warner Music Poland



2003
Sistars
„Siła sióstr”
Warner Music Poland

A jednak się kręci!

Miała być przeżytkiem XX wieku.
Tymczasem w drugie
ćwierćwiecze XXI w. płyta wtacza
się w nie najgorszej formie.
Nie tylko jako sposób
na organizację muzycznej
wypowiedzi, ale – co bardziej
zaskakujące – także jako nośnik.

Jarek Szubrycht

Kiedy na redakcyjnym kolegium pojawił się pomysł wyboru najważniejszych polskich płyt ostatnich 25 lat, nie czekałem długo na pytanie: „To ludzie jeszcze słuchają płyt?”. Gdybym dostawał złotówkę za każdym razem, kiedy je słyszę, np. przy okazji muzycznych podsumowań roku, uzbierałbym majątek. I pewnie wydalbym go na płyty. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że pytający nie czekają na odpowiedź, że to przebrana za pytanie teza: „Nie słuchają”. Zakładają, że płyt nikt nie kupuje, bo cała muzyka świata jest w streamingach; że płyt nikt nie słucha, bo żyjemy w czasie playlist, własnych, z ulubionymi piosenkami lub układanych przez algorytmy, pod nasze nastroje, nawyki, potrzeby. A jednak płyta się kręci. Z prędkością 33 i 1/3.

Płyta, czyli co?

Rozmowy o kondycji płyty nie ułatwia fakt, że myli nam się nośnik z jego zawartością, chyba bardziej niż w innych dziedzinach kultury. Książka jest książką także na czytelniku, film jest bytem oderwanym od medium, przez które do nas dociera. Jest tak samo filmowy w kinie, telewizji i w streamingu, i nikt nie lamentował nad jego grobem tylko dlatego, że zniknęły kasety VHS albo DVD przestały się sprzedawać.

Inna sprawa, że płyty wciąż znajdują nabywców i nic nie wskazuje, żeby najbliższej przyszłości miały zniknąć z rynku.

Kiedy byłem młodym dziennikarzem (a więc dawno temu) w tekstach przytaczałem prognozy analityków rynku muzycznego, którzy wróżyli, że płyta kompaktowa dokona żywota nie później niż w 2005 roku. Winyłami w ogóle się w tych wróżbach nie zajmowali, bo uważali, że dawno wymarły, a słysząc o kasetach pękali ze śmiechu. Cóż, mylili się. Zachłystnięci możliwościami nowych technologii nie docenili takich żywiołów jak nawyk, nostalgia i snobizm.

Tu anegdota. W 2008 roku byłem z wizytą w siedzibie niezależnej warszawskiej wytwórni płytowej Fonografika, której właściciel z namaszczeniem wręczył mi kasety „Mixtape IV” DJ-a Decksa i oznajmił, że to ostatni tytuł wyprodukowany na kasecie magnetofonowej w Polsce. Więcej nie będzie, bo wysłużona i niepotrzebna już maszyna, która dała życie temu artefaktowi, została komisyjnie zniszczona i zełomowana. Tymczasem Fonografika już nie istnieje, a kasety mają się świetnie.

Żeby było jeszcze zabawniej, udałem się na tamto spotkanie jako reprezentant MySpace, serwisu społecznościowego opartego na muzyce, w którym wielu widziało jeźdźcę apokalipsy zwiastującego śmierć płyty. Ktoś dziś jeszcze pamięta MySpace?

Miliony z kompaktów i winyli

Dynamiczny rozwój branży koncertowej sprawił, że fonografia straciła koronę królowej tego dominium, ale wciąż ma pieniądze i władzę. Mówiąc „fonografia”, mam na myśli obieg produkcyjny i dystrybucyjny nagranej muzyki, od tradycyjnych nośników po serwisy streamingowe.

W 2024 roku wartość tak rozumianego rynku muzycznego wzrosła w USA o 3 proc. i wynosi obecnie 17,7 mld dol. Raport RIAA (Stowarzyszenia Przemysłu Nagraniowego Ameryki) wskazuje, że ten krok naprzód możliwy był dzięki rosnącej już od niemal dwóch dekad sprzedaży winyli.

„Muzyka powróciła!” – obwieszczało triumfalnie w Wielkiej Brytanii, gdzie w 2024 r. rynek nagranej muzyki osiągnął bezprecedensową wartość 2,4 mld funtów. Dla porównania, w rekordowym roku 2021, kiedy kompakt były u szczytu popularności, było to 2,2 mld.

Oczywiście, streamingi rządzą, ale winyle na Wyspach urosły o 10,5 proc. (co oznacza 6,7 mln sprzedanych krążków), a sprzedaż kompaktów utrzymała się na poziomie roku 2023 – to 10,5 mln sztuk o wartości 126,2 mln funtów. Nie najgorzej jak na towar, który podobno zniknął z rynku.

A lokalne dane? Mamy się czym pochwalić, bo według Związku Producentów Audio Video jesteśmy 18. co do wielkości rynkiem muzycznym na świecie. W 2024 roku wygenerował on ponad 850 mln zł przychodu, o 26 proc. więcej niż w roku 2023, wtedy też rekordowym.

80 proc. tego tortu (685 mln zł) to muzyka dystrybuowana w formacie cyfrowym. Dowód na to, że żegnamy się z płytami? Niekoniecznie.

Boom winylowy słabnie, ale nie mija – w ubiegłym roku ich sprzedaż w Polsce wzrosła o 3,1 proc. w stosunku do roku poprzedniego i przyniosła 64 mln przychodu. Płyt CD sprzedano o 14,4 proc. więcej, przekraczając 100 mln zł przychodu.

FOT. ELIZA OLEKSY/AGENCJA WYBORCZA.PL





• Rok 1996. Sklep muzyczny na ul. Młynarskiej w Katowicach

Jak to możliwe w kraju, w którym wielkie sieci najpierw zmiotły z powierzchni ziemi niezależne sklepy płytowe, by następnie drastycznie ograniczyć ich ofertę (Empik) lub całkowicie z nich zrezygnować (Media Markt)? Jak to możliwe w czasie, kiedy wszyscy w smartfonach mamy dostęp do serwisów streamingowych i nie potrzebujemy ani nośników, ani osobnych odtwarzaczy, by cieszyć się muzyką?

Co więcej, to dane niedoszacowane. Cała scena niezależna wydaje płyty na nośnikach, ale znaczna część z nich nie wchodzi do oficjalnych kanałów dystrybucyjnych i nie raportuje sprzedaży do ZPAV. To niewielkie nakłady, od kilkudziesięciu do kilku tysięcy sztuk jednego tytułu, ale przecież ziarno do ziarnka...

Kasety pewnie w ogóle nie były brane pod uwagę, nie są tu wymieniane. Dla dużych graczy to nie nośnik, nie produkt przeliczany na pieniądze, najwyżej gadżet promocyjny, przez księgowość zapisywany po stronie strat. Czasem produkowany w minimalnym nakładzie, bo artysta ma kaprys.

Tymczasem dla wszystkich ze spodu piramidy, armii wojowników undergroundu, stara pocziwa kasetą od dekady z okładem znowu jest nośnikiem jak każdy inny.

Może nawet lepszym od innych, bo najtańszym w produkcji, a do tego lekkim i małym, więc można to spakować nawet na trasę, w którą jedzie się samochodem osobowym. Z kaset magnetofonowych, jak z cegiełek, zbudowano w latach 90. nową polską fonografię, więc nie powinniśmy ich dziś lekceważyć również ze względu na dziejowe zasługi.

Wioska Galów się broni

Kto kupuje te wszystkie winyle, kompaktki i kasety? Starzy, wierni fani, którzy uzupełniają kolekcje i płacą małe fortuny za wypasionie wydania jubileuszowe tytułów z rockowego czy jazzowego kanonu. Pokażcie mi wyznawcę Pink Floyd, który nie chciałby mieć dwunastego wariantu „Dark Side of the Moon”, tym razem z poligrafią wzbogaconą o archiwalne zdjęcia, albo z nowym masteringiem, albo z dodatkowym dyskiem z koncertowymi wersjami piosenek.

Nie wiem nawet, czy taka edycja wyszła, na wszelki wypadek proszę jej nie szukać w sklepach, ale tak właśnie działa mechanizm sprzedawania fanom po raz enty tego samego towaru.

Czarnowidze, co sezon obwieszczający śmierć płyty, uważają, że małoletni cyfrowi tubylcy, urodzeni ze smartfonami w drobnych garstkach, nieznający epoki sprzed streamingów, nie potrzebują płyt.

Wytłumaczcie to rodzicom nastolatków zakochanych w K-popie, którzy nie tylko chcą mieć każdy album swoich idoli, ale w dodatku każdy we wszystkich dostępnych wariantach, a koreańska fabryka gwiazd doskonale wie, jak tę potrzebę wycisnąć do ostatniego wona.

Albumy hegemonów tamtejszej sceny, grupy BTS, zwykle wydawane są w czterech wariantach, a do tego zawierają losowo dobrane zdjęcia któregoś z muzyków. Jeśli chcesz zebrać wszystkie, musisz kupić co najmniej siedem płyt, by mieć czym wymieniać się z innymi fanami, nawet jeśli trafisz na któregoś z muzyków septetu po raz drugi.

Nieco starsza młodzież, już dorosła, też sięga po płyty. Podobno z tych samych powodów, z których poprzednie pokolenie przestało się nimi interesować.

„Dzieciaki zaczęły kupować płyty. Kiedy iPody i Facebook zostały zawłaszczone przez ich rodziców, dzieciaki zaczęły szukać czegoś innego, bo to, co robią twoi rodzice, przestaje być fajne... Tak było też z rock’n’rollem. A winyl nie należał już do pokolenia rodziców” – zauważył Tom „Grover” Biery, który w Warner Music był na początku drugiej dekady XXI w. świadkiem i zarazem współsprawcą renesansu winyli.

Jego wypowiedź cytuję za książką „The Revenge of Analog: Real Things and Why They Matter” [Zemsta analogu: Prawdziwe przedmioty i czemu są ważne] Davida Saxa.

Ten amerykański dziennikarz przyjrzał się nagle wzrostowi popularności przedmiotów, które rewolucja cyfrowa miała zmieść z powierzchni ziemi, od wspomnianych już płyt winylowych, przez papierowe magazyny, po gry planszowe.

Według przytoczonych przez niego danych większość brytyjskich i amerykańskich kolekcjonerów winyli w połowie II dekady XXI w. nie miała więcej niż 25 lat. Stykali się więc z tym nośnikiem po raz pierwszy w życiu, ale pokochali go, kupowali gramofony i uczyli się nastawiania igły tak, by nie porysować cennego przedmiotu.

Książka Saxa ukazała się w 2016 roku, więc nie uwzględnia pandemicznych turbulencji, które sporo zmieniły, np. z kolekcjonowania przedmiotów przedstawiając nas na kolekcjonowanie doświadczeń. Dekada wystarczyła, by uświadomić sobie, że niektóre



2004
Skalpel
„Skalpel”
Ninja Tune



2004
Kapela ze Wsi Warszawa
„Wykorzenie / Uprooting”
Jaro Medien



2005
Lao Che
„Powstanie Warszawskie”
Ars Mundi



2005
Maria Peszek
„Miasto mania”
Kayax



2009
Hey
„Miłość! Uwaga! Ratunku! Pomocy!”
QL Music

tezy zawarte w „The Revenge of Analog” były zbyt optymistyczne. Tytuł publikacji sugeruje triumfalny kontratak, który może przechylić szalę zwycięstwa, rozstrzygnąć losy wojny. Pobożne życzenia.

Dziś już wiemy, że po początkowym winylowym szaleństwie, którego symptomem u nas było rzucanie wybranych tytułów na półki Biedronki, rynek płyt analogowych ustabilizował się na poziomie, który można raczej porównać do małej wioski Galów w środku cyfrowego imperium rzymskiego.

Owszem, jest mała, ale broni się heroicznie i nic nie wskazuje na to, by miała wywieść białą flagę.

Nie musisz słuchać, ale musisz mieć

Słuchanie muzyki w streamingach to czysta konsumpcja, a płyty, szczególnie winylowe, oznaczają zaangażowanie – kosztują немало, trzeba znaleźć na nie miejsce na półce, ich nastawienie to cała sekwencja czynności (niby drobnych, jednak w porównaniu ze stuknięciem w ekran dotykowy smartfona to czasochłonny proces). Płyty to też samość, deklaracja przynależności do grona wielbicieli muzyki lub admiratorów konkretnego nośnika.

Tu trzeba wspomnieć o roli Record Store Day, najważniejszego święta tej społeczności. Wymyślono je w 2008 roku, by ratować niezależne amerykańskie sklepy płytowe, a obecnie obchodzone jest w trzecią sobotę kwietnia na całym świecie, również przez dużych graczy.

Kupowanie płyt to wreszcie akces do grona najzagorzalszych wielbicieli konkretnych artystów, świadomy akt wsparcia samych muzyków i reprezentowanych przez nich wartości. Przy okazji jest też namiastką fizycznego kontaktu z idolem lub pamiątką po takim spotkaniu.

Zespoły niezależne dziś sprzedają płyty głównie na trasie, więc po koncercie można nabyć je bezpośrednio z rąk muzyków, przy okazji wypowiadając kilka życzliwych słów, prosząc o wspólne zdjęcie lub autograf.

A właśnie, autografy – płyty nie znikną, dopóki serwisy streamingowe nie wymyślą, jak złożyć zamaszty podpis na pliku cyfrowym.

Chciałbym, żeby ktoś zmierzył jaką część tych płyt, które w Polsce wciąż znajdują nabywców, stanowią albumy zamówione przed premierą przez najzagorzalszych fanów i podpisywane przez muzyków całymi dniami. To praktyka stosowana w świecie rapu czy metalu, a więc w gatunkach, które nie narzekają na brak zainteresowania fizycznymi nośnikami.

Płyty kupione z takich pobudek nie trzeba nawet słuchać, bo w streamingach wygodniej, ale trzeba ją mieć.

Same sztosy, zero wypełniaczy

Raz na jakiś czas słyszymy o artyście, który – rozczarowany umiarkowanym sukcesem swojego ostatniego wydawnictwa lub nieporozumieniami z wydawcą – oznajmia, że nagrywanie płyt nie ma sensu, że wystarczy raz na jakiś czas wpuścić do sieci pojedynczą piosenkę. A później przestajemy o nim słyszeć, bo dobrze na tym nie wychodzi, nawet jeśli nowe utwory nieźle radzą sobie na streamingowych playlistach.

Pytanie, po co nagrywać płyty w dobie streamingów, jest bowiem równie zasadne, co bezsensowne. Równie dobrze można dywagować nad tym, po co dziś kręcić pełnometrażowe filmy, skoro większości wystarczą serie kilkunastosekundowych bzdurek z TikToka.

Album wciąż ma swoją kulturową wagę, oznacza wspięcie się twórcy na kolejny artystyczny ośmiotysięcznik. Do tego muzycy są też fanami muzyki, mają swoje ukochane płyty, żyją związanymi z nimi mitami i chcą do tych baśni dopisywać własne rozdziały. Album ściąga uwagę i fanów, i mediów w stopniu większym niż pojedyncze piosenki, pozwala na wprowadzenie do sprzedaży nowej serii gadżetów, a także na zmianę scenografii i repertuaru, a co za tym idzie na negocjowanie nowych, wyższych stawek z festiwalami i organizatorami koncertów.

Analitycy wróżyli, że kompakty dokonają żywota nie później niż w 2005 roku. Winyle uznali za dawno wymarłe, a słysząc o kasetach pękali ze śmiechu.

Cóż, mylili się. Zachłysłnięci technologią nie docenili takich żywiołów jak nawyk, nostalgia i snobizm

Płyty popowe często konstruowane są wokół singli, w które angażuje się wszelkie siły i środki. Nie tylko promocyjne, na czele z teledyskami, również produkcyjne: nierzadko takie konie pociągowe albumów mają gościnnych wykonawców, producentów z wyższej półki, zbyt drogich, by angażować ich do pracy przy całym projekcie, a nawet wsparcie zewnętrznych (współ)autorów. Nie jest więc dziełem przypadku to, że te kilka dopieszczonych, doszlifowanych piosek wyraźnie błyszczy na tle upchanych pomiędzy nimi wypełniaczy. To praktyka tak powszechna, że zniechęciła niejednego niedzielnego fana do kupowania całych albumów, a zarazem zrodziła slogan, mających reklamować płyty powstałe bez podobnych kalkulacji: all killers, no fillers. Same sztosy, zero wypełniaczy.

Koncepcja wypełniaczy jest z gruntu obca reprezentantom różnych nurtów muzyki niezależnej. Nie dlatego, że piszą wyłącznie dobre piosenki, ale dlatego, że nie każda opowieść da się sprasować do 30 sekund czy nawet zmieścić kilku minutach. Ci artyści tworzą przecież nie z pobudek finansowych, bo albo dokładają do interesu, albo zarabiają grosze, robią to, by dać upust swojej twórczej energii, przekazać światu coś dla nich ważnego i często złożonego. Myślą o swoich płytach jako o zamkniętej, integralnej całości, która ma linearny przebieg, z otwarciem, kulminacją i finałem w odpowiednich miejscach.

Jasne, można wyciągnąć jedną albo dwie najbardziej efektowne piosenki z „Powstania Warszawskiego” Lao Che, ale po co? „Requiem ludowe” Adama Struga i Kwadrofonika, moja ulubiona polska płyta tego stulecia, to zamknięta całość, której każda sekunda jest ważna. „Taxi” Łony, Koniecznego i Krupy to wnikliwy portret miasta i kraju, przebrany za relację taksówkarza z nocnej zmiany, wszystko tu się łączy i przenika. Popularni raperzy zresztą kochają albumy koncepcyjne, często uzupełniając, komentując i objaśniając treści właściwych utworów łączącymi je skitami (przerwywnikami opartymi na dialogach).

Ale co tam albumy koncepcyjne, skoro można mieć koncepcyjną całą dyskografię. „Czy wiecie, że Lunatic Soul ma swoją historię, ale opowiadana w formie nielinearnej? W sensie, że jeśli ułoży się płyty w odpowiedniej kolejności, to teksty umieszczone na tych płytach, czytane po sobie, będą stanowiły jedną spójną historię o samotnym bohaterze, podróżującym przez życie i śmierć?” – pisał niedawno do swoich fanów Mariusz Duda, lider popularnej grupy rockowej Riverside, stojący również za projektem Lunatic Soul.

Genów nie wydłubiesz

Rzekomą śmierć płyty przedstawia się czasem jako oręż w kulturowym konflikcie pokoleń. To duże uproszczenie, o czym powyżej już wspominałem, jednak warto zastanowić się, jak międzygeneracyjna dynamika rozgrywa się na płaszczyźnie muzycznej.

Ciekawie o opowiada o tym Fisz, czyli Bartosz Waglewski. Kiedy on i Emade, czyli jego brat Piotr, dorastali, zanurzyli się w metal, nie tylko wyczuwając w nim odpowiednie narzędzie do skanalizowania młodzieńczych emocji, ale też dlatego, że eksycytował ich muzyczny świat, którego ojciec nie słu-

cha i nie rozumie. Później, już bardziej świadomie i konsekwentnie, zajęli się hip-hopem. – Mieliśmy swój świat – mówił mi niedawno Fisz w wywiadzie. – Był ferment, coś się działo, szukaliśmy swojego muzycznego języka.

Kiedy wreszcie własny język znaleźli, kiedy go opanowali, mogli nawiązać z ojcem dialog, który owocuje znakomitymi wspólnymi nagraniami czy wspólnymi audycjami radiowymi Bartosza i Wojciecha.

– Muzyka zawsze na początku trochę dzieli pokolenia, ale szybko zaczyna je znów łączyć. Na przykład mój starszy syn, choć wychowany w duchu liverpoolskiej religii, w podstawówce pod presją kolegów zaczął słuchać polskiego hip-hopu, co doprowadziło mnie do lekkiego zgrzytania zębami, bo to nurt, którego nie jestem w stanie zrozumieć – mówi Maciej Werk, dyrektor łódzkiego festiwalu Soundedit, muzyk znany z formacji Hedone, fan Beatlesów. – W tej chwili, będąc już prawie pełnoletnim obywatelem, słucha więcej klasyki rocka, niż mogłem sobie w najśmielszych oczekiwaniach wymarzyć. Teoria, że „genów nie wydłubiesz” jest mi bliska i uważam, że szeroko pojęta edukacja kulturalna zaczyna się w domu.

O to, czy muzyka była w ich domu płaszczyzną porozumienia, czy raczej polem bitwy, zapytałem też Jacka Ścierańskiego, gitarzystę grupy Mord’A’Stigmata, penetrującej progresywne obrzeża black metalu. Jego ojciec, Paweł Ścierański, też gra na gitarze, przede wszystkim basowej, znany jest choćby z legendarnej jazzrockowej formacji Laboratorium.

Ścierański junior wspomina dorastanie w domu, w którym zawsze słychać było jazz, dużo ambitnego rocka i popu. Większość popu z list przebojów była przez ojca ignorowana, rap również. – Jedynie disco polo było zakazane, w duchu, że cywilizowani ludzie o takich rzeczach nawet nie rozmawiają – wspomina syn.

– Na szczęście wobec moich wyborów tata zawsze był dosyć wyrozumiały. Rzadko narzeka na samą stylistykę, nawet jeśli jej kompletnie nie rozumie. Wydaje mi się, że potrafi docenić wartość i jakość muzyki, niezależnie od samego gatunku. Dzięki temu nie musiałem się specjalnie buntować. Chociaż pamiętam, jak potrafił być zdegustowany, gdy odkrywałem kolejne płyty Darkthrone. Większość heavy metalu, z Iron Maiden na czele, uznał za nudne. Potrafił też wejść do mojego pokoju, kiedy słuchałem muzyki, rzucić „ale fatalnie brzmi ten werbel” i wyjść – mówi Jacek Ścierański. – W przypadku mojego muzykowania, jego krytyka jest bardzo konstruktywna, bardzo techniczna i zazwyczaj słuszna. Bardzo cenię sobie jego uwagi i często się do nich stosuję. Natomiast do samej artystycznej i stylistycznej strony nigdy się odnosi, pewnie wie, że i tak go nie posłucham.

W moim własnym domu międzypokoleniowy kontredans wokół muzyki jest równie skomplikowany. Żyżmam się, kiedy słyszę, że potomstwo puszcza nagrania artystów, których nie lubię i nie cenię. Ale kiedy w pokojach dzieci znajduję moje ulubione albumy, podkradzione z pilnie strzeżonych półek z fonograficznymi skarbami, walczą we mnie dwa żywioły. Z jednej strony pękam z dumy, a z drugiej... cóż, nie lubię, kiedy ktoś rusza moje płyty. ●



2010
Brodka
„Granda”
Sony Music Poland



2012
Kamp!
„Kamp!”
Brennnessel



2014
PRO8L3M
„Art Brut”
RHW Records



2015
Synty
„Orient”
Latarnia Records



2015
Zbigniew Wodecki with Mitch & Mitch Orchestra and Choir
„1976: A Space Odyssey”
Lado ABC



2015
Taco Hemingway
„Umowa o dzieło”
Taco Corp / Asphalt Records



2016
Furia
„Księżyc milczy luty”
Pagan Records



2018
Dawid Podsiadło
„Małomiasteczkowy”
Sony Music Entertainment Poland



2019
Hania Rani
„Esja”
Gondwana Records



2021
Fisz Emade Tworzywo
„Ballady i protesty”
Mystic Production

Siadam w kąciuku jak moja **babcia**

Z ANTONINĄ TOSIEK*
ROZMAWIA
WOJCIECH SZOT



FOT. TOMASZ WASZCZUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• 26.09.1998. Dożynki we wsi Dietrichowo w północnej części województwa warmińsko-mazurskiego. Były dwa PGR-y: Gierkiny i Majmławki

Konfrontacja z pismem matki i tym, jak ona opowiada o swoim życiu, jest bardzo trudna. Nie mam prawa na nikim tego wymuszać.

„Przepraszam za brzydkie pismo” – to tytuł książki Antoniny Tosiek*. Autorka oddaje głos mieszkającym na wsi kobietom, które przez niemal cały XX wiek pisały – wysyłane na konkursy – pamiętniki. Tosiek przeczytała ich niemal tysiąc i napisała, jedną z najciekawszych w ostatniej dekadzie, analizę polskiej historii XX wieku.

WOJCIECH SZOT: „O jednej krowie bieda będzie zaglądać nam w oczy chociaż nie chcę się jej dać. Jeszcze próbuję walczyć o byt swój i rodziny, ale czy wygram?”. Wydawałoby się, że to fragment pamiętnika napisanego w latach 30. XX wieku. A to jednak lata 90.

ANTONINA TOSIEK: W pamiętnikach spisanych podczas transformacji często powracają analogie do lat wielkiego kryzy-

su z międzywojnia, rzadziej okupacji albo stalinowskiej kolektywizacji. Bo do czego porównać brutalny koniec znanego nam świata?

Często myślimy o latach 90. na polskich wsiach zgranyymi kalkami, np. obrazami z paradokumentu „Arizona”, czyli sprowadzając wpływ reform Balcerowicza na wsiach głównie do upadku PGR-ów.

A co z zamykanymi przedszkolami, ośrodkami zdrowia albo liniami PKS?

Co ze zmianą oprocentowania kredytów rolniczych, cen w skupach produktów rolnych, zalewem rynku owocami i warzywami z zagranicy, dobijaniem infrastruktury społecznej i kulturalnej?

Przecież jeszcze zanim Wałęsa przegrał wybory z Kwaśniewskim, zamknięto 20 tys. wiejskich punktów bibliotecznych. Była to – względem roku 1989 – likwidacja na poziomie 75 proc. Liczba działających na wsiach spółdzielni kółek rolniczych zmalała o połowę.

Dla wielu bohaterek mojej książki lata 90. okazały się najbardziej dramatycznym czasem w ich życiu. Zupelnym kataklizmem. Podobnym do tego, który zmusił do emigracji i wyjazdów na saksy setki tysięcy chłopów w latach 30.

Konkursy na pamiętniki to – jak mówił też w „Wyborczej” Paweł Rodak – polski fenomen, który nie ma odpowiednika nigdzie na świecie. Archiwa zachowały się szczątkowo, ale nawet to, co dotrwało, to olbrzymi materiał. Pierwsze konkursy są w latach 20. XX wieku, a przez cały wiek zorganizowano ich kilka tysięcy. Jak wyglądał w nich udział kobiet?

– W najsłynniejszym konkursie na „Pamiętniki chłopów” z roku 1935 wzięło udział zaledwie 17 kobiet. Mężczyzn – kilkuset. Powody są oczywiste – spisać pamiętnik oznaczało być kobietą absolutnie wyjątkową na tle swojej zbiorowości.

Pamiętnikarka musiała przede wszystkim umieć czytać i pisać, mieć pieniądze na papier i atrament, znaleźć na pisanie czas i jeszcze zbuntować się przeciw sceptycznemu mężowi albo ojcowi.

Moja ukochana pamiętnikarka z tego konkursu – Janina K. – przeczuwała, że większość tekstów nadeślą mężczyźni, dlatego postanowiła stworzyć coś w duchu niemal manifestu emancypacyjnego, odezwę w imieniu rzeszy niewysłuchanych i nieopowiedzianych dotąd życiorysów wiejskich kobiet.

„Chcę, by nareszcie zrozumieli wszyscy, że my kobiety wiejskie, na których barki spadł ogromny ciężar obowiązku, stokroć cięższy, jak na mężczyzn, wołamy o swoje prawa! Dopominamy się poprawy losu, wołamy o ulgi! Bo gdy tak dalej pójdzie, to zabraknie zupełnie zdrowych matek, zabraknie silnych gospodyń, a w tym wypadku każdy mi przyzna, że... może zabraknąć Polski!”

Wspólnym mianownikiem niemal wszystkich pamiętników jest potrzeba bycia wysłuchaną.

– Konkursy były dla nich okazją do opowiedzenia o swoich życiach, dawały im poczucie, że ktoś, i to po raz pierwszy, pyta je o to, kim właściwie są, jaką mają historię.

Pamiętnikarki piszą, bo próbują uznać same siebie za warte i godne opowiedzenia.

Chociaż najczęściej zostały wychowane w tradycji kobiecego posłuszeństwa i podległości, to jednak czują, że ich doświadczenia mają przecież wartość, że zasługują na opowieść. Jednocześnie przepraszają za taką postawę. Krygują się. A jednak się odważają. Piszą. Często posługują się też figurą bohaterki zbiorowej, mówią w imieniu grupy.

Piszą też dla ulgi. Żeby się komuś zwierzyć. Pamiętniki kobiet mają bardzo konfesyjny charakter. Są też niezwykle intymne. Dzielią się historiami przemocy, przebytych aborcji, ale też zakochiwania się, bywają świadectwem uwielbienia dla mody.

Są też pamiętniki, w których opisane zostały doświadczenia queerowych relacji – miłości do innych kobiet. To niezwykle świadectwa, które były wówczas nie do wypowiedzenia nie tylko w wiejskich wspólnotach.

„Mówią, że tylko mężczyzn można silnie kochać. Nieprawda, będę przeczyć. Kobiety można silniej pokochać niż mężczyznę. Można ją pokochać i przywiązać się do niej. Tak było ze mną”, pisze Wanda z okolic Radomska w 1962 roku.

– Wiele aspektów życia tych kobiet zmieniło się wraz z dekadami. Niestety, w większości to jedynie dekoracje, kosmetyczne zmiany prawne czy kulturowe. Możliwe z wyjątkiem pojawienia się pralki i prodiża – one faktycznie niosły rewolucję.

Nie zmienia się za to dojmujące poczucie samotności i potrzeba bycia widzianą, uznaną przez kogoś za ważną i dzielną. Nie chodziło o to, żeby ktoś ich pożałował, zapłakał nad ich losem – pamiętnikarki pisały, bo zależało im, żeby „państwo profesorstwo z Warszawy”, „szanowna redakcja” czy „drogie jury” wiedziało, że one też mają coś do powiedzenia.

Nawet w publikowanych wyborach prac konkursowych przez lata pamiętniki kobiet były marginalizowane.

– O ile nie zaskakuje nas marginalizacja kobiet w publikacjach przedwojennych, o tyle już po wojnie jest to zadziwiająca praktyka. Gdy w latach 60. Tomasz Szarota i Krystyna Kersten przygotowywali cztery tomy monografii ogłoszonego wiosną 1948 roku konkursu „Opis mojej wsi”, pisali, że kobiecie pamiętniki „były na ogół mniej wartościowe, rozwlekłe”, a „ich elementy najbardziej typowe to sentymentalizm, liczne opisy przyrody”. W efekcie prace kobiet w druku przybrały formę kilkudzaniowego streszczenia.

Wiesław Myśliwski – lektor w konkursie na pamiętniki młodzieży wiejskiej z roku 1962 – skwitował za to jeden z moich ulubionych tekstów krótkim: „dziewczyńskie ple-ple”.

Stałym elementem tych pamiętników jest kwestia edukacji.

– To najważniejsze pragnienie większości tych kobiet. Nawet jeżeli nie mogą same chodzić do szkoły, to walczą o to, by ich dzieci miały zapewnioną edukację. Najczęściej pod koniec pamiętnika pojawia się informacja o tym, jakie szkoły skończyły ich dzieci. To było najważniejsze, co im się przydarzyło w życiu, co udało im się osiągnąć. Zwłaszcza dumne były z wykształconych córek.

Cały czas siedzi w nas przekonanie, że kolejne pokolenia muszą nas przeska-kiwać na drabince edukacyjnej.

– Rodzice mojej mamy z powodu wojny nie skończyli podstawówki. Mieli czwórkę dzieci, wszystkie chcieli wysłać na studia. Nauka była jedynym powodem, przez który można było uniknąć albo wymigać się od pracy w polu. Szkoła zawsze miała być na pierwszym miejscu.

Dla pamiętnikarek brak edukacji był powodem do wstydu. Pisząc, obawiały się, że ktoś uzna je niewarte czasu i uwagi, że je upokorzy albo się z nich zaśmiej. Dlatego tak dumne były ze swoich dzieci. Często też dziękowały władzom, Polsce Ludowej za stworzenie możliwości powszechnej edukacji.

To było dla mnie spore zaskoczenie, jak fakt, że PRL dał szkołę, niemal zerował poprzednie, trudne doświadczenia związane choćby z kolektywizacją. Edukacja była dla nich nadrzędnym celem i największym do-brodziejstwem systemu.

W Polsce międzywojennej edukacja kobiet wiejskich niemal nie istniała.

– Były oczywiście wyjątki, ale z pamiętników wynika, że kobiety przeważnie były zmuszane do rezygnacji z ambicji.

Dominował wtedy model rodziny wielodzietnej, w której kobiety pracowały w polu, by zarobić na edukację braci. W książce piszę o pamiętnikarce, która razem z dwoma siostrami pracowała w gospodarstwie, żeby zarobić na utrzymanie brata w seminarium duchownym.

Są też pamiętniki kobiet, które dosłownie uciekły ze wsi do miasta, żeby się uczyć. A jednak, jak pokazują statystyki z tamtych lat, większość dziewcząt, którym udało się skończyć na przykład trzymiesięczny kurs na uniwersytecie ludowym w Szybach czy Gaci, było zmuszonych do powrotu na rodzinne gospodarstwa ze względów ekonomicznych i obyczajowych. Młoda, samotna, ze wsi, a siedzi w mieście nad książkami!? A powroty bywały znacznie bardziej dramatyczne niż ucieczki.

Wspomniałaś o seminarium duchownym. Jaki z pamiętników wylania się obraz Kościoła katolickiego?

– Kościół jako instytucja odgrywa przeważnie rolę czarnego charakteru. Pamiętnikarki, ale i pamiętnikarze z lat 30. często piszą na przykład o chciwości księży, którzy domagają się absurdalnie wysokich opłat za pogrzeb. Księża grzmieli z ambony przeciwko zrzeszaniu się chłopów w kołach i organizacjach. Szczególnie krytycznie oceniali wiejskie aktywistki.

Jeszcze w latach 50. często byli przeciwni Kołom Gospodyń Wiejskich – uważa-

w w uzyskaniu rozwodu. Przydałaby się również jakaś zapomoga”.

Za to pamiętnikom towarzyszyły tysiące listów z prośbami o pomoc. Organizatorów konkursów pamiętnikarskich, zwłaszcza po wojnie, przerosła skala ich popularności. Nadsyłano tysiące tekstów, niemal zawsze bardzo cennych dla samych piszących.

Czytałam pamiętnik pisany przez autorkę przez 20 lat. Dołączyła do niego zdjęcia, by zilustrować niektóre z opisywanych sytuacji. Prosiła o zwrot rękopisu, bo „to najważniejsze, co ma”. Nikt jej go nie odesłał.

Próbowałaś dotrzeć do rodzin tych kobiet?

– Taki był pierwotny pomysł na książkę. Rozmowy i zwracanie skanów rękopisów czy zdjęć. Czyli skonfrontowanie zapisków pamiętnikarskich babć albo matek z pokoleniami kobiet, które przyszły po nich. Wydawało mi się, że jeśli poinformuję wcześniej rodzinę, z jakiego rodzaju materiałem będą mieli do czynienia, upewnię się, czy są gotowi na lekturę tekstu, w którym mogą występować opisy przemocy czy informacji, których dotąd może nie znali, to wystarczy. Spróbowałam. Nie chcę opowiadać o tym, co było dalej.

Konfrontacja z pismem matki i tym, jak ona opowiada o swoim życiu, jest bardzo trudna. Nie mam prawa nikomu tego robić, na nikim tego wymuszać.

Jeśli ktoś rozpozna w tej książce swoje matki, babki, to oczywiście może do mnie napisać. Podam sygnaturę, powiem, w jakim archiwum można pamiętnik znaleźć.

Ale nic więcej.

Każdy, kto dziwi się, że narracja Konfederacji czy Brauna ma tytuł zwolenników, powinien zrozumieć to, co czuły kobiety na wsiach i w małych miasteczkach na początku tej nowej Polski”

li, że mogą mieć demoralizujący wpływ na kobiety. Takich historii jest wiele.

W jednym z pamiętników, którego nie przytaczam w książce, autorka ze szczegółami opisała doświadczenie molestowania przez księdza, który uwodził kolejne sprzątające na plebanii dziewczyny.

Czym innym jest oczywiście kwestia wiary, pobożności – one odgrywają w pamiętnikach dużą rolę. Co ciekawe, wiele pamiętnikarek jasno oddziela swój krytyczny stosunek do kleru – nawet w latach 90., pisząc o księżach, którzy beczelnie agitują z ambony – od przekonań religijnych.

W wielu pamiętnikach pojawiają się historie, w które powinny zainteresować służby – policja, prokuratura, opieka społeczna. Zdarzały się interwencje?

– Tak, choć mało o nich wiemy, bo brakuje dokumentacji. W latach 60. Halina Krzywdzianka, redaktorka naczelna wydawanego przez Związek Młodzieży Wiejskiej „Zarzewia”, która była jurorką w konkursach pamiętnikarskich, starała się pomagać niektórym autorkom. W pamiętniku pewnej mieszkanki Opatowa znalazłam dopisek: „dla Haliny” oraz notatkę: „Mąż pijak maltretuje ją i dzieci. Nie zapewnia im utrzymania. Interwencja u władz powiatowych. Być może trzeba będzie udzielić pomocy

Jednym z wątków, który przewija się przez całą książkę, jest twoja nieufność wobec kategorii „awansu społecznego”.

– Narracja awansu klasowego jest nie do podważenia. On był faktem. Wystarczy spojrzeć na statystyki związane z edukacją, mobilnością, także z dochodami gospodarstw domowych w PRL, żeby uświadomić sobie, jak wielka rewolucja wydarzyła się w powojennej Polsce.

Jednocześnie patrzenie na polską historię drugiej połowy XX wieku wyłącznie przez pryzmat awansu klasowego sprawia, że wyłamujemy z tej historii mężczyzn i kobiety, których ta opowieść nie dotyczy. Nie mieli wystarczająco środków, wsparcia czy zdrowia, żeby wyjeżdżać, kończyć szkoły. Czasem też przecież po prostu tego nie chcieli.

Tendencyjna opowieść o powojennym awansie traci z oczu wszystkich tych, którzy na wsi zostali. Przede wszystkim kobiety.

Nawet jeżeli miały szansę na edukację, stały się reprezentantkami lokalnej, wiejskiej elity intelektualnej, to z perspektywy zewnętrznej wciąż były reprezentantkami grupy chłopskiej, o którą – jak pokazują przytoczone przez ciebie fakty – nie dbano.

– Warto przypomnieć sobie „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka, tekst z jednej strony rozliczeniowy, z drugiej pokazujący, jak pogardliwie myśłano o wsi i chłopach. Ta „halastra”, która jedzie „ze wsi i miasteczek” budować Nową Hutę, jest „wpół rozbudzona i wpół obłąkana, milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki, wypchnięta nagle z mroków średniowiecza wyjąca z nudy w grudniowe wieczory...”. Dehumanizacja, której przez lata przyklaskiwano, oceniając tekst Ważyka jako przełomowy.

Przywiązanie do narracji o powszechności awansu klasowego sprawia, że bohaterki mojej książki zostały niemal zupełnie zapomniane. Jakby historia nagle się wyzerowała, a PRL umożliwiał zrealizowanie się tylko jednego scenariusza, jednej tożsamości klasy niższej i wyższej. Dla wielu osób to bardzo wygodne, nie trzeba się obawiać, o niuansach i cyferkach można opowiadać przy pomocy dużych kontrastów.

Awans społeczny oznaczał coś innego dla kobiet, a coś innego dla mężczyzn?

– Znamy historie rodzeństw – chłopaka i dziewczyny – na których przykładzie doskonale widać, że awans społeczny kobiety nigdy nie jest w pełni skończony, „dokonany”.

Ona zawsze będzie mierzyć się z szeregiem zinternalizowanych przekonań dotyczących ról genderowych i kobiecego poświęcenia. Takich pamiętników spisano setki. Ale przecież większość z nas ma takie historie w swoich rodzinach.

Moja babcia całe życie siadała z dala od kuchennego stołu, w kąciaku, obserwując, czy wszyscy na pewno jedzą i nie potrzebują dodatków.

Dopiero kilka lat temu się zorientowałam, że kiedy jeździmy z mamą do jej rodzinnego domu, to chociaż babci już z nami nie ma, obie intuicyjnie nie wybieramy miejsc przy stole. Dwa pokolenia później, a siadanie w kąciaku trwa.

Przeczytałaś niemal tysiąc przysyłanych w XX wieku na przeróżne konkursy pamiętników napisanych przez kobiety ze wsi. Tytaniczna praca. Co stało u jej podstaw?

– Początkowo myślałam o pamiętnikach jako zapomnianej historii piśmiennictwa i literatury, ale też pewnej luki narracyjnej w opowiadaniu o klasie ludowej w XX wieku.

Marzyłam o napisaniu książki na podstawie pamiętników autorstwa mieszkanek wsi, od kiedy w 2016 roku zupełnie przypadkowo znalazłam w antykwariacie wybór pamiętników z lat 30. Poświęciłam im pracę licencjacką, potem magisterską, zaczęłam tworzyć cykl pamiętnikarski dla magazynu internetowego „Czas Kultury”.

A już w trakcie mojej pracy nad książką wyszły „Chłopki” Joanny Kucieli-Frydryszak i reszta najgłośniejszych publikacji związanych z ludową historią Polski.

Kiedy zaczynałam, nie mówiło się jeszcze o „zwrocie ludowym”. I tak nagle, naprawdę nieoczekiwanie, znalazłam się w samym środku mainstreamu, pewnej humanistycznej mody. Efekt popularności tej tematyki jest zarówno pozytywny, jak i negatywny.

W przestrzeni medialnej i kolejnych esejach popularyzatorskich historię ludową sprowadzono wyłącznie do przemocy i ucisku. Szybko zaczęto ją też kapitalizować i przekształcać w bardzo proste metafory.

Skoro coś budzi emocje, to można na tym budować narrację pseudoterapeutyczną, oferować łatwe rozwiązania. Tak z traumy i wstydu robi się produkt.

Traumaland dla każdego.

– Często słyszę, że „Chłopki” stały się dla wielu osób czymś w rodzaju narzędzia terapeutycznego. To fantastyczna książka, jeśli skłania nas do pogłębionej myśli o relacjach społecznych w dwudziestolecu międzywojennym, ale gdy zaczynamy na nią

patrzeć wyłącznie z perspektywy „ja”, tracimy to, co w niej cenne.

Niebezpieczne jest też budowanie przekonania o tym, że istnieje jakiś jeden, uniwersalny wzór kobiecego doświadczenia, jedna chłopka i jedna wieś, którymi można opowiedzieć wielość doświadczeń. Nie można.

Teatr w Legnicy wystawiając „Chłopki”, przygotował plakat, na którym – na identycznym tle jak bohaterka okładki Kuciel-Frydryszak – stoi młoda dziewczyna, którą możemy utożsamiać z pracowniczką korporacji, jakiegoś banku.

Poprowadzenie prostej analogii pomiędzy pracą w korporacji a losem chłopka w latach 30. prowadzi do unieważnienia opresji, której były poddawane kobiety na wsi. Symbol może i poręczny, ale też problematyczny. Estetyka wygrywa z semantyką. Oddalamy się od problemów i nie dostrzegamy, że doświadczenie przemocy nie jest jedynym, które determinowało życie kobiet wiejskich.

O jakich doświadczeniach się zapomina?

– Właściwie o całym doświadczeniu PRL-u. Na przykład historii aborcji na wsiach. Około pięciu milionów wszystkich kobiet z dwóch powojennych pokoleń przeszło przynajmniej jedną aborcję. To doświadczenie kolektywne.

Mając takie dane, możemy zacząć się zastanawiać, jak to się stało, że na początku lat 90. wiele kobiet nagle stało się przeciwniczkami aborcji. Czy to doświadczenie było na tyle traumatyczne, że – gdy już nastąpiła demokracja – one się zradyzalizowały? Czy poprzez media i zyskującą na sile narrację katolicką zostały zradyzalizowane? Dyskusja o tym, skąd się wziął „kompromis aborcyjny”, nie może się odbyć bez dostrzeżenia tego momentu.

W latach 70. XX wieku niemal połowa Polaków mieszkała na wsi. A leczyło tam zaledwie pięć procent lekarzy. Dostęp do opieki zdrowotnej był znikomy. Gdy dzisiaj – w myśl narracji o PRL jako krainie dostępnego awansu społecznego – piszemy o tym, jak socjalistyczny postęp emancypował i wyrównywał szanse, nie możemy zapominać, że tak naprawdę nie było jednego PRL-u.

Nie każdy załapał się wtedy na emancypację i nie ma jednego modelu, którym możemy się posłużyć do opisu losu „klas ludowych” w tym czasie. Szczególnie na wsiach i w miastach. To dwa radykalnie różne doświadczenia, szczególnie jeśli chodzi o dostęp do opieki medycznej czy edukacji.

Prawo do bezpłatnej ochrony zdrowotnej dla rolników i rolniczek pojawiło się w 1972 roku. Ustawa o ochronie emerytalnej rolników z 1977 roku nie objęła żon właścicieli ziemi. Nie ma jednej historii Polski, a są dwie historie – wiejska i miejska? – W polskiej historii współczesnej są trzy momenty, gdy doświadczenia ludności wiejskiej i tej mieszkającej w miastach są zupełnie nieprzystawalne. Pierwszy to wojna i okupacja. W powszechnej świadomości dominuje obraz wojny w mieście. Mamy przed oczami raczej zdjęcia zrujnowanej Warszawy niż małej wioski na Suwalszczyźnie.

Wojna na wsi często wyglądała zupełnie inaczej. Niekiedy rodziny chłopskie funkcjonowały dużo lepiej niż przed jej wybuchem. Dorabiano się na handlu, szmuglowaniu żywności. Oczywiście nie unieważnia to historii przymusowych wysiedleń, mordów czy horroru przemarszu wojsk. Na różnych wsiach po prostu bywało różnie.

Drugi moment to stalinizm, kolektywizacja i „walka z kulakiem”. Rolnicy trafiali do więzień, byli torturowani, na masową skalę stosowano represje, które dotknęły właściwie całą grupę zawodową.

A trzeci moment to początek lat 90. Zgoda – wszystkim było ciężko, ale na te-

renach wiejskich stopa ubóstwa w ciągu pięciu lat podskoczyła z 10 procent do 59. Nie mówimy o biedzie, ale o ubóstwie, czyli zagrożeniu podstawowej egzystencji.

Gdy patrzymy na historię XX wieku prostymi kategoriami, przeoczamy całą resztę.

Historie naszych przodków budzą olbrzymie emocje. Na spotkaniach z Joanną Kuciel-Frydryszak czytelnicy i czytelniczki niemal zawsze opowiadają historie, które mrozą krew w żyłach.

– Podziwiam Joannę za to, co i jak robi. Przecież nie musiałaby na te spotkania jeździć, nie musi tego słuchać. Ale wie, że to jest ważne dla jej czytelników. Czas pokaże, co usłyszę, gdy będę opowiadała o „Przepraszam za brzydkie pismo”. Nie mam zamiaru się krygować – nie wiem, czy jestem na to gotowa.

Czy za twoją książką stoi jakiś postulat w stronę czytelników?

– Żeby nie uniwersalizować i zawsze pamiętać o wielości losów, historii. Dokonując uproszczeń, zrównując losy różnych ludzi, robimy to, przeciwko czemu zwrot ludowy tak naprawdę występował.

Jestem podejrzliwa wszędzie tam, gdzie pojawia się manifestacyjna wrażliwość. Takie poczucie, że jesteśmy po dobrej stronie historii, możemy sobie pogratulować i zabić brawo. Być może nigdy po niej nie będziemy.

To, czego dowiadujemy się na historii, to opowieść o doświadczeniu niewielkiej grupy ludzi

Nasze bierne przyglądanie się ludobójstwu w Gazie doskonale to obrazuje.

– Niestety, budowana przez lata narracja o wyjątkowości Holocaustu jako wydarzenia, które nie miało precedensu, ale też już nigdy się nie powtórzy, sprawiła, że wciąż trudno nam zrozumieć, co się naprawdę dzieje. W ogóle budowanie opowieści o historii na wyjątkowości pewnych wydarzeń sprawia, że trudno później jest na nowo zbudować jej obraz.

W pamiętnikach uderzyło mnie, jak często wspomina się o Wołyniu. To są czasem makabryczne opisy. Jednocześnie – gdy patrzymy na edukację w latach 90. i politykę historyczną, był to temat niemal nieobecny w głównej narracji. Dlatego szybko został przejęty przez narrację nacjonalistyczną i skrajnie prawicową. A przecież wielu z nas ma dziadków i babcie, którzy byli świadkami mordów na Wołyniu.

Podobnie jest z „żołnierzami wyklętymi”. Gdyby mainstreamowa historia zadbła o pamięć o nich, dzisiaj nie byłiby symbolami prawicy.

– Mamy też niemal całkowicie zapomnianą historię Batalionów Chłopskich, a w latach 90. – ubóstwa wsi i małych miast. Z naszej kolektywnej pamięci próbuje się usunąć doświadczenie klasy ludowej.

Gdy czytałam te tysiące zapisanych maczkiem stron pamiętników, towarzyszyło mi poczucie, że to, co wiem o XX wieku, jest zupełnie niereprezentatywne. W ogóle nie odzwierciedla doświadczeń większości pamiętnikarzy i pamiętnikarek.

Jestem mieszczką, która zawsze chodziła do najlepszych szkół, i choć mam chłopskie pochodzenie, to wychowywałam się

w rodzinie, gdzie dziadek skończył studia i miał w domu bogatą bibliotekę.

W 1936 roku lwowski historyk Stanisław Zakrzewski upominał się o zmiany w podstawie programowej szkół podstawowych. Pisał, że chłopskie dzieci czytają podręcznik, z którego dowiedzą się, „że co dziesiąty władca Polski był przyjacielem chłopów, a zresztą historii Polski robili szlachcice”. Wszystkie ilustracje – dodawał – odnoszą się do świata szlacheckiego.

„A gdzież w tym wszystkim choć jedna strona taka, którą by chłopskie dziecko znało jako swoją i kochało od pierwszego wejrzenia, od pierwszego wejrzenia uczuło, że jest w swoim świecie”, pytał. I ja też mam poczucie, że historia dalej jest opowiada tak, że nie przedstawia doświadczeń kolektywnych, częściej błyskotki, głośne, ale „cudze” opowieści.

Aktualny model historii uniwersalnej wymazał to, co wrze pod przykrywką XX wieku. Dlatego tak łatwo jest te wątki przejąć i wykorzystać do nacjonalistycznej polityki historycznej, użyć jako broni.

Co możemy zatem zrobić?

– Zacząć od uświadomienia sobie, że to, czego dowiadujemy się na historii, to opowieść o doświadczeniu niewielkiej grupy ludzi.

To jak z mapami świata – dominuje odwzorowanie, na którym Afryka wydaje się niewielkim kontynentem, gdzieś „na dole” mapy. Jeśli użyć odwzorowania lepiej zachowującego proporcje, kontynent afry-

kański okazuje się przecież znacznie większy, niż nas nauczono. To skutek polityki kolonialnej, tak jak w przypadku mówienia o „bliskim” i „dalekim” Wschodzie. Dalemkim z czyjej perspektywy?

Tak samo jest z ludową historią – zmianą proporcji i perspektywy pozwala wiele wątków opowiedzieć na nowo. I może okazać się, że to doświadczenie biedy i upokorzenia, mordów na Wołyniu czy prześladowań chłopów w PRL, a potem bieda lat 90. będą najważniejszymi wydarzeniami XX wieku.

Populistyczni, faszyzujący politycy żerują właśnie na tym braku reprezentacji. W końcu wielu ludzi właśnie w ich narracji odnajduje swoje miejsce, odzyskuje poczucie sprawiedliwości dziejowej.

W naszej rozmowie cały czas wracają lata 90.

– Pamiętniki z początku lat 90. są piekielnie przejmujące i dają nową inną perspektywę na to, jak myślimy o tym czasie. Weźmy taki fragment z jesieni 1991 roku.

„Pracuję ponad siły, dzieci mi pomagają, ale trudno jest związać koniec z końcem. Za komuny pobudowaliśmy dom, mamy wodę, gaz, telewizor. Dzieci chodziły do szkoły. (...) Nie mam co sprzedać. Za starą krowę wzięłam 1.200 tys. zł. (...) Nie mam za co kupić nowej. Za komuny na zakup inwentarza były bardzo dogodne kredyty. O jednej krowie bieda będzie zagładać nam w oczy chociaż nie chcę się jej dać. Jeszcze próbuję walczyć o byt swój i rodziny, ale czy wygram? Dopomóż mi Boże! Nie chwałę komuny, bo to był zły system, totalitarny. Ale żyło się łatwiej”.

Krystyna z Tomaszowa Mazowieckiego pisała: „Gminy wyprzedają co się da i roz-

dają za darmo głodującym lub obibokom na gorzałę. I to ma być demokracja? Jeden pracował jak wół i nie ma z czego żyć lub ma głodową emeryturę. Kiedy nastąpi prawdziwa demokracja?”.

Jednocześnie akcje przeciwdziałania bezrobociu były skierowane do mężczyzn. W efekcie w 1997 roku kobiety stanowiły ponad 60 procent wszystkich bezrobotnych.

Zapomnieliśmy też już o pladze choroby alkoholowej. Pamiętnikarki z lat 90. uświadamiają nam, że to kobiety przejmowały kontrolę nad budżetami rodzinnymi. To one musiały brać na siebie odpowiedzialność za utrzymanie gospodarstw. Zostały porzucone przez państwo, przez lata czuły się absolutnie zapomniane, wykluczone, niewzięte pod uwagę.

Każdy, kto dziwi się temu, że narracja Konfederacji czy Brauna ma tylu zwolenników, powinien najpierw zrozumieć to, co czuły kobiety na wsiach i w małych miasteczkach na początku tej nowej Polski.

Wspomniałaś o tym, że twoja rodzina ma w swojej historii zarówno chłopską historię, jak i tę miejską. Czy pogodzenie tych dwóch tożsamości wpłynęło na twoją decyzję o zajęciu się pamiętnikami?

– Moja mama pochodzi ze wsi, tata z miasta. Poznali się na studiach. Z różnych powodów znaczną część dzieciństwa spędziłam właśnie w domu rodzinnym mojej mamy. To dziwne, ale dużo lepiej i intensywniej pamiętam swoje dzieciństwo stamtąd niż z Poznania.

Miałam olbrzymie szczęście, bo w moim domu kochało się i czytało książki, więc mama miała na półce wszystkie powieści i dramaty Wiesława Myślińskiego i wracała do nich także jako do literatury trochę o sobie, o swojej historii. Dlatego, zanim trafiłam na pamiętniki, chciałam zajmować się obrazem kobiet w prozie nurtu wiejskiego z drugiej połowy XX wieku, u Redlińskiego, Pilota, Orszyn.

Potem się okazało, że fikcja jest mi zupełnie niepotrzebna, bo dziesiątki tysięcy mieszkank wsi napisało swoje własne opowieści. Straszny patos, ale sama prawda.

Na koniec chciałbym ci pogratulować Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za „żertwy”. Jesteś naukowczynią, poetką, krytyczką literacką, dziennikarką. Dużo tego.

– Za dużo... Wiesz... z żadną z tych etykiet nie potrafię się w pełni zidentyfikować. Do czasu „żertw”, mojego drugiego tomu poetyckiego, w ogóle nie czułam się poetką. Myślałam o sobie jako o kimś „z akademii” albo po prostu dziewczynie, która pisze różne rzeczy.

Kocham siedzieć w archiwum i język nauki to jest mój język. Ale poezja mnie fascynuje. To, w jaki sposób można się bawić językiem, jak można go kondensować i szukać w nim napięć. W poezji pozwalam samej sobie zerwać się z uwięzi. ●



Antonina Tosiek

• Poetka, dziennikarka i naukowczyni. Laureatka Nagrody Literackiej m. st. Warszawy i Nagrody Szymborskiej za tom „żertwy” (2025). Jest doktorantką w Szkole Nauk o Języku i Literaturze UAM.

• Antonina Tosiek, **„Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet”**, wyd. Czarne 2025



Marzena Filipczak

Lipiec 2002 r., czwarty albo piąty dzień podróży, jeszcze przed Fior-dami Wschodnimi, ale już za złotym kręgiem, czarną plażą i pierwszym w moim życiu lodowcem, który z bliska wcale nie był biały, tylko szarobrudy.

Po odwiedzeniu każdego z tych miejsc myślę „najbardziej niezwykle”. Najbardziej niezwykle wodospad, najbardziej niezwykle gejzer, kąpielisko termalne, pole lawy. W tym kraju niezwykle jest wszystko; co będzie dalej albo w głębi lądu? Bo wszystkie wymienione niezwykłości leżą przy albo w niedalekim sąsiedztwie drogi numer jeden biegnącej pętlą dookoła Islandii.

Ta najważniejsza i najbardziej znana droga na wyspie jest gotowym planem dla większości turystów, a na pewno tych, którzy przyjechali tu po raz pierwszy. Pozwala zobaczyć w 7-10 dni jej największe pocztówkowe atrakcje.

Dwie godziny za lodowcem jedynka odbija w głąb lądu. Trzymanie się dalej wybrzeża jest piękne i patrząc na spływające z klifów wodospady, naprawdę można uwierzyć, że żyją tu elfy, ale czasochłonne, bo trzeba objechać kolejne półwyspy Fior-dów Wschodnich.

Ścinamy więc cały północny wschód lądu i ruszamy w poprzek wyspy. Robi się monotonnie w porównaniu z tym, co widziałam i zobaczę potem – właściwie nudno, ale jednak gdzieś tam są miejsca i chwila, które zapamiętam najbardziej z całego wyjazdu.

W pewnym oddaleniu od szosy stoi samotna farma, w ogrodzie od frontu jest cmentarz z kilkoma grobami, na kawałku łąki z boku – prosty kemping. Wokół nie ma żadnych atrakcji, a jedyna szutrowa droga co prawda prowadzi zachęcająco w góry, ale kończy się za pierwszą bramką na pastwisku.

Mamy więc słoneczne popołudnie, zabezpieczony nocleg, kilka godzin do zagospodarowania, a na Islandii pogoda bywa bardzo kapryśna, z dobrej trzeba więc wycisnąć, ile się da – i nic do roboty. Rzucam karimatę na trawę przed namiotem, otwieram książkę, ale chwilę potem podnoszę głowę i patrzę przed siebie.

W widoku nie ma nic szczególnego, żadnego „zapiera dech w piersiach”; są to po prostu nieduże, zaokrąglone pagórki, za nimi kolejne mniejsze, i jeszcze jedno, aż stapiają się z niebem też jak najbardziej zwyczajnym, bez choćby wyrazistego błękitu czy nietypowych chmur. A jednak czuję, jakby świat się zatrzymał, a ja w nim jestem i nie potrzebuję niczego więcej.

Chyba w ten sposób się zobrazowało „być tu i teraz”. Dlaczego wtedy i dlaczego tam – nie mam pojęcia, nie potrafię też odnaleźć tamtej farmy. Wiele razy potem szukałam podobnych miejsc, ale nie miało to sensu, bo to one znajdowały mnie. Po prostu się zdarzały. Nie były przy tym takie same ani nawet bardzo podobne, gdyby położyć ich zdjęcia obok siebie postronna osoba pewnie nie zaliczyłaby ich do tego samego zbioru.

To rozległe przestrzenie – doliny, płaskowyże, jeziora, pagórki, przyglądam się im i nie widzę końca. Myślę jednak, że przecież musi gdzieś być, ciekawi mnie, co znajdę za nim, ale idę, idę, a tam ciągle to samo. Bo żeby szczęście było całkowite, potrzebuję nie tylko znaleźć i zobaczyć to miejsce, ale je poczuć: wędrować, spać na dziko, wypić rano prawdziwą kawę.

Cokolwiek by się zdarzyło, z czego bym nie odchudzała plecaka i jak bardzo minimalistycznie się spakowała – a zdarzało mi się już nawet zabierać karimatę przyściętą do połowy, pod nogi podkładałam na noc pusty plecak – na kawiarkę zawsze mam miejsce.

Siedzę rano przed namiotem z widokiem na świat bez budowli,



Inny wymiar monotonii

Siedzę rano przed namiotem z widokiem na świat bez budowli,
dróg, płotów, linii elektrycznych, który wygląda, jakby dopiero powstał

dróg, płotów, linii elektrycznych, który wygląda, jakby dopiero powstał.

Krajobraz jest surowy, raczej wichrowe wzgórze niż rajski ogród, raczej zimno niż ciepło.

To też jest absurdalne, bo na co dzień strasznie marznę i nawet latem chodzę po domu w skarpetkach. Jedyne wytłumaczenie tego fenomenu, jakie przychodzi mi do głowy, to takie, że w poprzednim życiu żyłam w takim miejscu, gdzieś na rozległych wyżynach Skandynawii.

Islandia. Pierwszy krok na Księżycu

Wróciłam na Islandię wiele lat potem, już sama, żeby doświadczyć jej wnętrza. Interior, który zajmuje dwie trzecie wyspy, to nieprzyjemna, bezludna wulkaniczna wyżyna z trzema lodowcami, usiana rozlewającymi się rzekami.

Kiedy przybyli pierwsi wikingowie, było tu cieplej, wytyczyli więc drogi, które pozwalały im skrócić przeprawę przez wyspę. Używali ich przez kilka wieków, póki nie przyszło ochłodzenie i warunki się nie pogorszyły. Z czasem w poprzek wyspy podróżowali tylko najwięksi śmiałkowie, ale kiedy Islandia zaczęła stawać się popularnym kierunkiem podróży,

ruszyły tu dzipy z turystami na pokładach i baniakami z paliwem na dachach, dla bezpieczeństwa po kilka razem, bo rzeki pokonuje się wplaw.

Sezon na wyprawy trwa krótko, drogi zwykle są otwarte między połową czerwca i września, ale czasem topniejący śnieg blokuje je jeszcze w lipcu.

W czasie tamtego pierwszego wyjazdu patrzyłam z żalem na znaki skrętu i ogromne tablice informacyjne z mapami traktów, obiecując sobie, że kiedyś na

nie wrócę. Wróciłam wiele lat potem, ale wcale nie przejechać, tylko sobie pocho-dzić.

Tak właśnie myślę nawet o najdziwniejszych, najbardziej oddalonych od ludzi, uważanych za „trudne” trasach. „Czas się przejść” – mówię. Na interior dałam sobie miesiąc. Nie robiłam konkretnych planów, nie miałam oczekiwań, niczego nie zakładałam. Uznałam, że w najgorszym razie przejdę drogą (F)35, czyli bardziej cywilizowaną z dwóch przecinających Islandię w poprzek. To raptem 180 km najzwyczajszym szutrem.

Przeszłam, posilkując się autostopem, który jak zwykle im dalej od cywilizacji, tym więcej ciekawych kierowców i spotkań przynosił: w poprzek wyspy z północy na południe (F)35, dodatkowo robiąc dwie pętle po jej obu stronach; kilkanaście łączącymi się krótszymi drogami pod wulkan Hekla



Islandia latem.
Malowniczy
kanion Studlagil
w dolinie lodowcowej
Jökuldalur
w północno
-wschodniej części
wyspy

FOT. ANDREW MAYO / SKYSY / SHUTTERSTOCK

uważany kiedyś za wrota piekieł, do tęczy- wych gór Landmannalaugar i obrzeżem świeżutkich wówczas pól lawy powstałych po wybuchu wulkanu, który sparaliżował ruch lotniczy połowy świata i łamał języki całego globu.

Proszę bardzo: Eyjafjallajökull. Dzie- ki rozmowom z islandzkimi kierowcami, którzy nauczyli mnie, że nazwy są bar- dzo logiczne i zwykle składają się z kil- ku słów, tę i inne wymawiam bez zająk- nięcia.

Na północ wyspy wracam drugą przeci- nającą ją drogą, dłuższą, trudniejszą i bar- dziej odizolowaną od świata F26 nazywa- ną Sprengisandur. Ten świat nie może być prawdziwy, ale przecież tu jest: taki sam na pierwszym, dziesiątym i setnym kilome- trze. Jalo- wa, pokryta wulkanicznym pyłem i żwirem pustka, od niej jako tako odcina się tylko droga, która pojawia się i znika za kolejnymi wzniesieniami.

Czuję się jak człowiek, który wylądował właśnie na Księżycu, samotny, mały jak py- lek, ale zachwycony, że tu dotarł.

Idę, rozglądam się, idę, ale nie zmie- nia się nic, nie pojawia się żaden nowy od- cień, żaden inny kształt, punkt, rysa. Mózg włącza przycisk reset, nie myślę o niczym. A przecież jeśli ktoś albo sama sobie mó- wię: „Nie myśl o niczym”, nigdy mi się to nie udaje.

Wiele osób mawia, a ja jestem nawet przekonana, że Islandia to inna planeta. Do podobnego wniosku doszła zresztą NA- SA. Spory fragment Sprengisandur biegnie między dwoma lodowcami, wspomnia-

ny już Vatnajökull leży na wschód od dro- gi, na zachodzie jest trochę mniejszy Lan- gjökull.

Kawałek za nimi w prawo odbija pod- rzędna – podrzędna – jak to brzmi w tym miejscu – droga F850, jedyna pozwalająca dostać się z tej strony do wulkanu Askja. Gdzieś tu szkolili się astronauta- ci z mi- sji Apollo, bo zdaniem agencji kosmicz- nej nigdzie indziej na Ziemi nie ma krajo- brazu tak bardzo przypominającego księ- życowy.

Pięć dekad potem w położonym godzi- nę jazdy od północnego krańca Sprengi- sandur portowym miasteczku Húsavík, od- wiedzanym głównie dla rejsów z obserwa- cją wielorybów, powstało Muzeum Ekspo- racji.

Na zdjęciach można zobaczyć Neila Armstronga łowiącego lososie w przerwie między treningami, a w zapiskach Alfre- da Wordena, astronauty z misji Apollo 15, przeczytać: „Miejsce jest tak surowe i jalo- we, że czulem się, jakbym już był na Księ-

życu... Latem słońce zdaje się nie zacho- dzić”.

Na deser wędrówki zostawiam niedale- ki, ale jakże inny, nietypowo zielony kanion Ásbyrgi. Idę i idę w jego kierunku, ale mi- jające mnie samochody są załadowane po dach, bo porośnięty lasem kanion jest ulu- bionym miejscem wypoczynku Islandczy- ków.

Zaczynam się denerwować, zostało mi ze 20 kilometrów, a dochodzi dziewiąta, zatrzymuje się podumać, co robić, patrzę na bezkres i: „Ale o co chodzi. Jasno jest właściwie całą noc, dookoła dużo strumie- ni, więc wody mi nie zabraknie, a przecież kiedyś dojdę”.

Finlandia. Piąta pora roku

Moja droga do zadurzenia się w nordyckich przestrzeniach nie była prosta. Piszę nor- dyckich, a nie skandynawskich, choć prze- cież i ja, i większość ludzi, mówiąc „Skan- dynawia”, odruchowo myśli o całej europej- skiej północy. Formalnie jednak zaliczają się

do niej Norwegia, Szwecja, Dania, nie ma tu więc nawet położonej na Półwyspie Skandy- nawskim Finlandii, kraju zupełnie różnego kulturowo, językowo, historycznie.

To właśnie od Finlandii wszystko się za- częło, choć dziś dziwię się, że od razu też nie skończyło, bo jest to kraina dla konese- rów. Za pierwszym razem może zwyczaj- nie znużyć. Też wtedy jej nie rozumiałam, oczekiwałam przecież – jak po znanych mi wówczas wyjazdach – atrakcji, zabytków, widoków, żeby coś się działo.

Tymczasem: Helsinki odbudowane po dziewiętnastowiecznym pożarze zapew- ne są ikoną dla miłośników architektury, ale co w nich dla laika takiego jak ja, ocze- kującego uroku „brukowanych uliczek i ko- lorowych kamienic”? Po deptaku Espla- nadi, który miał być centrum życia i za- bawy, spaceruje kaczka z młodymi, kiedy wyjmuję bulkę, natychmiast zlatuje się sta- do wróbli.

Pierwsze dwa dni samochodem przez południową część kraju: lasy i jeziora, je- ziora i lasy, lasy, czasem skocznia nar- ciarska, jedyną rozrywkę stanowi zabawa w odgadnięcie, co znaczą fińskie napi- sy na znakach.

Wreszcie koło podbiegunowe, niby nic takiego, tylko punkt na mapie, ale sama je- go nazwa jest tak obiecująca i ekscytująca, że przechodząc za wyznaczające go słup- ki na parkingu przy siedzibie Świętego Mi- kołaja pod Rovaniemi, przelącza się we mnie przymus.

Patrzę na północ i to jest to. Arctic Hi- ghway, pierwsza autostrada na świecie, która dotarła do Morza Arktycznego, wów- czas, w 1931 roku, prowadziła z Rovanie- mi do portu Liinakhamar nad Morzem Barentsa. Port ów leżał na końcu wąskie- go pasa ziemi, dzięki któremu Finlandia miała połączenie z morzem na północy, ale po drugiej wojnie światowej przypadł – wraz z końcowym fragmentem autostra- dy – ZSRR.

Nie ma tam przejścia granicznego, ark- tyczna droga została więc przekierowana i dziś zamiast na północny wschód prowa- dzi prosto na północ – do Norwegii. Jest to najprostsza droga na Nordkapp, podróżują- nią wszyscy przemierzający kontynent na jego najbardziej północne krańce.

Autostrada Arktyczna ma dwa pasy i tak samo jak drogi na południu otacza ją las. Ale nie ma w niej nic z tamtej mono- tonii, zamiast płaskiego – nieduże wznie- sienia z drogą pofalowaną jak wstążka, na drodze dużo więcej niż ludzi czy samocho- dów jest reniferów. Pasą się między drze- wami, gapią z poboczy, trzeba uważać, bo wyskakują pod koła, ale trudno się na nie złościć.

Dla mnie należą do tego samego zbioru rozczulających stworzeń co lamy, lemury, pingwiny czy różowe flamingi, nie sposób ich nie lubić i nie cieszyć się jak dziecko na widok każdego kolejnego.

Noc spędzam na leśnym kempingu gdzieś za Sodankylä, to moja pierwsza bia- ła noc i choć wcale nie jest biała, tylko sza- rawa, siedzę długie godziny po północy na progu chatki i śmieję sama do siebie, że wciąż widać na tyle dobrze, że można zbie- rać jagody. Nawet nie trzeba wstawać, wy- starczy wyciągnąć rękę.

Wracalam w te okolice kilka razy, o róż- nych porach roku, w czasie kiedy noc al- bo dzień prawie się nie kończyły, a świat ubierał się w różne kolory. Fińskie sło- wo „ruska” nie ma odpowiednika. To krót- ki okres, kiedy liście, porosty, mchy, jagody – a w Finlandii rośnie ich ponad 50 gatun- ków – zmieniają kolory na żółte, pomarań- czowe, czerwone, purpurowe. Nazywają go też piątą porą roku.

W Laponii jest wyjątkowa, bo niedu- że łagodne pagórki porośnięte krzewiastą tundrą zapewniają świetne widoki. Ruska trwa raptem około dziesięciu dni, na dale- kiej północy typowo przypada na drugi ty- dzień września, ale w zależności od pogo- dy może się przesunąć w obie strony. Po- tem zjawisko wędruje na południe, a Fi- nowie i przybysze z innych krajów jadą

Krajobraz jest surowy, raczej
wichrowe wzgórze niż rajski
ogród, raczej zimno niż ciepło

za nim jak Japończycy za kwitnącymi wiśniami.

Wciąż się dziwię, że taką karierę zrobiło duńskie hygge, a tak małe mamy pojęcie o ruskaretki, czyli aktywnościach na świeżym powietrzu w czasie ruski. To prawdziwe cieszenie się chwilą.

Przypominając sobie swoje ruskaretki, myślę, że było w nim dużo wariactwa, i nie wiem, czy odważyłabym się powtórzyć je w taki sam sposób.

Zapakowałam w bagaż podręczny małą chińską dwójkę – stary namiot jednopowłokowy suchy wewnątrz, dopóki nie pada, i polecałam do Kirkenes. To najdalsze lotnisko w Norwegii, położone 15 km od przejścia granicznego z Rosją, przez które wiedzie droga do Murmańska.

Pojechałam tą drogą w przeciwną stronę, na granicę z Finlandią, w ten sposób dostałam się na jej najdalszą północ i nad największe laponiskie jezioro Inari, ponad dziewięć razy większe od naszych największych Śniardw.

Wędrowałam wiele dni leśnymi szlakami, zatrzymywałam się w zbudowanych przy nich chatkach – w niektórych można odpocząć, wysuszyć się, coś zjeść, w innych spędzić noc. W pierwszej spałam co prawda z duszą na ramieniu, bo na zewnątrz coś hałasowało, a dopiero po jakimś czasie odważyłam się sprawdzić, co takiego.

Ale przecież nie można się złościć na renifera.

Spotykałam Finów z plecakami wielkości czołgu, jeden niósł nawet butelkę dobrej oliwy (!). Rozpalali ogniska, gotowali, łowili ryby, cieszyli się tym czasem w sposób wręcz namacalny. Bardzo mi się wtedy spodobał i przejęłam ten styl wędrowania: nie za szybko, nie po to, żeby dotrzeć i pochwalić się zakończeniem szlaku, ale żeby po prostu na nim być.

Polowanie na zorze

Kiedy kończy się czas pogoni za ruską, zaczyna się czas polowań na zorze. Byłam ich ciekawa jeszcze bardziej, wyjazd też był chyba bardziej wariacki: lot do pachnącego już wiosną Turku na południowym wybrzeżu Finlandii, stamtąd stopem do Laponii fińskiej i szwedzkiej. 1370 km, z tego jedna trzecia między słupkami wyznaczającymi w śniegu pobocza, z widokiem na drogi wytyczone na zamarzniętych jeziorach i parkujące na nich kampery, przez Kirunę, która wtedy zaczęła się już przeprowadzać.

To najbardziej wysunięte na północ miasto Szwecji powstało i może umrzeć za sprawą największej na świecie kopalni rudy żelaza. Coraz dłuższe sztolnie wbiły się pod nie tak, że groziło mu zapadnięcie, ale zamknięcie kopalni równałoby się brakowi pracy, a tu naprawdę nie ma niczego innego po sąsiedzku. Dlatego część miasta zdecydowano się przenieść kilka kilometrów dalej, na taką skalę nie odbywa się to nigdzie indziej na świecie.

100 km na zachód od Kiruny, przy linii kolejowej łączącej ją z portem w Narviku, skąd żelazo płynie w świat, leży piękny i najczęściej odwiedzany w Szwecji Park Narodowy – Abisko. To tu wytyczono słynny szlak pieszy Kungsleden, dostępny tylko latem i zimą, kiedy nie ma roztopów.

Latem wędruje się wokół jezior, zimą – idę ich środkiem, wzdłuż tyczek ginących w wielkiej i idealnie jednolitej bieli. Dwie poprzednie noce spędziłam w namiocie w lesie, marcowa temperatura miała spaść

najniżej do minus 15 stopni Celsjusza, ale zafundowała mi mroźną niespodziankę, idę więc rozbić się przy schronisku, ogrzać się w łazience i w kuchni.

Na miejscu okazuje się, że jest jeszcze lepiej: po odsunięciu klapy z przerebli można wpuścić do jeziora wiadro na długiej linie i nabrać lodowatej wody na po saunie. Zadowalałam się sauną i czekam z nadzieją na trzecią noc.

Położone z daleka od cywilizacji, niezanieczyszczone światłem, cieszące się wyjątkowo bezchmurnym niebem Abisko ma opinię jednego z najlepszych miejsc na świecie na obserwację zorz polarnych. Statystyki podają, że spędzając tu w sezonie zimowym trzy noce, szanse ich zobaczenia wynoszą 90 proc.

Na szczęście jestem świadoma, że zorze nie zawsze wyglądają tak spektakularnie jak na zdjęciach, na których bywają efektem długiego naświetlenia. Dzięki temu nie jestem ani trochę zawiedziona, kiedy na niebie zaczyna się przedstawienie z zielonymi smugami w roli głównej.

Trwa raptem kilkanaście minut, opiekun schroniska studi emocje, że to nic szczególnego, ale dla mnie to dzisiaj jedno z najdoskonalszych kilkunastu minut w życiu. Zapominam nawet, że czeka mnie kolejna noc w namiocie schowanym przed wiatrem w wielkiej śnieżnej dziurze.

Kiedy opowiadałam o wędrowkach przez pustkę, słuchacze często pytają, czy warto. tak się męczyć, dźwigać na plecach dom,

Wciąż się dziwię, że taką karierę zrobiło duńskie hygge, a tak małe mamy pojęcie o ruskaretki

spać na dziko? Jak ja w ogóle śpię na dziko s a m a? Ano tak samo jak z kimś.

Kocham tę część świata także za to, że tak bezceremonialnie i bez strachu robijam się tam, gdzie mi się podoba, a nie tam, gdzie nikt mnie nie zobaczy. Nie lubię spać w lesie ani w cieniu. Lubię, tak samo jak w ciągu całego dnia, wyrzeć z namiotu i zobaczyć przestrzeń, czasem zostawiam na noc otwarty tropik.

Lubię, żeby mnie wygrzało i wyгнаło wcześniej rano z namiotu słońce.

Jedne z najlepszych i najpiękniejszych miejscówek znalazłam na norweskim płaskowyżu Hardangervidda. Przedziwna to kraina: niby blisko cywilizacji, bo pomiędzy dwoma największymi norweskimi miastami, czyli Oslo i Bergen, niby na południu – na Nordkapp jest stąd mniej więcej tyle samo co nad Adriatyk, ale jak nieprzewidywalnie i surowo.

Warunki panujące na tym olbrzymim bezdrzewnym pustkowiu przypominają arktyczne, tu trenowali przed wyprawami najwięksi polarnicy – Roald Amundsen, Robert Scott, Ernest Shackleton. Zasypiając z widokiem na wielką zieleń, pod wielkim błękitem myślę, że to nie jest prawdziwy świat, tylko obrazek ułożony z miliona puzzli.

Następnego dnia pogoda się psuje. Na taką najgorszą – szarą, siąpiącą zacinającą

cym deszczem. Przemoknięta po całym dniu wędrowki, bez perspektywy, że jutro będzie lepiej, nie udaję kozaka, tylko meluję się w hotelu.

Jest to jedyny hotel w jednym z najbardziej turystycznych, a więc też najdroższych miejsc w drodze Norwegii. Ale przecież nie przyjechałam tu po to, żeby się bić zować i źle to wspominać. Kiedy wychodząc rankiem, na kurtuazyjne pytanie recepcjonistki o plany odpowiadam: „Idę dalej, szkoda, że wciąż jest zła pogoda”, ona patrzy chwilę i mówi: „Myślę, że każdą pogodą można się cieszyć”.

Robi mi się szczerze głupio, że narzekam, będąc w takim pięknym miejscu, i od tego czasu naprawdę przejmuję powiedzenie Skandynawów, że „nie ma złej pogody, są tylko złe ubrania”. Deszcz, wiatr, mróz; dopóki nie cierpię – idę, a kiedy przestaje mi to sprawiać frajdę, znajduję bezpieczne miejsce pod namiot, gdzie mnie nie zaleje, przynoszę wodę, o którą w przeciwieństwie do wysp, po których też lubię wędrować, tutaj jest bardzo łatwo, gotuję ciepłą kolację i znowu jest pięknie.

Gdyby nie zapiski, zapomniałabym, że na Islandii poderwane przez silny wiatr kamiki lawy wybijały szyby w samochodach, w najbardziej deszczowy dzień całe kempingowe życie przeniosło się z namiotów do pawilonu z toaletami. Na wyjeździe zorzowym kremy zamarzły mi na kamieniu.

„Siąpi, pada, leje, znowu siąpi” – zapisałam w Laponii. A w czasie rowerowej wy-

ieczki po Gotlandii robiłam kanapki na cmentarnym murze, bo był jedynym jako tako suchym miejscem. Jak wytłumaczyć innym, że to stały element Północy i że można ją przyjąć i zaakceptować jedynie z całym dobrodziejstwem – nie wiem. Nie dziwię się jednak, kiedy czasem patrzę na mnie jak na wariatkę.

Grenlandia, nareszcie nie marznę!

Zadziwiającą na tym tle wypadła Grenlandia, ukoronowanie moich północnych rajów. Zanim na nią dojechałam, na pytanie o ulubione miejsce na świecie odpowiadałam: „Nie wiem”. I naprawdę nie wiedziałam, chociaż dużo nad tym myślałam, bo jak porównać Angkor czy Machu Picchu z wędrowką dookoła Annapurny albo boliwijską pustynią solną, a te z widzianymi na wolności słoniami czy lemurami?

A gdzie jeszcze miasta? Szmaragdowe budowle Samarkandy, kanały Wenecji, balet w Petersburgu, nowoczesne wieżowce Tajpej?

Teraz już nie mam wątpliwości, może jednak Eryk Rudy był nie tylko pierwszym marketingowcem świata, ale także wizjonerem? Ten żyjący w dziesiątym wieku wiking po skazaniu na banicję z Islandii pożegłował na zachód i osiadł na kilka lat na znalezionym lądzie, historycy i sagi mają rozbieżne zdania na temat tego, czy był tam pierwszym Europejczykiem.

Kiedy wygnanie dobiegło końca, wrócił na Islandię z pomysłem, żeby się odegrać i zabrać ze sobą osadników. Nowemu lądowi nadał zachęcającą nazwę – zielony. Grenlandia. Prawdopodobnie zresztą, że weczesnym średniowieczu niektóre jej przybrzeżne rejony były bardziej zielone niż dziś. Ale i w XXI wieku najbardziej mnie zadziwia pogoda, choć trzeba przyznać, że trafiam na wyjątkowo ciepły sierpień.

Większość dni spędzam w lekkiej koszulce i wystawiając twarz ku słońcu. Lodowych jest jedynie kilka na początku, nad

ikonicznym Icefiordem, który jest ujściem dla gór odrywających się od najbardziej produktywnego lodowca świata, i na końcu – twarzą w twarz ze skrajem lądolodu.

Cały długi środek to wędrowka szlakiem Arctic Circle Trail, jedyną oznakowaną długodystansową trasą Grenlandii, z zachodniego wybrzeża w głąb. Prawie 200 km bez cywilizacji, zasięgu, możliwości ewakuacji. Denerwuję się trochę tylko na początku, nawet nie z powodu rzeczywistych trudności, ale martwienia się, jak będzie dalej: że nie znajdę drogi przez mokradła, a poziom wody w najtrudniejszej do przejścia rzece będzie zbyt wysoki.

Na szczęście sięga połowy ud, choć płynie warto, i dla bezpieczeństwa najpierw przechodzę bez plecaka i dopiero po tak wytyczonej trasie z nim. Na drugim brzegu wszystkie zamartwiania się wbijające się we mnie jak drobne drzazgi, niegroźne, ale uciążliwe, znikają. Zostaje tylko zachwyt.

Nad suchą ścieżką przez bagna, welnianką kwitnącą między głazami, kolacją jedzoną o północy przy lampie z wielkiego pomarańczowego słońca, szeroką plażą nad jeziorem, na której zostały ślady kopyt dzikich reniferów i moich stóp, widokiem czerwonej chatki dla wędrowców i szczęściem, że nie dotarł tu nikt przede mną, mam więc wspaniałą sypialnię.

Nad rozległymi dolinami z kolejnymi jeziorami zamkniętymi ścianami z zielonych gór, po których płynęły rzeki. Jedno z długich i wąskich jezior przepływam ze spotkanym wędrowcem kanu, są tu takie do dyspozycji, choć nigdy nie wiadomo, na którym krańcu. Na brzegach dogasa pożar tundry, których tu się nie gasi, w przejrzystej wodzie doskonale widać omszałe kamienie układające się na dnie kilkanaście metrów niżej jak wyrafinowana mozaika.

– Długo płynęliście? – pyta ktoś po powrocie.

– Nie, trzy dni – odpowiadam, dopiero potem zdając sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało. Ale „tam” czas ma naprawdę inny wymiar, zwalnia, monotonia powinna mnie zanudzić na śmierć, ale skąd – nie nudzi mi się nawet trochę.

Zaprawa na Lofotach

Grenlandzka wędrowka była najbardziej wymagającą ze wszystkich, ale przecież przygotowywałam się do niej od lat. Na pierwszy wyjazd. taki naprawdę, na dłużej, z namiotem na dziko wybrałam Lofoty, czyli norweskie wyspy położone ok. 250-300 km za kołem podbiegunowym.

Kiedy z wody wynurzają się góry o zboczach na przemian zielonych i skalistych, z wierzchołkami pokrytymi śniegiem, pasażerowie rzucają się z aparatami w jedno miejsce, aż prom się przechyli.

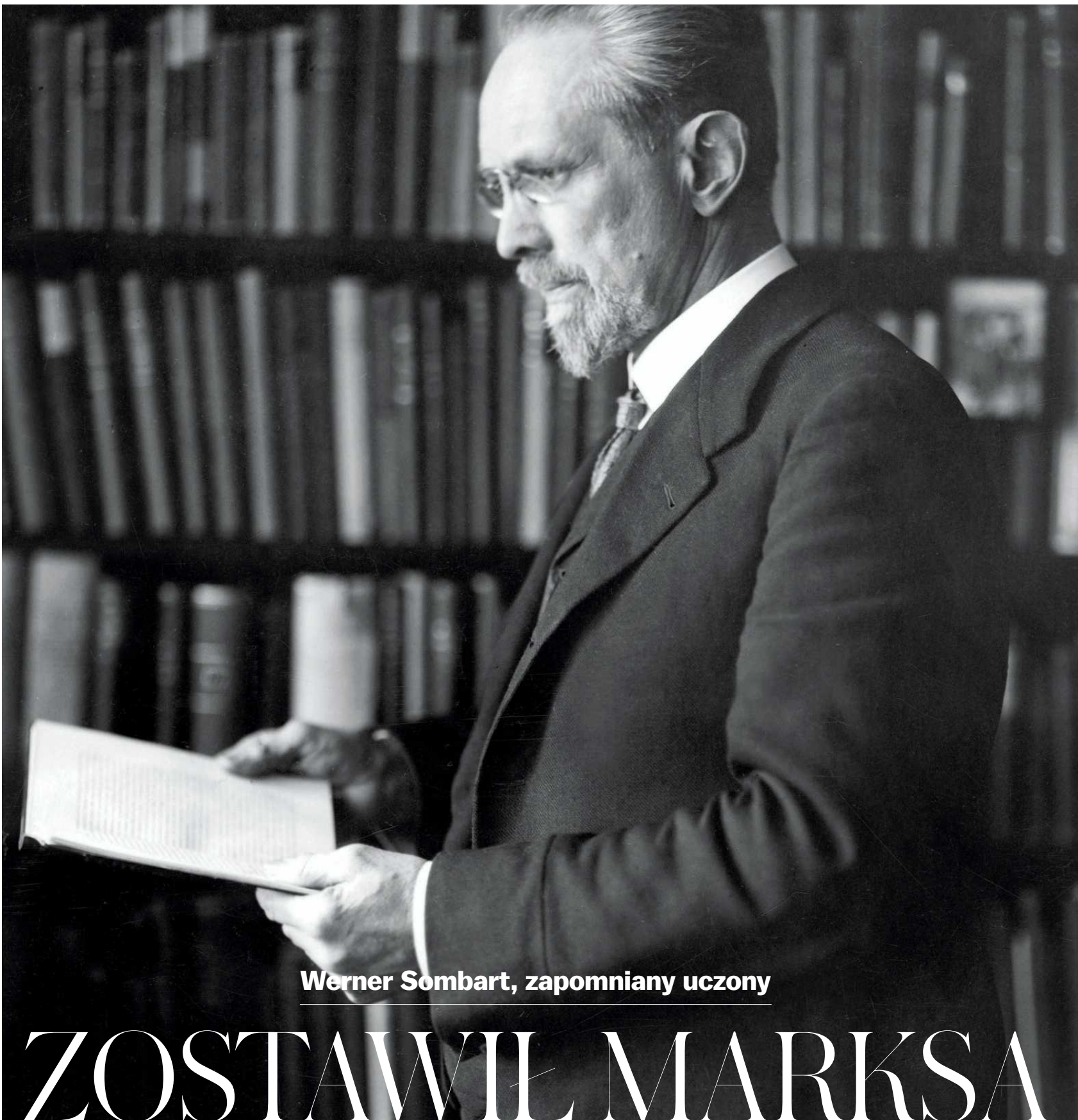
Lofoty z tej perspektywy wyglądają jak jakiś baśniowy potwór, który próbuje wzbicić się w niebo wprost z morza.

Ze szczytów i przeciwnego zachodniego wybrzeża przez cały czerwiec i pierwszą połowę lipca można obserwować zjawisko midnight sun – nocą jest nie tylko jasno, ale nisko nad horyzontem widać pomarańczowo-czerwone słońce, które jednak nie zachodzi, tylko przesuwa się nad nim, by płynnie przejść we wschód. Oczywiście wybrałam ten termin.

Spędzam na Lofotach 12 dni, ale mam straszny pecha: najpierw leje na zmianę z padaniem, potem tylko mży i wieje, niebo jest jednak zasnuwane chmurami, nie ma nie tylko północnego słońca, lecz także żadnych ze słynnych lofockich widoków.

Udało mi się przejechać cały archipelag, czyli cztery główne połączone mostami wyspy ciągnące się mniej więcej 100 km, pojechać na kilka krótszych wędrowek. I kiedy już miałam zapisać w pamięci ten wyjazd jako mało udany, przedostatniego popołudnia, gdy wróciłam już pod przystań, wyszło piękne słońce.

Pobiegłam na drogę zobaczyć zakrzywione mosty, góry i suszące się dorsche w innym świetle. I śmiałam się sama do siebie. Poprzednie dni nie miały już znaczenia. Dla tego jednego i tak warto tu być. ●



Werner Sombart, zapomniany uczyony

ZOSTAWIŁ MARKSA *dla* HITLERA

Zachwyciły go „idee nadające ruch dzisiejszej polityce”. Hitlerowskiej.
Zmarł zbyt wcześnie, by w pełni poznać ich skutki

Witold Gadomski

Przełom XIX i XX wieku to czas przemian społecznych, gospodarczych i intelektualnych. Rewolucja przemysłowa, urbanizacja, migracje, wzrost znaczenia klasy średniej i robotniczej stawiały nowe pytania o funkcjonowanie społeczeństw oraz mechanizmy gospodarowania. Odpowiedzi dawał marksizm, który przedstawiał kapitalizm jako system oparty na wyzysku klasy pracującej. Rozwijana przez Marksa i Engelsa teoria wartości dodatkowej, materializm historyczny i koncepcja walki klas stały się fundamentem dla lewicowych ruchów politycznych i ekonomicznych. Do marksizmu nawiązywali, przyjmując niektóre jego koncepcje lub ostro z nimi polemizując, uczeni, którzy byli pionierami nauk społecznych – ekonomii i socjologii. Socjologia i ekonomia zaczęły być wykładane na uniwersytetach między innymi w Chicago, Berlinie,

Heidelbergu czy Paryżu. Rozwijały się metody badań: statystyka, badania terenowe, analiza porównawcza. Podwaliny socjologii tworzyli Émile Durkheim, Max Weber, Ferdinand Tönnies czy Georg Simmel. Durkheim wprowadził pojęcie „faktów społecznych” – obiektywnych norm i instytucji, które wywierają presję na jednostkę. Weber kładł nacisk na rozumienie subiektywnych motywacji działania. W pracy „Etyka protestancka a duch kapitalizmu” (1905) pokazał, jak przekonania religijne wpływały na powstanie racjonalnego kapitalizmu. Tönnies wyróżnił dwa typy struktur społecznych – Gemeinschaft (wspólnota) i Gesellschaft (społeczeństwo). Ten dualizm pomógł zrozumieć efekty industrializacji i urbanizacji. Simmel analizował mikroskalowe interakcje międzyludzkie. Koncentrował się na formach, jakie przybierają relacje społeczne. Analizował znaczenie pieniądza jako formy kulturowej. W teorii ekonomii nastąpiła rewolucja marginalistyczna, a jednocześnie w trzech krajach – Wiel-

kiej Brytanii, Austrii i Francji – pojawiły się nowe teorie wartości oparte na użyteczności krańcowej (o tym za chwilę). William Stanley Jevons, Carl Menger i Léon Walras stworzyli podstawy mikroekonomii. Walras wprowadził modele równowagi ogólnej, a Menger dał początek austriackiej szkole ekonomii, która do dziś ma zwolenników i jest na antypodach tak marksizmu, jak i teorii zalecających ingerencję państwa. Austriacki ekonomista Eugen von Böhm-Bawerk w esej „Karol Marks i koniec jego systemu” (1896) przeprowadził jedną z najważniejszych krytyk marksistowskiej teorii wartości opartej na pracy. Zarzucał Marksowi brak empirycznych i psychologicznych podstaw dla tezy, że wartość towaru wynika wyłącznie z pracy. Wskazywał, że Marks ignoruje wartość użytkową. Böhm-Bawerk był również ministrem finansów Austro-Węgier i nauczycielem takich wybitnych „Austriaków” jak Ludwig von Mises i Joseph Schumpeter. Jego wkład w teorię kapitału i krytykę marksizmu pozostaje jednym z fundamentów myśli liberalnej.

Revolucja marginalistyczna polegała na odejściu od klasycznej teorii wartości opartej na kosztach produkcji (np. pracy) na rzecz teorii użyteczności krańcowej, czyli subiektywnej oceny wartości dobra przez konsumenta. Dla opisu równowagi w gospodarce ekonomiści zaczęli stosować modele matematyczne.

W opozycji do ekonomii matematycznej stała niemiecka szkoła historyczna, którą reprezentowali Wilhelm Roscher i Gustav Schmoller. Podkreślała znaczenie kontekstu historycznego i instytucji. Miała też duży wpływ na rozwój polityki gospodarczej Niemiec i idei welfare state.

Znaczenie instytucji w ekonomii badali Amerykanie: Thorstein Veblen, John R. Commons i Wesley C. Mitchell. Veblen, uważany za ojca ekonomii instytucjonalnej, krytykował konsumpcję na pokaz, analizował wpływ instytucji na ewolucję gospodarczą. Commons badał instytucje pracy i prawa jako elementy regulujące stosunki gospodarcze. Mitchell rozwijał empiryczne badania cykli koniunkturalnych z uwzględnieniem roli instytucji.

Na pograniczu socjologii i ekonomii swoją teorię rozwijał Werner Sombart (1863-1941), który analizował rozwój kapitalizmu przez pryzmat kultury, religii i mentalności. Podręczniki historii myśli ekonomicznej poświęcają mu mało miejsca.

Tego niemal zupełnie zapomnianego uczonego przypominał ekonomista i dyplomata, profesor nauk społecznych związany z UW Henryk Szlajfer w książce „Werner Sombart i kapitalizm, czyli Hassliebe” [Hassliebe to miłość pomieszana z nienawiścią]. Książka składa się z sześciu szkiców – są one dynamicznym przeglądem całej kariery intelektualnej Sombarta – od marksistowskiego entuzjasty po prekursora narodowego socjalizmu.

Szlajfer pokazuje tę drogę na tle intelektualnych sporów toczonej na przełomie XIX i XX wieku. Bohater jego książki jest w Polsce, a także w świecie anglosaskim niemal nieznany. Tymczasem za życia był jednym z najbardziej wpływowych i zarazem kontrowersyjnych niemieckich ekonomistów i socjologów. Uważany był za równego Weberowi, z którym był zresztą zaprzyjaźniony. Kim był Weber, wie dziś (powinien wiedzieć) każdy student nauk humanistycznych. O Sombarcie mało kto dziś słyszał.

Tytuł książki odnosi się do ambiwalencji Sombarta – z jednej strony uwielbiał dynamizm i rozwój kapitalizmu, z drugiej krytykował jego moralno-społeczne skutki. Tę napiętą relację Szlajfer uznał za klucz do zrozumienia intelektualnego dorobku niemieckiego uczonego i ewolucji jego poglądów.

Zaczyna od dyskusji między marksistami a ich przeciwnikami wokół III tomu „Kapitału” Marksa (wydanego w 1894 roku, po śmierci autora, przez Engelsa), w którą zaangażował się Sombart. Dotyczyła przede wszystkim tego, jak teoretyczna wartość towarów (oparta na pracy) przekształca się w realne ceny produkcji w kapitalizmie.

Sombart był recenzentem „Kapitału”, za co dostał wiele pochwał. Szlajfer przytacza opinię Jürgena Kuczynskiego, niemieckiego ekonomisty i działacza komunistycznego (a także agenta GRU), który w połowie lat dwudziestych XX wieku opisywał tekst Sombarta jako „jedną z najwspanialszych i najbardziej skłótniwszych analiz teorii Marksa”. Recenzja spodobała się też Engelsowi, co na krótko dało niemieckiemu ekonomistcie silną pozycję w środowisku socjaldemokratów. Engels określał go jako jednego z nielicznych niemieckich akademików poważnie angażujących się w rozwój teorii marksistowskiej.

Szlajfer rozważa, dlaczego Sombart nie stał się znaczącym działaczem niemieckiej socjaldemokracji, której wpływy przed pierwszą wojną światową rosły. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku uchodził za jednego z najbardziej obiecujących młodych intelektualistów związanych z nurtem marksistowskim w Niemczech. Korespon-

dował z Engelsem. Publikował w czasopiśmie socjalistycznych i postrzegany był jako uczony, który może nadać ruchowi socjaldemokratycznemu głębię teoretyczną.

Jego książkę z 1896 roku, „Socjalizm i ruch socjalny w XIX wieku”, dobrze przyjęły środowiska socjalistyczne; pomogła ona popularyzować idee marksistowskie wśród intelektualistów.

Sombart podziwiał metodę dialektycznej analizy Marksa i jego krytykę kapitalizmu. Akceptował koncepcję materializmu historycznego i kluczowej roli walki klas w historii. Szlajfer podkreśla, że rozwijając idee Marksa, włączał do nich elementy kulturowe, psychologiczne i socjologiczne.

Około roku 1900 Sombart zaczął odchodzić od ortodoksyjnego marksizmu i od socjaldemokracji. Zaczął być sceptyczny wobec rewolucyjnego potencjału proletariatu, zwłaszcza po zaobserwowaniu reformistycznych tendencji w zachodnioeuropejskich partiach socjalistycznych.

W najważniejszym dziele „Der moderne Kapitalismus” („Współczesny kapitalizm”, 1902-27) przedstawił rozległą historię tego ustroju. Dla Sombarta kapitalizm to nie tylko system ekonomiczny, ale złożone zjawisko kulturowe i historyczne, które ewoluje w czasie. Przedstawił kapitalizm jako dynamiczny proces kształtowany przez duchowe, społeczne i ekonomiczne czynniki. Pisał o „duchu kapitalizmu”, na którego składają się przedsiębiorczość, racjonalność i indywidualizm. Te cechy umożliwiły rozwój nowoczesnej gospodarki.

Sombart domagał się podporządkowania ocen moralnych i głównych kierunków reform wymogom „postępu gospodarczego” i interesom tych, którzy ten postęp najlepiej reprezentują. Reformatorzy nie powinni się skupiać na konserwowaniu przeszłości – ratowaniu rzemieślnika, sklepikarza czy chałupnika – lecz na wspieraniu przemysłowego proletariusza i przedsiębiorcy, bo te grupy zapewniają wzrost produktywności. Jak zaznacza Szlajfer, słowo „produktywność” jest dla Sombarta wręcz zaklęciem.

Twierdził, że Żydzi są predestynowani do zajmowania się handlem i finansami. Pojawiają się u niego takie określenia jak „rasa żydowska” czy „antropologiczna odrębność”. Fatalne

Podobna dyskusja – czy ratować niskowydajne rzemiosło, czy wspierać przemysł – toczyła się w tym samym czasie w Rosji w środowisku socjaldemokratów. Szlajfer ten wątek pomija. W 1893 roku doszło do polemiki 23-letniego Piotra Struwego z 50-letnim Nikołajem Danielsonem, tłumaczem „Kapitału” cieszącym się sławą najważniejszego marksisty w Rosji.

Danielson pisał, że powstanie dużego przemysłu włókienniczego uderzyło w rosyjskich chłopów, którzy dorabiali produkcją rękodzielniczą, uzupełniając dochody z rolnictwa. Zakłady przemysłowe doprowadziły do obniżki cen i ich warsztaty upadły. Struwe argumenty Danielsona uznał za utopijne. Pisał, że nic nie powstrzyma kapitalizmu, który jest niezbędny, by zmniejszyć przeludnienie wsi.

Niemiecki ekonomista twierdził, że kluczową rolę w rozwoju kapitalizmu odegrała burżuazja – nowa klasa średnia napędzana zyskiem i racjonalną organizacją. Duch burżuazyjny cechowały oszczędność, dyscyplina, samokontrola i nieustanne dążenie do wzrostu majątku. Brzmiało to podobnie do tez Webera, który twierdził, że określone



***Giuseppe Ungaretti** - 1888-1970, poeta włoski. Pozostawał pod wpływem francuskich symbolistów i futuryzmu, jeden z twórców kierunku literackiego zwanego hermetyzmem. Wiersza: Artur Międzyrzecki, „Rimbaud, Apollinaire i inni (Wybór przekładów)”, Czytelnik, Warszawa 1988.

FOT. TOURING CLUB ITALIANO / DOMENA PUBLICZNA

wartości religijne, zwłaszcza protestanckie, przyczyniły się do powstania nowoczesnego kapitalizmu. Zauważył, że protestancka etyka promowała systematyczność, punktualność, rzetelność i uczciwość – cechy niezbędne w rozwijającym się kapitalizmie.

Sombart, nie negując roli etyki protestanckiej w rozwoju kapitalizmu, podkreślał, że podobną rolę odegrali Żydzi. Pisał o tym w książce „Die Juden und das Wirtschaftsleben” („Żydzi i życie gospodarcze”, 1911). Szlajfer pisze, że temat „Żydów” był obecny w rozważaniach Sombarta przez długi czas. „Die Juden” to była jego najpopularniejsza książka, przetłumaczona na wiele języków i wznawiana także po 1945 roku. Była też najbardziej dochodową książką Sombarta – rok po jej opublikowaniu otrzymał 3 tys. marek, dwukrotność ówczesnej rocznej płacy górnika.

Szlajfer podkreśla, że w Niemczech narastała wówczas fala antysemityzmu, którego źródłem nie była religia, jak w średniowieczu, ale kwestie materialne, ekonomiczne. Państwa niemieckie były po wojnach napoleońskich zrujnowane, a ludność zbieдна. Jednocześnie Kodeks Napoleona okazał się trwałym dziedzictwem „małego kaprała” – obowiązywał także w Niemczech. Dawał Żydom obywatelstwo i dostęp do wszystkich zawodów.

Byli postrzegani jako grupa, która z wojen napoleońskich wyszła wygrana, a zaangażowanie wielu Żydów w handel i finanse sprawiało, że byli utożsamiani z kapitalizmem. „To, co w religii żydowskiej tkwi w formie abstrakcyjnej (...), to cnota człowieka pieniądza. Nawet stosunki związane z przedłużeniem rodu, stosunki między mężczyzną a kobietą itd. stają się przedmiotem handlu! Kobieta staje się przedmiotem handlu” – pisał Marks w 1843 roku.

Sombart starał się wyjaśnić w swojej książce, dlaczego to właśnie ludzie pochodzenia żydowskiego odegrali kluczową rolę w powstaniu kapitalizmu. Wskazywał na to, że diasporyczny status Żydów sprzyjał kontaktom transnarodowym i rynkowym, a ich wykluczenie z cechów rzemieślniczych kierowało ich aktywność ku finansom i handlowi. Rozwijali bankowość.

Szlajfer przytacza historię wykładu Sombarta w Berlinie w obecności elity tamtejszych Żydów. Kiedy oświadczył, że zasada maksymalizacji obrotu, nie zysku, „jest specyficznym, żydowskim wkładem, bo to Żydzi są ojcami idei wolnego handlu”, reakcja sali była entuzjastyczna.

Sombart opisał cechy identyfikowane ze społecznością żydowską: racjonalność, elastyczność, pragmatyzm. Wskazywał, że to one przyczyniły się do rozwoju przedsiębiorczości. Przekraczał przy tym ramy obiektywnej analizy. Twierdził, że Żydzi są predestynowani do zajmowania się handlem i finansami. W książce pojawiają się takie sformu-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Giuseppe Ungaretti*

Śmierć Kronosa

Krzyk zamarł.

Na łonie chmur

Zasypia godzina przerażeń.

Góry się wieńczą fioletową sadzą.

Reszta staje się milczeniem.

Gwiazdy, Penelopy niezliczone,

Pan bierze was w ramiona...

Oto jeszcze Olimp,

wieczny kwiat snu...

O, ślepoto, runiecie nocy...

łowania jak „rasa żydowska” czy „antropologiczna odrębność”.

Szlajfer podkreśla, że Sombart, który w latach trzydziestych sympatyzował z nazizmem, nie miał nic wspólnego z rasizmem. Przestrzega też przed prezentyzmem, ocenianiem wydarzeń, postaci lub zjawisk historycznych z perspektywy współczesnych wartości, norm i wiedzy. Niemniej książka Sombarta była nieraz krytykowana za utrwalanie kulturowych stereotypów i torowanie drogi późniejszemu, bardziej otwartemu antysemickim narracjom.

Postęp, który Sombart przez pewien czas gloryfikował, najwyraźniej go też denerwował. Czł awersję do regulującego czas i podział dnia kieszonkowego zegarka. Wprowadzenie taksometrów w dorożkach uznawał za podporządkowanie człowieka technice. Ba, jako meloman i miłośnik muzyki na żywo opowiadał się (na serio? żartem?) za karą dożywocia dla wynalazcy gramofonu.

Długi okres pisania „Nowoczesnego kapitalizmu” (przez 25 lat powstawały kolejne wydania) sprawiał, że poglądy uczonego ewoluowały. W kolejnych częściach swojego monumentalnego dzieła, a szczególnie w pracach z lat 1910-15, uznał, że kapitalizm nie tylko przynosi rozwój, ale także niszczy wartości duchowe i etyczne, które były jego historycznym fundamentem. Następuje mechanizacja życia społecznego, komercjalizacja relacji międzyludzkich, obumieranie wspólnotowości i religijnego etosu pracy, idea „bohatera” zostaje zastąpiona przez „rachmistrza”.

W miarę jak rosło jego rozczarowanie gospodarką rynkową, Sombart coraz mocniej krytykował liberalizm jako filozofię polityczną. Uważał, że indywidualizm liberalny prowadzi do rozkładu wspólnoty, wolny rynek nie tworzy ładu moralnego, lecz pogłębia atomizację społeczną, a kapitalistyczna racjonalność prowadzi do duchowej pustki, a nie emancypacji człowieka.

Taką ocenę wyśmiewał Ludwig von Mises. W książce „Teoria a historia” pisze: „Sombart mówi, że w kolektywistycznych instytucjach średniowiecza, takich jak Kościół, społeczność miasta, wspólnota wiejska, klan, rodzina i gildia, jednostka znajdowała »ciepło i schronienie jak owoc w swojej skórze«. Czy jest to wierne przedstawienie czasów, w których ludność była wciąż na nowo gnębiona głodem, epidemiami, wojnami, prześladowaniem heretyków i innymi katastrofami?” (przeł. Grzegorz Łuczkiewicz).

Jednym z powodów, dla których Sombart przestał być traktowany po II wojnie jako poważny badacz i myśliciel, było jego zaangażowanie w nazizm. „Przez niemal trzy powojenne dekady nie podjęto próby potraktowania »Der moderne Kapitalismus« jako ważnego dla badań historycznych etapu bez wiązania go z politycznym wyborem dokonany przez Sombarta po dojściu Hitle-

ra do władzy” – pisze Szlajfer. Zaangażowanie uczonego w nazizm nie było zresztą nadmierne – w odróżnieniu od Heideggera Sombart nie był nawet członkiem NSDAP. Tyle że Heidegger był nazistą, ale jego filozofia nazistowska nie była. Z Sombartem było odwrotnie. Rozczarowany liberalnym kapitalizmem i marksistowskim socjalizmem zaczął sympatyzować z ideologiami nacjonalistycznymi i autorytarnymi.

W pracy „Deutscher Sozialismus” (1934) głosił ideę „trzeciej drogi” między kapitalizmem a marksizmem – organicznego, wspólnotowego socjalizmu zakorzenionego w tożsamości narodowej i moralnej odnowie. Wskazywał na ideę Volksgemeinschaft – wspólnoty narodu, gdzie liczą się obowiązki, a nie prawa jednostki. Usprawiedliwiał to odwołaniem do niemieckiego ducha odgradzającego się od „ducha żydowskiego” i „handlowego”. Jego projekt tożsamościowy zawierał typowe elementy ideologii narodowosocjalistycznej: nacjonalizm, kolektywizm, planową gospodarkę, hierarchię i antyliberalizm.

Sombart aktywnie angażował się w życie reżimu. Od 1933 roku był członkiem Nazistowskiej Akademii Prawa Niemieckiego. W 1934 podpisał apel niemieckich uczonych popierający Hitlera, publikowany w „Völkischer Beobachter”, oficjalnym organie NSDAP. Zasiadał w Pruskiej Akademii Nauk, co wiązało go z nazistowskim establishmentem naukowym. Ponieważ krążyły plotki o jego żydowskich przodkach, zwrócił się do Alfreda Rosenberga, wyroczni NSDAP w sprawach „rasowych”. Ten zapewnił uczonego, że redagowany przez niego „Völkischer Beobachter” nie uważa go za Żyda.

Szlajfer cytuje niemieckiego historyka Bernharda vom Brocke: „Sombart bez wątpienia utorował drogę narodowemu socjalizmowi, był jego prekursorem. A jednocześnie byłoby błędem uważanie go za narodowego socjalistę”.

Polski historyk zastanawia się, jak możliwy był szokujący przeskok od sympatyka niemieckiej socjaldemokracji i socjalizmu do roli jednego z ojców założycieli narodowego socjalizmu. Cytuje fragment listu napisanego przez Sombarta w 1933 do innego byłego socjaldemokraty, a także socjologa i ekonomisty Johanna Plenego, w którym stwierdzał, że „czuje się twórcą idei nadających ruch dzisiejszej polityce”.

Szlajfer odrzuca poglądy austriackiego ekonomisty Friedricha Hayeka z jego słynnej książki „Droga do zniewolenia”, którą ten zadedykował „socialistom wszystkich partii”. Hayek w jednym rzędzie stawia socjaldemokratów, komunistów, stalinistów, nazistów i zwolenników interwencjonizmu gospodarczego. „Mamy do czynienia w imię obrony liberalizmu z intelektualnym nadużyciem” – pisze Szlajfer.

Szlajfer podkreśla, że mimo sympatii ideowej Sombart nie był piewą biologicznego rasizmu. W 1938 roku publikacja jego antropologicznej książki „Vom Menschen” („O człowieku”) została zakazana przez nazistów.

Autor mimo wszystko ma wiele sympatii dla niemieckiego ekonomisty. Przytacza jego esej z 1938 r. „Weltanschauung, Wissenschaft und Wirtschaft” („Światopogląd, nauka i gospodarka”) dedykowany ministrowi gospodarki w rządzie Hitlera Hjalmarowi Schachtowi, a w nim zdanie: „Jednego można się domagać od każdego naukowca: musi kierować się w swojej działalności tylko dążeniem do poznania prawdy”.

W 1939 roku ukazała się angielska edycja eseju w Nowym Jorku. Negatywnie zrecenzował go Frank H. Knight, wybitny amerykański ekonomista ze szkoły chicagowskiej. Zdyskwaliifikował esej jako mentorski, a tezy w nim zawarte uznał za słabo przemyślane. Pisał, że nie można zbyt wiele oczekiwać od „apologety narodowego socjalizmu”. „Dla Knighta Sombart był po prostu zwolennikiem nazizmu” – pisze Szlajfer i chyba ma trochę pretensji do chicagowskiego ekonomisty.

Werner Sombart zmarł w roku 1941. Zbyt wcześnie, by w pełni poznać skutki „idei nadających ruch dzisiejszej [hitlerowskiej] polityce”. ●

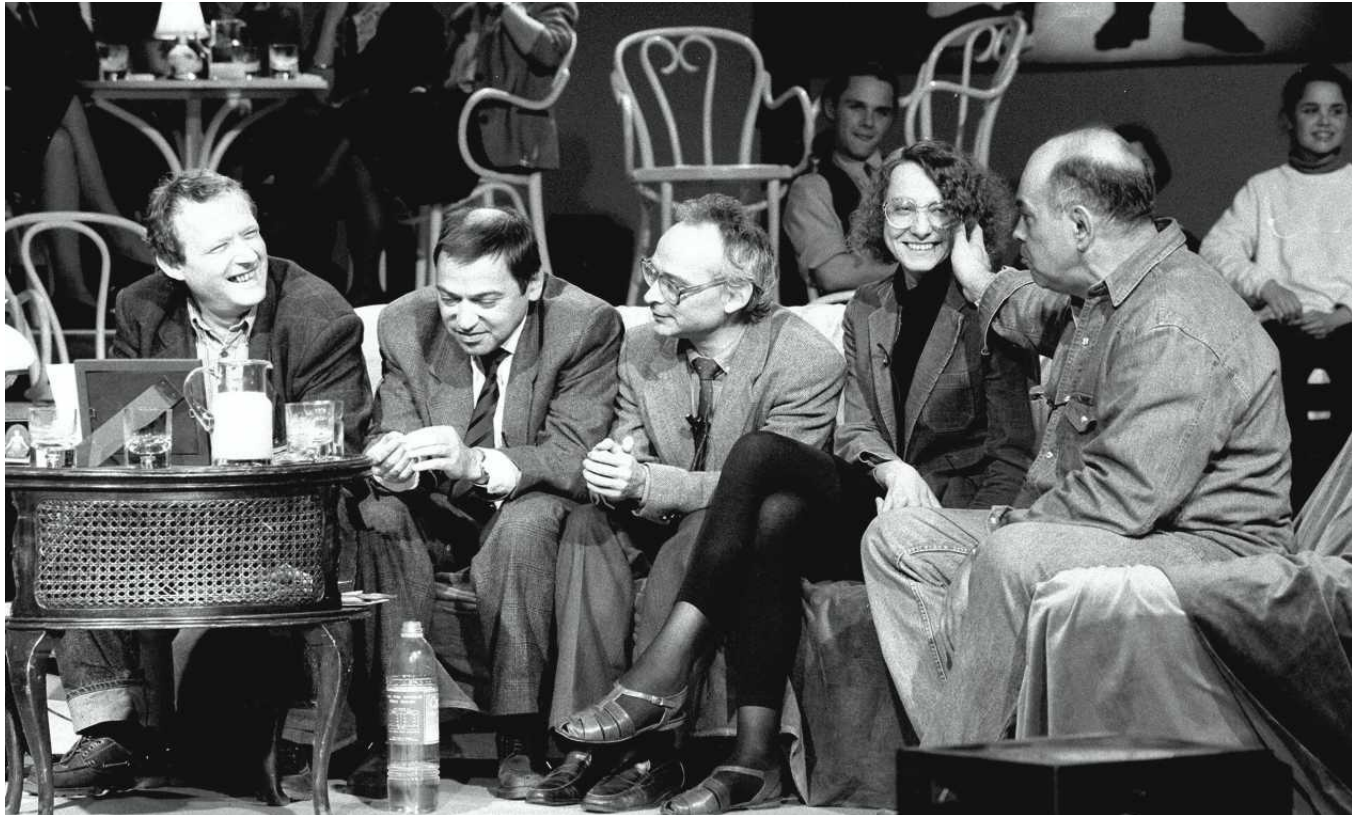
● Henryk Szlajfer, **„Werner Sombart i kapitalizm, czyli Hassliebe”**, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2025



Jan Lityński (1946-2021)

ODWAŻNY jak JANEK

Śledczy, który przesłuchiwał i jego, i mnie, mówi:
„Ten pana przyjaciel wszędzie był, wszędzie się kręcił”



● Od lewej: Adam Michnik, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, Joanna Szczęsna i Jacek Kuroń. Warszawa, marzec 1992 r.

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z SEWERYNEM BLUMSZTAJNEM I ADAMEM MICHNIKIEM ROZMAWIA ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Jan Lityński umarł, ratując psa. Co ta śmierć o nim mówi?

S.B.: Jak trzeba było, to Janek biegł do katastrofy. Nie heroizowałbym jego śmierci, zachował się bardzo dzielnie i przez przypadek zginął. Był nauczony jednego: kiedy dzieje się komuś krzywda, to biegnie się w jego stronę i udziela pomocy.

Przyjaźniliście się?

A.M.: Najbliżej. Ja, Sewek i Janek byliśmy najbliższymi przyjaciółmi. Widzieliśmy się non stop, mieliśmy ze sobą kontakt. A w momentach, kiedy byliśmy zajęci swoimi sprawami, mieliśmy świadomość, że cała trójka na siebie czeka. Między nami nie było ostrych konfliktów, sporów z trzaskającymi drzwiami. Miałem poczucie, że los nas związał i musimy iść tą samą drogą.

Wspieraliście się? Na czym opierała się ta przyjaźń?

S.B.: Nie wiem dokładnie, ale na przykład teraz nie widuję się często z Adamem, a i tak mamy pełne poczucie łączności duchowej.

A.M.: I tak samo było z Jankiem. Po śmierci Mirka Sawickiego [w III RP m.in. ministra edukacji; zmarł w 2016 r.] Janek powiedział do kogoś, że umarł pierwszy z „komandosów”, czyli naszej studenckiej grupy z lat 60., która już wtedy kontestowała na swój sposób system komunistyczny. A Janek jest jednym z ostatnich.

Kiedy się poznaliście? Podobno podszedłeś do Lityńskiego na boisku lekkoatletycznym i zacząłeś z nim po prostu rozmawiać.

A.M.: Myśmy wszyscy poznali się w okolicy pierwszego roku studiów.

S.B.: Janek twierdził, że bywał regularnie w klubie Michnika, czyli na spotkaniach samokształceniowych i klubie dyskusyjnym na Rynku Starego Miasta w Warszawie.

W 1965 r., kiedy po trzech tygodniach na Rakowieckiej wyszedłem z więzienia, zbiegli się do mnie różni przyjaciele i znajomi. Wtedy z Ewą Zarzycką przyszedł Janek. To był człowiek z naszego świata.

Czym był ten świat?

S.B.: Złożony z dość elitarnej młodzieży zainteresowanej polityką, zaangażowanej, po części wywodzącej się z walterowców - harcerstwa prowadzonego przez Jacka Kuronia, z Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności, który działał przez chwilę w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie.

A.M.: Myśmy z Sewkiem mieli szlif Jacka Kuronia, a Janek w 1966 r. również wpadł szybko w jego orbitę.

S.B.: Musisz wiedzieć, że kiedy z Adamem przyszliśmy na Uniwersytet Warszawski w 1964 r., właśnie wtedy zamykano wielki klub dyskusyjny, który z Jackiem prowadził Karol Modzelewski.

Potem nastąpiła historia z „Listem otwartym do partii” Kuronia i Modzelewskiego, w którym wytykali błędy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i za który trafili do więzienia. Przedtem szukali w swoich środowiskach, wśród znajomych i na uniwersytecie, ludzi do lektury tego listu. Powstała sieć kółek samokształceniowych, które czytały postępowe lektury w stylu Oskara Langego, Juliana Hochfelda.

Z jednej strony Jackowi i Karolowi zależało na tym, żeby młodzi ludzie rozumieli, co w tym liście jest. A tak naprawdę budowali środowisko, które by ich popierało. Janek już w tych kółkach był. To środowisko po aresztowaniu Karola i Jacka zorganizowało się wokół ich obrony.

Wykonywaliśmy dość śmieszne gesty: poszliśmy na cmentarz przy okazji rocz-

nicy śmierci ojca Karola Modzelewskiego, skądinąd drugiego powojennego szefa MSZ. Odśpiewaliśmy tam „Międzynarodówkę”. Ale przede wszystkim zbieraliśmy pieniądze dla rodzin Karola i Jacka.

Czy było coś, co was wszystkich łączyło?

A.M.: Przywiązanie do ideałów lewicy, a także do dziedzictwa Października '56, do tradycji rewizjonistycznej. Czyli szacunek dla komunistów, którzy walczyli z nacją, z przekonaniem, że system stalinowski zdegenerował dobry komunizm. Teraz chodziłoby o to - myśleliśmy w połowie lat 60. - żeby powrócić do idei polskiego Października i system humanizować, demokratyzować. Zgadzaaliśmy się z rozpoznaniem Jacka i Karola, że nowymi właścicielami Polski Ludowej stali się biurokraci i aparatokracja.

S.B.: Tego rodzaju myślenie było efektem wpływu, jaki na nasze środowisko wywarł „List otwarty”. Rzeczywiście, byliśmy dziećmi Października. Myśmy czytali prasę październikową. Nie mówiliśmy ani nawet nie myśleliśmy w tamtym okresie o demokracji parlamentarnej, niepodległości Polski, ale wierzyliśmy, że może być lepiej. Wzorem pozostawał dla nas Październik.

A.M.: Jednym ze znaków rozpoznawczych tego środowiska było - wprowadzone w życie przez Jacka - odrzucenie nietolerancji antysemickiej. Jacek wielokrotnie powtarzał, że z każdym można rozmawiać, ale antysemitę trzeba bić w mordę. Janek, co widać w jego wspomnieniach opublikowanych przez Kartę, mając zdystansowany stosunek do własnego pochodzenia żydowskiego, jednocześnie miał świadomość, że ten wyznacznik jest ważny. Zdawał sobie sprawę, że dla antysemitów ludzie z tego kręgu są skażeni żydostwem.

S.B.: Trzeba to powtórzyć: byliśmy dziećmi lewicowej i komunistycznej inteligencji, więc poza naszym myśleniem były marzenia o demokracji. Marzyliśmy o enklawach wolności, osłabieniu cenzury. Za-

czytywaliśmy się książkami o wielkiej czystości, terrorze stalinowskim, o czym pisały wydawnictwa „Kultury” paryskiej. Wymienialiśmy się nimi w kółkach samokształceniowych.

Jaki był stosunek Lityńskiego do komunizmu? Czy nonkonformizm wyniósł z domu? Jego matka, która pracowała w Polskim Radio, była związana z przedwojennymi komunistami.

A.M.: Janek wyniósł z domu stereotyp dobrego komunizmu, który był związany ze sprawiedliwością, wolnością, równością, otwartością na innych, tolerancją, zaangażowaniem. Nie wyniósł na pewno idei, które znalazły się potem w „Liście otwartym”. Ten list był dla naszych rodziców przekroczeniem Rubikonu, dla mamy Janka też. Ona go szanowała i podziwiała za zaangażowanie, inteligencję i odwagę, za dobroć, ale nie była dla niego partnerem do rozmowy o polityce. Tymi partnerami byliśmy my.

W 1967 r. Lityński koordynował akcję zbierania podpisów pod apelem o uwolnienie Adama Michnika z więzienia. Jak po latach myślicie o tym geście?

A.M.: Dla Janka zbieranie tych podpisów było nie aktem odwagi, raczej rutyną. On przez te wszystkie lata był bardzo aktywny, brał udział w spotkaniach dyskusyjnych, piskował. Ale dla kogoś, kto był z dala od nas, „komandosów”, złożenie podpisu pod takim apelem było aktem niebywalej odwagi.

S.B.: Pamiętam, że do tego czasu nasze środowisko się rozwijało. Akcje zbierania podpisów mieliśmy doskonale opanowane. Ale akcja, o którą pytasz, wiązała się z wielką aferą: Adam zorganizował spotkanie z Leszkiem Kołakowskim, który i dla nas, i dla nich - komunistów - był mistrzem.

A.M.: Bezprecedensowa była liczba podpisów - ponad tysiąc. Ktoś nagle zerwał zasłonę i okazało się, że są ludzie, którzy inaczej myślą, mówią i się zachowują.

A potem wybuchła awantura o „Dziady”. Studenci Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie zorganizowali protest przeciwko zdjęciu spektaklu w reżyserii Kazimierza Dejmka. Do marszu, który szedł w stronę pomnika Adama Mickiewicza, przyłączyli się młodzi ludzie.

S.B.: Przy tej okazji pierwszy raz zobaczyłem poparcie społeczne dla naszych działań. Przychodziłem na jakiś nieznaną wydział z listem domagającym się przywrócenia spektaklu, głośno mówiłem na korytarzu, po co tu jestem, i nieznanym ludziom podpisywali się pod naszym apelem. Janek robił to samo.

Lityński pisze we wspomnieniach, że pierwszy raz widział tłum ludzi, który gromadził się przeciwko władzy.

A.M.: Nie chciałem się włączać do tłumy, bo wiedziałem, że milicja na mnie poluje.

S.B.: A ja nie wiedziałem nic o tej manifestacji, ale byłem w pobliżu. Odszedłem z Basią Toruńczyk i Adasiem na bok i spoglądałem na gromadzący się tłum. W pewnym momencie milicja zaczęła tych ludzi zgarniać, zabrali też Janka, który pierwszy raz trafił do aresztu. A my poszliśmy w przeciwnym kierunku, na Żoliborz. Andrzej Seweryn opowiadał, że podeszli do niego funkcjonariusze i zapytali: „Czy pan Seweryn?”. Potwierdził i zwinęli go, choć myśleli, że zatrzymali mnie (śmiech).

Jak wyglądała wasza codzienność?

S.B.: Ciągłe coś się działo. Najpierw był rok 1965, wsadzili nas. W listopadzie mieliśmy wielką dyscyplinarkę, wtedy dołączyli do nas ludzie, którzy zbierali pieniądze dla rodzin Karola i Jacka. Wtedy cały uniwersytet wystąpił w naszej obronie. Na naszych zeznaniach były rady wydziałów, wykładowcy. Adama broniła Janka Zakrzewska, moim obrońcą był Witold Kula. I tak naprawdę ostatni raz nasze wydziały stanęły za na-

mi. Potem nasi nauczyciele uważali, że idziemy za daleko.

A.M.: Janek był w ścisłej szpicy, należał do najodważniejszych i najbardziej aktywnych opozycjonistów.

S.B.: Pod koniec śledztwa marcowego po 1968 r. kapitan Niewiara, który przesłuchiwał i Janka, i mnie, powiedział w pewnym momencie: „Ten pana przyjaciel Lityński jest taki mały, a wszędzie był, wszędzie się kręcił”. I Janek właśnie taki był. Myśmy się ciągle spotykali, wymieniali książkami, dyskutowali. Bez przerwy. Toczyliśmy bardzo aktywne życie intelektualne i towarzyskie.

A.M.: W gruncie rzeczy Janek właściwie był na każdej wznoszącej się fali. Zawsze miał otwartą głowę, był ciekawy świata, idei, miał szeroki krąg kontaktów wśród psychologów.

S.B.: Przyjaźnił się z nimi, bo był pełen niepokojów metafizycznych. Nie uczył się za wiele i męczył się z matematyką, którą postanowił studiować.

A.M.: Miał talent do matematyki, ale nie miał do niej pasji. Pasjonował się polityką, sprawami społecznymi, innymi ludźmi.

S.B.: I chyba zawsze żałował, że nie poszedł na socjologię.

Blumsztajn: *Był szalenie otwarty na przyjemności życia, szalenie towarzyski. Michnik: I uwielbiał spotykać się z ludźmi myślącymi inaczej*

A.M.: W 1968 r. w czasie procesów marcowych Sewek i Janek byli niesamowicie twardzi. Milicjanci próbowali nas łamać na wszelkie możliwe sposoby. Janek wygłosił mowę obrończą, która zrobiła na nas wszystkich niesamowite wrażenie. Wtedy też przed wieloma z nas stanęło pytanie o duchową tożsamość naszego nieformalnego ruchu.

Kiedy wyszedłem z więzienia i dowiedziałem się o emigracji wielu z moich przyjaciół, poczułem się dyskomfortowo. Oczywiście nigdy nikomu nie robiłem wyrzutów, ale bolały mnie te wyjazdy. Szczególnie że te za propagandy marcowej głosiła: Żydzi nie mają nic wspólnego z polskością.

Tuż po wyjściu z więzienia spotkałem najpierw Janka, a potem Sewka. Pytam Janka: „Wyjeżdżasz?”. Janek odpowiedział: „Adam, nam nie wolno”.

Skąd wiedzieliście, że nie można zdradzać niczego przesłuchującym was funkcjonariuszom?

S.B.: Bo siedziałem trzy tygodnie w 1965 r. Najważniejszych rzeczy wtedy nie powiedziałem, choć miałem wiele problemów związanych z ówczesnym przesłuchaniem. Nie powiedziałem, że miałem do czynienia z „Listem otwartym”, nie mówiłem o kółkach samokształceniowych, ale powiedziałem, że miałem broszurę wydrukowaną przez „Kulturę” paryską od Adama. Jak idiota zostałem wrobiony, bo przecież Adaś niczego nie powiedział urzędnikom bezpieczeństwa.

Część wyjechała z Polski, siedzieliście w więzieniach. Co waszą trójkę mobilizowało do działania?

S.B.: Nie pytałem o to Janka, bo zaangażowanie było oczywistością. Po wyjściu w 1969 r. mieliśmy wybraną drogę: byliśmy na marginesie, opluci, wyrzuceni ze studiów, mnie wyrzucili też z mieszkania. Nie liczyliśmy na karierę naukową.

Adam i Janek wybrali klasyczną drogę działaczy podziemia komunistycznego, czyli poszli pracować do fabryk. Myśmy mogli być przyjęci tylko do spółdzielczości lub do fabryk. Mnie się nie chciało chodzić na godzinę 6 rano do pracy, więc znalazłem pra-

cę w spółdzielni misiów pluszowych. Janek i Adam mieli znacznie mocniejsze, rodzinne rysy komunistyczne niż ja.

A.M.: Byliśmy przekonani, że wybór innej drogi - choćby emigracji - to w jakimś sensie legitymizowanie propagandy marcowej.

S.B.: Rozpętaliśmy tę awanturę, iluś ludzi za to zapłaciło wywaleniem ze studiów, więc musieliśmy wziąć choć część odpowiedzialności. Wyjazd byłby przyjęty przez naszych kolegów i przyjaciół jako zdrada. Miałem też poczucie, że tu jest moje miejsce, tu mam po co żyć.

Lityński mówił we wspomnianej przez was mowie obrończej: „Niemal wszyscy z nas są z przekonania socjalistami, marksistami i komunistami, stalinizm zaś jest jednym z najpotworniejszych w historii zaprzeczeń tych wszystkich ideałów, które głosiliśmy zarówno na zebraniach, na spotkaniach prywatnych, w rozmowach, dyskusjach. Jest także zaprzeczeniem idei zawartych w rezolucjach akademickich”.

S.B.: Wszystko prawda, choć po wyjściu z więzienia nie powiedziałbym o sobie, że jestem komunistą. Adam wtedy tak o sobie mówił.

A.M.: Bo byłem mądrzejszy ode mnie. Wtedy podpisałem się pod słowami Janka. Rok 1968 był jednocześnie rokiem rozstania z komunizmem. Definitywnego. Przez wydarzenia w Czechosłowacji, po antysemickiej nagonce, a dodatkowo z Włoskiej Partii Komunistycznej usunięto grupę II Manifesto, która najostrej krytykowała Moskwę.

S.B.: Wywodził się z żydowskich rodzin, a nasi rodzice angażowali się w budowę komunizmu, co było próbą wyjścia z getta, wyzwolenia się z kultury żydowskiej. Oni szli do komunizmu, który był jednym z wielu światów w Polsce, gdzie nikt im tego żydostwa nie wypominał. Dla mnie obrzydliwa kampania z 1968 r., niebywała w historii komunizmu światowego, była złamaniem elementu, który nas łączył z komunizmem.

A.M.: Z kolei Janek patrzył na 1968 r. jako polski, lewicowy inteligent. Uważał, że w jego etosie życiowym nie ma miejsca na antysemityzm. Tak samo uważał Kuroń, z tą różnicą, że Janka jego pochodzenie nie interesowało. Jego mamy Reginy też nie.

W 1976 r. powstaje Komitet Obrony Robotników. Jak Lityński odnajduje się w nowej rzeczywistości?

S.B.: Kiedy powstał KOR, to każdy szukał własnego miejsca. Janek w pierwszym z Joasią Szczęsną i ze mną robił drugoobiegowy „Biuletyn Informacyjny”, ale to go nie satysfakcjonowało, jego nie kręciło robienie gazet. Wdarł się do akcji radomskiej i pokazał, jak ważny był dla niego etos działacza robotniczego. Pomagał prześladowanym przez reżim robotnikom. Potem redagował pismo „Robotnik”.

Narzekał we wspomnieniach, że jeździł, tłumaczył, pisał, a robotnicy nie chcieli budować między sobą wspólnoty strajkowej.

A.M.: Janek nie wmawiał sobie jak doktryner, że wie lepiej. Patrzył, obserwował, a jednocześnie wiedział, że kropla drażni skalę. „Komandosi” byli małą grupą związaną na jednej uczelni, a w marcu 1968 r. okazało się, że zastrajkowały wszystkie wyższe uczelnie w Warszawie! Janek miał poczucie, że żyje w świecie, w którym jest możliwa socjologia niespodzianki. Jego rozczarowanie było też związane z tym, że wielu ludzi o rodowodzie komunistycznym idealizowało klasę robotniczą.

S.B.: Akcja pomocy robotnikom nie tyle była związana z budową ruchu robotniczego, ile głównie z ich obroną. Mieliśmy też poczucie, że bronimy przed robotniczą władzą ludową robotników.

A.M.: Tak samo było w 1968 r., kiedy broniliśmy tradycji narodowej przed tymi, którzy schowali się pod jej sztandarami.

S.B.: Dopiero „Robotnik” to przełamał. W 1979 r. do Janka i Henia Wujca zaczęli się zgłaszać zupełnie inni robotnicy: majstrowie, ludzie z autorytetem, inżynierowie.

Czy w 1976 r. dla Lityńskiego ważne były ideały socjalistyczne?

A.M.: Nielatwo odpowiedzieć. Były nadal ważne, ale wypowiediane w innym języku. Dla mnie to okres, kiedy otwieramy się na inne tradycje: niepodległościową i chrześcijańską. Te dwa nurty, filary nowego otwarcia, integrowały środowiska katolickie, w czym pomogła również książka Bohdana Cywińskiego „Rodowody niepokornych”. Janek doskonale lokował się w tej przestrzeni. Czy zgodzisz się ze mną?

S.B.: Wszyscyśmy wtedy odkrywali świat ludzi innych niż my. Zawiały się przyjaźnie z ludźmi Klubu Inteligencji Katolickiej czy środowiska „Więzi”. Zaczęliśmy czytać inne niż lewicowe lektury. Janek zaczął wtedy - co pisze we wspomnieniach - swoje spotkanie z Bogiem.

Sporo miejsca Lityński poświęca w swoich wspomnieniach Antoniemu Macierewiczowi i sporom między nimi. To było żywe?

A.M.: Tak. Znam dłużej i lepiej Antka, byłem bardziej pod jego wpływem niż Janek, który miał pewną nieufność wobec Macierewicza. Miał lepszą intuicję niż ja. Widziałem to wtedy jako pewien refleks sporu o Jacka Kuronia. Dla Janka i dla mnie Jacek był postacią jednoznacznie pozytywną, choć często się z nim spierał. Natomiast Antek w sposób wyraźny należał do ludzi, którzy przy każdej okazji kontestowali Jacka.

S.B.: Kiedy poznaliśmy Antka, był radykalnym lewicowcem. Adrian Zandberg jest przy nim socjalistycznym zdrajcą. W moim przekonaniu Macierewicz dokonał zakrętu ideologicznego z dwóch powodów: w 1977 r. zrozumiał, że nie przejmie KOR-u i nie zapanuje nad Kuroniem. A po drugie - w pewnym sensie Antek wrócił do korzeni. On wywodził się ze środowiska AK, nie pochodził z lewicowej rodziny, wrócił do języka, który doskonale znał. Dokonał tego zakrętu świadomie i cynicznie. Zdaliśmy sobie z tego sprawę, kiedy po drodze odkrywaliśmy jego liczne kłamstwa i manipulacje.

Czy Sierpień '80 zaskoczył Lityńskiego?

A.M.: Najmniej zaskoczył Kuronia, który czekał na rewolucję. Janek natychmiast włączył się w strajki, odgrywał istotną rolę. Z naszego środowiska obok Jacka nie było nikogo ważniejszego w ruchu solidarnościowym.

S.B.: Janek pojechał w tamtym czasie do Wałbrzycha. Był tam sam, nie miał za sobą środowiska. I został przyjęty i zaakceptowany. Nie miałem takiej odwagi, robiłem więc to samo co przedtem, czyli z Heleną Łuczywo i Joasią Szczęsną założyliśmy Agencję Solidarność.

Wszyscy ludzie z KOR-u, kiedy wybuchł Sierpień, znaleźli się w trudnej i niejednoznacznej sytuacji. Coś w przeszłości zrobiliśmy, mieliśmy wyrobione nazwiska, czytaliśmy i kolportowaliśmy bibulę oraz wiedzieliśmy, w jaki sposób się samoorganizować. Staliśmy się więc konkurentami dla rodzającego się ruchu i ich przywódców. W dodatku nie mogliśmy się zapisać do „Solidarności”, bo nie pracowaliśmy. Adam nigdy nie wstąpił do „S”.

W tamtym czasie komuniści ruszyli z propagandą o złym KOR-ze i dobrej „Solidarności”. Już w czasie strajku wybuchła wielka awantura, czy robotnicy powinni walczyć o wypuszczenie nas z więzienia, bo pamiętaj, że wsadzili nas wtedy przewencyjnie. Nasi przyjaciele, tacy jak Tadeusz Mazowiecki czy Bronisław Geremek, byli przeciw.

W końcu o nas zawalczone, wypuścili nas z więzienia, ale kiedy wróciliśmy do Warszawy po strajku, okazało się, że z legendy o „Solidarności” wygumkowano KOR. Ważniejsi byli doradcy Lecha Wałęsy niż nasze środowisko.

Jaka była filozofia życiowa Lityńskiego?

A.M.: Dość typowa dla tego wąskiego kręgu ludzi, którzy mieli za sobą edukację lewicową i którzy z czasem uczestniczyli w akcjach opozycyjnych zakończonych „Solidarnością” oraz Okrągłym Stołem i drogą do wolności. Nie chcę powiedzieć, że ci ludzie byli decydujący, ale mieli w tym procesie swój niewątpliwý udział. A udział Janka był zasadniczy.

Lityński uważał, że przez całe życie należy być aktywnym i zaangażowanym, być po stronie tych, którzy potrzebują pomocy i wsparcia. Dla Janka nie było istotne, czy pokrzywdzeni są stygmatyzowani z powodów społecznych, etnicznych, obyczajowych. Uważał, że trzeba stawać w ich obronie. Ten odruch był u Janka spontaniczny. W tej materii się nie zmieniał.

W jakiej się zmieniał?

A.M.: W materii politycznej. Oprócz tego był ciekawy życia, świata, otwarty na innych, a jednocześnie dobrze wiedział, po której stronie należy się opowiedzieć. Z tego punktu widzenia niezwykle ciekawe są jego religijne poszukiwania, o których dowiedziałem się dopiero teraz, czytając jego książkę wydaną przez Kartę. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Opowiadał o swoim chrzcie?

S.B.: Nigdy. Nie miałem odwagi z nim o tym rozmawiać. Wiedziałem, że się ochrzcił.

A.M.: A ja nie.

S.B.: Ale dopiero teraz przeczytałem, dlaczego Janek zdecydował się na chrzest. Po Janku nie było widać żadnych objawów religijności w życiu codziennym. Ale chciałbym dodać coś jeszcze: Janek interesował się jazzem, kobietami, dbał o swój wygląd zewnętrzny. Grażyna Weiss ubierała go, kiedy przebywał w podziemiu. Kupiła mu ubranie, które sugerowało, że jest urzędnikiem, kupiła mu w Domach Towarowych „Centrum” garniturek. Janek obejrzał ubranie, po czym je wyrzucił i włożył kolorowe ciuchy z paczek z Zachodu. Janek zbierał obrazy, kochał gotować. Był szalenie otwarty na przyjemności życia, szalenie towarzyski.

A.M.: Uwielbiał spotykać się z ludźmi inaczej myślącymi. Miał dużo większą otwartość na ludzi niż ja.

A dlaczego Lityński publicznie poparł w 2005 r. Lecha Kaczyńskiego? Wtedy na urząd prezydenta startował również Donald Tusk.

S.B.: Ponieważ uważał, że Tusk ukradł jemu i jego kolegom partię, Unię Wolności. Po Warszawie krążyły legendy, że Tusk, odchodząc z UW, zostawił tę partię bez faksu. Nawet Mazowiecki nie głosiwał na Tuska. A Lecha zwyczajnie lubili, był znacznie bardziej zakorzeniony w środowisku opozycyjnym niż Jarosław. Potem stosunek do Tuska się zmienił, bo zmieniły się czasy.

Lityński mocno popierał powstanie IPN-u. Żałował tej decyzji?

S.B.: Nie, podchodził do tej sprawy pragmatycznie. Uważał, że nie da się uniknąć pewnego rodzaju rozliczeń, i po latach przyznaje mu rację. Choć od początku sądziłem, że z otwarcia archiwów bezpieki nic dobrego nie wyniknie. Janek nie miał takiej wyobraźni, ale był nie lustratorem, tylko orędownikiem zalegalizowanej, a nie dzięki lustracji. Nie można było od niej uciec, ale lustracja zniszczyła kompletnie pamięć o „Solidarności”.

A.M.: Janek był człowiekiem państwa, które postrzegał tak samo jak Jacek Kuroń. Z ducha był buntownikiem, człowiekiem protestu i niezgody, ale jako minister budował państwo. Janek szedł dokładnie tą samą ścieżką życiową.

To jakie jest dziedzictwo Jana Lityńskiego?

A.M.: Na mnie duże wrażenie zrobił esej o PSL-u, który Janek napisał w więzieniu. Wyszedł poza własną bańkę i tożsamość, szukał gdzie indziej odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób ułożyć Polskę. Mikołajczyk nie należał do naszego świata, a mimo to Janek postanowił przyrzec mu się z bliska. I zrobił to jako pierwszy z nas.

S.B.: Jednak najbardziej znanym publicznym aktem Janka było napisanie pisma do robotników Europy Wschodniej w czasie zjazdu „Solidarności” w 1981 r. [przyjętego przez zjazd]. I to przesłanie weszło do historii.

A.M.: Janek był pięknym człowiekiem. I odważnym przyjacielem. ●

Przepytać Morawieckiego z lektur, o które teraz walczy

W niektórych europejskich szkołach uczniowie sami tworzą kanon lektur. Co tracą i co zyskują?



Michał Rusinek

Nie potrafimy nie narzekać. Owszem, rzeczywistość dostarcza nam aż nadto powodów, ale jeśli akurat ich nie dostrzegamy – zawsze w zanadru mamy tematy dyżurne. Wśród nich na jednym z pierwszych miejsc jest szkoła, a w szkole na jednym z pierwszych miejsc – lektury obowiązkowe.

Po pierwsze, niby narzekamy, że kanon lektur wymaga zmian, ale kiedy jakieś ministerstwo próbuje go modyfikować, nawet delikatnie, zaraz już nie tylko narzekania słychać, ale wręcz larum grają – że nawiążę do książki, która wciąż na liście lektur się znajduje. To trochę tak, jak z prowizorką: wiemy, że nie działa tak, jak należy, ale boimy się, gdy ktoś przy niej zaczyna majstrować, bo może w ogóle przestać działać.

Po drugie, paradoks kanonu – jak pisał Jacques Derrida – polega na tym, że książek w nim zawartych się właściwie nie czyta, to znaczy nie czyta krytycznie, tylko czyta po to, żeby udowodnić, że np. Słowacki wielkim poetą był (znowu aluzja do lektury).

Po trzecie, kanon – jak pisał Michał Paweł Markowski, krytyk literacki i wykładowca – jest narzędziem kulturowej manipulacji: kanon jest zawsze polityczny, a dokładniej rzecz biorąc: majstrowanie przy kanonie, nawet w dobrej, niepolitycznej wierze, zawsze wywołuje oskarżenie o upolitycznienie szkoły.

Nawet wtedy, jeśli jakiś pomysł na zmianę w nim nie jest pomysłem ministerstwa edukacji, ale – jak to było ostatnio – postulatem zespołu ekspertów, by wykreślić z listy lektur duże pozycje książkowe i zastąpić je kategoriami tematycznymi, jak dom, rodzina czy emocje. Oraz pozostawić większą wolność w doborze czytanych i omawianych tekstów nauczycielom i nauczycielkom.

Zrozumiałbym jeszcze, gdyby kategoria wolności wyboru wywoływała niepokój ze strony polityków prawicy. Zrozumiałbym, gdyby przykuli się do bramy ministerstwa w obronie „Quo vadis”, bo nieznamość tej powieści może w ich mniemaniu grozić gwałtowną sekularyzacją młodzieży. Zrozumiałbym święte – nomen omen – oburzenie, że wyrzuca się z listy lektur twórczość Karola Wojtyły. Ale oburzenie na nie tylko niewinne, ale jakby wprost wyjęte z prawicowego słownika kategorie – dom czy rodzina – jest nieco zaskakujące. Emocje też nie powinny u nich wzbudzać emocji. Co innego np. racjonalność. Ona jest zawsze podejrzana.

Politycy prawicy nie powinni się martwić odchudzaniem kanonu

Były minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak napisał na platformie X, że „jeśli potwierdzi się, że minister No-

wacka chce zlikwidować listę obowiązkowych lektur do VI klasy, a potem zostawić jedynie kilka tytułów, to będzie to krok w stronę społeczeństwa, które czyta coraz mniej, rozumie coraz mniej i daje się prowadzić byle sloganom”.

Zauważmy, że nie pisze on o zmniejszeniu liczby tytułów na liście lektur, tylko o „likwidacji” tej listy, a potem „zostawieniu” kilku tytułów, co nie jest do końca logiczne. Ukryte w tej wypowiedzi założenie, że zwiększenie liczby lektur obowiązkowych wpłynie na zwiększenie poziomu czytelnictwa, a co za tym idzie także na czytanie ze zrozumieniem, wydaje się założeniem dość utopijnym.

Owszem, powinno nam zależeć na wyrabianiu w młodych ludziach umiejętności samodzielnego, krytycznego myślenia. Przypominam jednak panu Błaszczakowi, że w 2016 roku jeden z architektów „dobrej zmiany” w edukacji prof. Andrzej Waśko pisał, że czytanie krytyczne źle wpływa na społeczeństwo i postulował, by lista lektur dla wszystkich była wspólna, bo jak każdy czyta co innego, to potem „odwołuje się do czegoś innego i tak być nie może”.

„Polacy o wykształceniu podstawowym i zawodowym – pisał dalej Waśko – okazali się silniejszym elementem społecznym niż cała wielka rzesza magistrów”, bo nie mieli okazji zetknąć się na przykład z lewacką ideologią. Im mniej ktoś czyta, im mniej próbuje myśleć krytycznie, tym łatwiej się nim rządzi. W sumie więc kto jak kto, ale politycy prawicy nie powinni się martwić odchudzaniem listy lektur. I jeśli Błaszczak pisze – dość mętnie – że „czytanie to nie tylko litery na papierze – to wyobrażenia, empatia, umiejętność myślenia i rozumienia świata” – to zalatuje to albo hipokryzją, albo działaniem na szkodę własnej formacji politycznej.

Morawiecki o zmianach w kanonie: „Brutalne uderzenie w polską szkołę”

Na temat proponowanych przez ekspertów zmian na liście lektur głos zabral także na platformie X – i to dwukrotnie – były premier Mateusz Morawiecki. Za pierwszym razem stwierdził, że „wiele można wybaczyć lekkomyślnym politykom, ale tego systemowego odmóżdżania, które chce zafundować młodym Polakom Barbara Nowacka, wybaczyć nie można”. Ktoś zaraz skomentował w duchu Waśki, acz ironicznie: „Niech odmóżdżają, co się pan tak martwi. Zwiększy wam się ilość wyborców za parę lat”.

Za drugim razem Morawiecki umieścił już długi post. Pisze w nim o „brutalnym uderzeniu w polską szkołę i młode pokolenie” oraz „sabotażu”. Nie ma tam już na wszelki wypadek mowy o „systemowym odmóżdżaniu”, jest za to „systemowe rozleniwienie”, „odcięcie od kulturowych korzeni” i „przerobienie szkoły na bezkształtną instytucję, która nie stawia wymagań i nie wychowuje obywateli”.

Szkoła, jak pisze nieco tautologicznie Morawiecki, ma sprawić, że młodzi ludzie będą „rozumieć znaczenie i głęboki sens wielkich dzieł naszej kultury”. Po czym uderza w nuty patetyczne: „Bo naród, który nie zna własnej kultury i nie rozumie języka swoich wielkich twórców i przodków, jest narodem, który sam siebie wypisuje z historii”. Ow-

szem, Morawiecki zauważa również, że czytanie książek wyrabia samodzielne myślenie i daje szansę na zrozumienie świata oraz własnej tożsamości, ale o krytycznym myśleniu już na wszelki wypadek nie wspomina. Swoją drogą, chętnie bym przepytał panów Błaszczaka i Morawieckiego ze znajomości szkolnych lektur, o które teraz walczą. Oraz ze zrozumienia języka „Mickiewicza i Sienkiewicza”, którym się – jako żywo – nie posługują.

Edukacja literacka w polskiej szkole przypomina paragraf 22

Problem w tym, że edukacja polonistyczna w szkole ma dwa cele, które trudno ze sobą połączyć. Z jednej strony, ma za zadanie zapoznać uczniów i uczennice z tym, co w historii literatury najwartościowsze. Z drugiej – chce nauczyć ich czytać, a przynajmniej zachęcić do czytania. A co za tym idzie, do rozumienia i do myślenia.

Wiadomo jednak, że zachęcanie tym, co obowiązkowe, czyli przymusowe, jest kontrproduktywne. Jeśli chodzimy do szkoły, która zmusza nas do czytania konkretnych tekstów, to czynność czytania będzie się nam potem kojarzyła z przymusem, a koniec szkoły – z ulgą, że już czytać się nie musi. Innymi słowy, jeśli chcemy, by młodzi ludzie poznali „kulturowe korzenie”, czyli literacką tradycję i na niej budowali własną tożsamość, istnieją dwie obawy: że zniechęcą się do czytania, jeśli teksty literackie zostaną im odgórnie narzucone i że zbudują swoją tożsamość na fundamencie drastycznie odbiegającym od rzeczywistości, np. XIX-wiecznym patriotyzmie, pozostającym w konflikcie z ideami współczesności.

Jeśli zaś wprowadzimy pełną dowolność i – jak w niektórych szkołach europejskich – kanon lektur będą tworzyć sami uczniowie i uczennice, wówczas istnieje obawa, że nazwiska najważniejszych twórców i twórczyni literatury polskiej i światowej pozostaną dla nich niezbrane. Ale także istnieje spore prawdopodobieństwo, że wówczas młodzi ludzie do czytania się nie zrażą.

Wydaje się, że pomysł ekspertów polegał na tym, żeby ten dyktando zlikwidować, a przynajmniej ograniczyć jego skutki negatywne. Żeby wskazać wartości, które są dla nas istotne i dać swobodę nauczycielom i nauczycielkom w doborze lektur, po konsultacji z uczniami i uczennicami.

Dyskusja mogłaby dotyczyć tego, dlaczego akurat zostały wybrane takie wartości jak dom, rodzina i emocje, a nie jakieś inne – czyli co jest nadrzędnym celem szkoły. Zamiast frazesów o „krytycznym myśleniu” warto by się zastanowić, w jaki sposób rozsądnie dobierana literatura i rozmowa o niej może tworzyć warunki do samopoznania.

Taka edukacja nie będzie „bezkształtna”, jak rozpaczał Morawiecki, ale będzie wielokształtna i bardziej elastyczna ze względu na potrzeby poznawcze i wrażliwość estetyczną młodych ludzi. Dzięki temu sytuacja z edukacją literacką w polskiej szkole ma szansę przestać przypominać paragraf 22 – że posłużę się aluzją do tytułu pewnej książki, której nigdy nie było w polskim kanonie lektur szkolnych, a którą teraz młodzi ludzie będą mieli szansę przeczytać w szkole. Polecam, bo warto. ●



• Dymitr Szostakowicz (1906-1975), rosyjski kompozytor i pianista na zdjęciu z 1954 roku FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

50 lat temu zmarł Dymitr Szostakowicz

Geniusz

W ŁAGRZE

XX WIEKU

Jeżeli próbuje się go podsumować w jednym zdaniu, to mówi się, że był autorem 15 symfonii i 15 kwartetów. I tu, i tu potrafił zawrzeć cały świat, od słonecznej pogody aż do ostatecznej rozpacz.

Michał Cichy

Był rok 1937. Wielka czystka Stalina, która skrwawiła cały Związek Radziecki, ale w której Leningrad ucierpiał szczególnie. Dymitr Szostakowicz spodziewał się, że po niego przyjdą. Spał w ubraniu, na podłodze przy drzwiach wejściowych, obok walizeczki, do której spakował białiznę, papierosy kazełki i proszek do zębów. Nie chciał, żeby enkawudziści wyrwali ze snu jego żonę Ninę i roczną córeczkę Gałę.

Ta wielka trwoga zaczęła się od tego, że 26 stycznia 1936 roku na przedstawienie opery Szostakowicza „Lady Makbet mceńskiego powiatu” op. 29 w moskiewskim Teatrze Bolszoi przyszedł Stalin ze swoimi przybocznymi: Molotowem, Mikojanem i Żdanowem. Operę na podstawie opowiadania Nikołaja Leskowa z 1865 roku Szostakowicz zaczął pisać w roku 1930 jako 24-latek, skończył w roku 1932. Została wystawiona w styczniu 1934 i nie schodziła z afisza w Leningradzie i Moskwie. Była też grana w Europie, USA, a nawet w Buenos Aires.

Opowiada historię znudzonej życiem młodej kobiety Katarzyny Izmałowej, która zdradza męża, wiejskiego kupca, z robotnikiem rolnym Siergiejem, a następnie morduje teścia i męża. Bierze sobie Siergieja za męża, jednak zbrodnia zostaje wykryta. Oboje zostają zesłani na Sybir, ale w kolumnie maszerujących więźniów Siergiej znajduje sobie nowy obiekt uczuć – katorżniczkę Sonię. Katarzyna topi w jeziorze swoją rywalkę i siebie.

Marszałek Michaił Tuchaczewski, który interesował się muzyką, a nawet potrafił samemu robić skrzypce, i który zaprzyjaźnił się z 19-letnim Szostakowiczem jeszcze w 1925 roku i dofinansowywał go z kasy leningradzkiego okręgu wojskowego, powiedział po premierze „Lady Makbet”: „Ta muzyczna tragedia stanie się pierwszą klasyczną operą radzieką”.

Moim ulubionym fragmentem jest liryczna aria Katarzyny z pierwszego aktu: „Żrebak spieszy do kobyłki, kotek szuka koczki, a gołąb gołąbeczki. I tylko do mnie nikt nie przychodzi”. Galina Wiszniewska, żona wirtuoza wiolonczeli i dysydenta Mścislawa Rostropowicza, zaśpiewała ją w niezrównany sposób na nagraniu dyrygowanym przez jej męża w 1979 roku. Szostakowicz rozpiął tę arię na kwartet smyczkowy. Nosi tytuł „Elegia”. To jedna z najpiękniejszych melodii napisanych w XX wieku. W epoce streamingów każdy jest od niej odległy o ledwie kilka kliknięć.

Wspaniała jest też posępna aria basu z chórem, „Wiorsty jedna za drugą”, na początku czwartego aktu, którego akcja dzieje się w katorżniczym marszu. I dwie arie Katarzyny: „Sierioża, ukochany mój” i „W głębi lasu jest jezioro”.

Ale Stalin czwartego aktu już nie wysłuchał. Wyszedł wcześniej. Podobno powiedział: „To chaos, a nie muzyka”.

Muzyka „Lady Makbet” oscyluje między komizmem a tragedią – a to połączenie będzie odtąd leitmotiwem stylu Szostakowicza. Żwawa i rytmiczna scena seksu Katarzyny i Siergieja jest niezwykle obrazowa, kończy się opadającym glissando puzonów. Trudno wyobrazić sobie bardziej realistyczny obraz momentu post coitum.

I zdaje się, że to najbardziej uraziło Stalina. Stalin, jak większość tyranów, był purytański.

CHAOS ZAMIAST MUZYKI

Dwa dni później Szostakowicz pojechał do Archangielska na północy, blisko koła podbiegunowego. Miał tam zagrać swój I Koncert Fortepianowy c-moll op. 35 (1933) i sonatę na wiolonczelę i fortepian d-moll op. 40 (1934). Co do zasady, od której jest oczywiście wiele wyjątków, najlepszy mo-

im zdaniem okres Szostakowicza to opusy 40-110, czyli lata 1934-1960. Większość tego okresu przypada na rządy Stalina.

Tu czas na osobiste wyznanie. O Szostakowiczu piszę nie dlatego, że miał tragiczne życie jak wielu twórców mających pecha żyć w Związku Radzieckim, tylko dlatego, że uważam go za największego kompozytora XX wieku i jednego z kilku największych w całej historii muzyki, na miarę Bacha, Mozarta i Beethovena. Celem mojego eseju jest zachęcenie do słuchania.

Koncert fortepianowy kończy w życiu Szostakowicza okres młodzieńczych eksperymentów. To nie duża i poważna forma w stylu Beethovena, Chopina czy Brahmsa, tylko 20-minutowa wirtuozerska bagatelka z nastrojową częścią wolną. Najbardziej lubię nagranie z 1945 roku amerykańskiego pianisty Williama Kapella.

Z kolei sonata wiolonczelowa zaczyna w życiu Szostakowicza skręt w stronę tradycji. Liryczna, melodyjna, konserwatywna w wyrazie. Najbardziej lubię nagranie Daniila Szafrana z roku 1946 z samym Szostakowiczem przy fortepianie.

Jest czymś tragiczno-groteskowym, czyli bardzo w duchu Dymitra Szostakowicza, że stworzenie swojego największego arcydzieła zawdzięcza zarówno Beethovenowi, jak i Stalinowi

Tamtego styczniowego dnia w Archangielsku było minus 30. Na dworcu Szostakowicz kupił „Prawdę”, oficjalny organ partii. „Rozłożyłem gazetę, przejrzałem ją i znalazłem artykuł »Chaos zamiast muzyki« – opowiadał pod koniec życia Solomonowi Wołkowowi. – (...) Ten artykuł na trzeciej stronie »Prawdy« zmienił całe moje życie. Wydrukowany został bez podpisu, jako artykuł redakcyjny. Znaczyło to, że wyrażał opinię partii. W rzeczywistości wyrażał opinię Stalina, a to było znacznie ważniejsze”.

„Słuchacza od pierwszej chwili zalewa powódź celowo dysonansowych, pogmatwanych dźwięków – czytamy w artykule. – Strzępy melodii i zarodki fraz muzycznych wynurzają się z tego jedynie po to, by czym prędzej utonąć w ogólnym hałasie, zgrzytaniu i wyciu. Trudno śledzić tę »muzykę«, niemożliwe jest zapamiętanie jej. (...) Ta muzyka naumyślnie została stworzona na opak, aby w niczym nie przypominać klasycznej opery ani symfonicznego brzmienia z ich powszechnie zrozumiałą prostotą. (...) Jest to lewacki chaos zamiast prawdziwej, ludzkiej muzyki. (...) Ta zabawa może się jednak źle skończyć. (...) Muzyka kwacze, wzdycha i sapie, aby każdej nadarzającej się okazji malować naturalistyczne sceny miłosne; a »miłość« ta rozsmarowana jest w operze w sposób wyjątkowo wulgarny”.

„Operę zdjęto ze sceny – opowiadał Szostakowicz Wołkowowi. – Organizowano zebrania, żeby wszystkim wbić »chaos« do głowy. Wszyscy się ode mnie odwrócili. W artykule był pewien zwrot, mówiący, że to wszystko »może się źle skończyć«. Wszyscy czekali na ten zły koniec. Ciągnęło się to jak w złym śnie. Jeden z moich przyjaciół, którego Stalin znał, pomyślał, że mógłby mi może trochę pomóc i napisał do Stalina rozpaczliwy list. W liście tym twierdził, że Szostakowicz nie jest jeszcze całkiem stracony, że

oprócz tej zwichniętej moralnie opery »Lady Makbet mceńskiego powiatu«, którą absolutnie słusznie skrytykował nasz wspaniały organ »Prawda«, Szostakowicz pisał też utwory muzyczne głoszące chwałę naszej socjalistycznej ojczyzny.

Stalin obejrzał balet z moją muzyką »Jasny Strumień« [op. 39 (1934-35); jest to utwór o wiele przystępniejszy od „Lady Makbet”, a jego akcja dzieje się w kołchozie, ale i to nie pomogło]. (...) Nie minęło nawet dziesięć dni od pierwszego artykułu w »Prawdzie«, a pojawił się następny [”Baletowy fałsz”]. (...) Dwa ataki redakcyjne w »Prawdzie« w ciągu dziesięciu dni to było za wiele na jednego człowieka. Teraz wszyscy już wiedzieli, że ze mną koniec. (...)

Od tej chwili przyłgnęło do mnie imię »wroga ludu«, a nie muszę tłumaczyć, co ono wówczas oznaczało. Wszyscy to jeszcze pamiętają. Nazywano mnie wrogiem ludu po cichu i głośno, z mównicy. Pewna gazeta zamieściła następujące ogłoszenie o moim koncercie: »Dziś odbędzie się koncert wroga ludu Szostakowicza«”.

W marcu 1936 roku Maksym Gorki, nadworny pisarz Stalina, odważył się na napisanie do wodza listu w obronie Szostakowicza. „»Chaos«. Czyżby? W czym i jak przejawia się ten »chaos«? To musieliby stwierdzić krytycy muzyczni w oparciu o techniczną analizę muzyki Szostakowicza. To zaś, co napisano w »Prawdzie«, jest tylko glectem dla hordy partaczy bez talentu, ogłoszeniem nagonki na Szostakowicza. (...) Jest to najbardziej utalentowany ze wszystkich żyjących muzyków radzieckich”. Gorki nie doczekał się odpowiedzi. Trzy miesiące później zmarł, prawdopodobnie otruty na polecenie Stalina.

Do Stalina napisał też przyjaciel i patron Szostakowicza marszałek Tuchaczewski. I jemu odpowiedziało milczenie.

W sierpniu 1936 roku odbył się pierwszy z wielkich moskiewskich procesów pokazowych. Oskarżono i stracono zasłużonych bolszewików Lwa Kamieniewa i Grigorija Zinowiewa. W styczniu 1937 roku odbył się II proces moskiewski, w marcu 1938 – trzeci, po którym stracono między innymi Nikołaja Bucharina i byłego szefa NKWD Gienricha Jagodę. W międzyczasie krwią spłynął cały kraj.

SKOJARZENIA I SYNESTEZJE

Muzyka to przedziwne zjawisko. Jest nauką ścisłą, ma związki z matematyką. Jednocześnie ma moc budzenia emocji jak żadna inna ze sztuk. Towarzyszy śpiewom, miłości, tańcom i weselom, ale też wojnie, śmierci i pogrzebom. Wszystko to jest u Szostakowicza.

Pisanie o muzyce jest próbą złapania węgorza gołymi rękami. Muzyka zawsze się wyslizguje. Co do mnie, mam pewien szczególnie rodzaj synestezji. Kiedy słyszę muzykę, w umyśle wyświetlają mi się filmy. Tak było przy moim pierwszym zetknięciu się z Szostakowiczem, prawie 30 lat temu.

W księgarni Odeon na Hożej wyjąłem z regału płytę z Kwintetem fortepianowym g-moll op. 57 (1940) w nagraniu Beaux Arts Trio oraz Eugene’a Druckera i Lawrence’a Duttona, członków amerykańskiego Emerson String Quartet. Włożyłem płytę do odtwarzacza i założyłem słuchawki. Zacząłem od części drugiej, wolnej (adagio). Tak wybrałem, bo to była fuga, a ja wtedy dużo słuchałem baroku.

Fuga to oparta na powtórzeniu barokowa forma polifoniczna, w której melodia pojawia się w pewnych odstępach czasowych w kolejnych głosach, tworząc stopniowo coraz gęstszą fakturę. Mistrzem tej techniki był Jan Sebastian Bach, a jego wpływ był tak przemożny, że fugi późniejszych mistrzów – Haydna i Mozarta – brzmiały bardzo po bachowsku.

Jednak ta fuga Szostakowicza nie przypominała w ogóle Bacha. Rozwijala się powoli. Nie miała w sobie nic z matematycznej abstrakcji. Była zdumiewająco emocjonalna. Była lamentem. Fortepian wchodzi jako ostatni z pięciu instrumentów, dopiero w 38. takcie, w najniższym rejestrze.

W głowie natychmiast wyświetlił mi się film. Zobaczyłem więźnia, który wychodzi z łagru i na zimnie, zgrabiłymi palcami, niezdarnie i powoli wystukuje na klawiszach basową i nieskończenie smutną melodię.

I wtedy stało się coś, co zdarzyło mi się przy słuchaniu muzyki tylko raz w życiu. Z oczu poleciały mi łzy. Nie mogłem tego opanować. Ukucnąłem na podłodze i zasloniłem twarz dłońmi, żeby nikt nie zobaczył, jak płaczę.

Muzyka jest najbardziej emocjonalną ze sztuk, ale u każdego budzi inne emocje. Każdy może mieć zupełnie inne asocjacje. To, co mnie skojarzyło się z Gulagiem, przyniosło Szostakowiczowi – o, paradoksie! – Nagrodę Stalinowską i 100 tys. rubli, które kompozytor rozdał znajomym w potrzebie.

Muzyka jest pełna znaczeń, ale te znaczenia są nieuchwytnie. Pisarz Ilia Erenburg powiedział o Szostakowiczu: „Muzyka ma olbrzymią przewagę nad innymi gałęziami sztuki: można, o niczym nie wspominając, powiedzieć wszystko”.

CZWARTA: ŻYWIOŁ NIESPODZIANKI

Potępiony przez partię Szostakowicz był akurat w trakcie pracy nad IV Symfonią c-moll op. 43. Jest to ogromne, ponadgodzinne dzieło. Szostakowicz był mistrzem instrumentacji. Wykorzystywał do cna możliwości orkiestry symfonicznej – i to takiej rozbudowanej, mahlerowskiej, z ksylofonem, dzwonkami (czyli tym, co zwykle nazywamy cymbalkami), czelestą i całą masą rozmaitej perkusji. To perkusjonalia kończą drugą, wolną część IV Symfonii i finał ostatniej, przedśmiertnej XV Symfonii A-dur op. 141 (1971).

Szostakowicz uwielbiał Mahlera. Zapytany, która z jego symfonii jest jego ulubioną, wymienił wszystkie. I wyraźnie to słyszał u niego. W jego języku symfonicznym wyróżnia się ogromna rola instrumentów dętych blaszanych, które



➤ często niosą melodię, zamiast być tylko jednym z kolorów w harmonicznym tle.

Muzyka – każda muzyka – jest grą pomiędzy powtórzeniem a zmianą. Pomiedzy порядkiem a niespodzianką. Powtórzenie (np. w muzyce techno albo dance) daje trans, ale w większej dawce nudzi, z kolei sama niespodzianka wywołuje wrażenie chaosu. To równowaga pomiędzy powtórzeniem a zmianą daje wrażenie różnorodności i bogactwa.

W Czwartej jest dużo niespodzianki. Mnóstwo inwencji. „Szostakowicz lubi pracować z pewnymi melodycznymi czy tematycznymi archetypami – pisze o IV Symfonii David Hurwitz – i to zwalnia go z potrzeby powtarzania melodii dosłownie albo nawet w ogóle”. Było to bardzo dalekie od oficjalnej doktryny realizmu socjalistycznego. W finale z najgłośniejszych możliwych dźwięków, forte fortissimo, robi się pianissimo, i na tle jednostajnego akordu C-dur jeden z najdelikatniejszych instrumentów w orkiestrze, czelesta, wygrywa w najwolniejszym możliwym tempie swój powtarzający się dziesięć razy pożegnalny motyw.

Jesienią 1936 roku Czwarta była w trakcie prób orkiestrowych, ale dyrektor Filharmonii Leningradzkiej Issaj Riezin zmusił Szostakowicza do jej wycofania. Była zbyt niebezpieczna. I poszła do szuflady na ćwierć wieku. Została wykonana dopiero w 1961 roku. Kompozytor powiedział wtedy swojemu przyjacielowi Izaakowi Glikmanowi: „Wydaje mi się, że Czwarta jest pod wieloma względami ciekawsza od moich późniejszych symfonii”. „Pytasz, czy byłbym inny bez »przewodnictwa partii«? – mówił pod koniec życia swojej przyjaciółce Florze Litwinowej. – Tak, prawie na pewno. Bez wątpienia linia, którą szedłem, pisząc IV Symfonię, byłaby silniejsza i ostrzejsza w moim dziele. Pokazałbym więcej błyskotliwości, użyłbym więcej sarkazmu, mógłbym odsłonić moje idee otwarcie, zamiast uciekać się do kamuflażu. Napisałbym więcej muzyki czystej”.

ZAKREWSKI, CZYLI ŚMIERĆ

Nastal straszny rok 1937, rok wielkiej czystki.

Któregoś dnia Szostakowicz został wezwany do siedziby leningradzkiego NKWD, do tak zwanego Wielkiego Domu przy Prospekcie Litiejnym. Historię tę sfabularyzował w swojej powieści o Szostakowiczu „Zgiełk czasu” brytyjski pisarz Julian Barnes. „Władza postanowiła pomówić z nim twarzą w twarz. Władza nosiła nazwisko Zakrewski. (...) Został umówiony na sobotę rano. (...) Zakrewski spytał o jego twórczość, o to, jak idzie praca, co zamierza teraz skomponować. (...)

– Rozumiem, że jesteście znajomym marszałka Tuchaczewskiego?

– Tak, znam go. (...)

– A o czym rozmawialiście?

– O muzyce.

– I o polityce?

– Nie. (...)

– Myślę, że powinniście spróbować sobie przypomnieć. Niemożliwe, żebyście, bywając regularnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat w domu marszałka Tuchaczewskiego jako jego, jak sami to ujęliście, »dobry przyjaciel«, nigdy nie rozmawiali o polityce. Na przykład o spisku na życie towarzysza Stalina. Co o nim słyszeliście?

W którym to momencie [Szostakowicz] zdał sobie sprawę, że już jest martwy. (...)

– Dziś jest sobota. W tej chwili jest godzina dwunasta i możecie iść. Ale dam wam tylko czterdzieści osiem godzin. Do dwunastej w poniedziałek z całą pewnością wszystko sobie przypomnieć. (...)

W tamten poniedziałkowy poranek (...) przedstawił się strażnikowi na wartowni. Żołnierz przejrzał listę, ale nie znalazł jego nazwiska. (...)

– W jakiej sprawie przyszlście? Do kogo?

– Do funkcjonariusza Zakrewskiego.

Żołnierz pokiwał wolno głową. Potem, nie podnosząc wzroku, powiedział:

– Cóż, możecie iść do domu. Nie ma was na liście. Zakrewskiego dziś nie będzie, więc nie ma was kto przyjąć. (...)



• **Dymitr Szostakowicz (w środku) wraz z sopranistką Galiną Wiszniewską oraz wiolonczelistą Mściławem Rostropowiczem w 1973 roku**

FOT. FINE ART IMAGES / EAST NEWS

Między tamtą sobotą a tamtym poniedziałkiem podejrzenia padły na samego Zakrewskiego. Przesłuchujący został przesłuchany. Aresztujący – aresztowany”.

Tyle Barnes. Historii o śledczym Zakrewskim nie ma jednak we wspomnieniach Szostakowicza opowiedzianych Wołkowowi ani w jego korespondencji. Opowiada ją w swojej biografii kompozytora Krzysztof Meyer, powołując się na rozmowę z nim.

Ja jestem jednak przekonany, że ten śledczy nazywał się Leonid Zakowski i był we własnej osobie komendantem NKWD w Leningradzie. Śledztwo w sprawie Tuchaczewskiego miało najwyższy priorytet, w Moskwie nadzorował je osobiście szef NKWD Nikołaj Jeżow. Wątpię, żeby przesłuchanie w sprawie marszałka powierzono jakiemuś drugoplanowemu czełkowi.

Leonida Zakowskiego, owszem, odwołano z Leningradu do Moskwy, ale dopiero w styczniu roku 1938. Tam zdążył się zasłużyć w prowadzeniu śledztw i rozstrzeliwań, po czym jego samego w kwietniu aresztowano i rozstrzelano w sierpniu.

Jak to bywa z anegdotami, czasem nie zgadzają się w nich szczegóły. Ale to nie przekreśla ogólniejszej prawdy, która w nich się znajduje. Szostakowicz na pewno znalazł się w kręgu zainteresowania NKWD. Na pewno bał się śmierci. To poczucie nie opuściło go nigdy.

PIĄTA, CZYLI POTĘGA

22 maja 1937 roku został aresztowany marszałek Tuchaczewski. 12 czerwca został zamordowany kulą w tył głowy. W tym czasie Szostakowicz pisał kolejną, V Symfonię d-moll op. 47. Skończył ją 20 lipca 1937 roku.

21 listopada 1937 roku sala Filharmonii Leningradzkiej mieszcząca dwa i pół tysiąca słuchaczy była wypełniona do ostatnich miejsc. Jeśli V Symfonia miała być próbą powrotu do łask, to Szostakowicz nie wybrał najłatwiejszej z dróg. Zamiast w optymistycznej tonacji durowej symfonia jest w tonacji d-moll. Jest od początku poważna i tragiczna. Szostakowicz wiedział jednak, że dla partii najważniejsze jest to, jak utwór się kończy. W finale dał im więc to, czego chcieli: forte fortissimo, czyli najgłośniej, jak się da, grzmot blachy w triumfalnym D-dur i łomot kotłów i basowego bębna.

„Wydaje mi się – mówił Szostakowicz Wołkowowi – że dla każdego jest jasne, iż w V Symfonii radość jest wymuszona, rodzi się pod groźbą (...). Tak jakby ktoś bił człowieka, żądając: »Masz być radosny«, a ów wstaje, chwytając się i odchodzi, mamrocząc do siebie: »Mam być radosny, mam być radosny«, I co to jest za apoteoza? Trzeba być tępakiem, żeby tego nie usłyszeć”.

Ludzie na widowni plakali, a owacja na stojąco trwała niewiele krócej niż sama symfonia. Sterroryzowane miasto zobaczy-

ło w Piątej siebie, swój strach, swoje cierpienie, swój los.

Jeszcze jedna rzecz co do finału. Wielu dyrygentów – a Piątą włączyło zaraz do repertuaru wiele światowych sław w rodzaju Artura Toscaniniego czy Leopolda Stokowskiego – zignorowało wskazówkę Szostakowicza, że ostatnia część symfonii, allegro non troppo (czyli „szybko, ale nie zanadto”) ma być grana w wolnym tempie $\text{♩} = 176$, czyli 176 nut ósemek na minutę, i zamiast tego zaczynało finał w tempie dwa razy szybszym. W jednej z radzieckich edycji partytury zmieniono nawet sygnaturę tempa na 176 ćwierćnut na minutę, zwiększając prędkość dwukrotnie, bo edytor uznał, że Szostakowicz się pomylił. Jednak kiedy marsza będącego częścią finału gra się w tempie oznaczonym w partyturze, nabiera on cech marsza żałobnego, radosna celebrowanie zmienia się w krzyk bólu, protest przeciwko nieustępliwej i nieludzkiej sile. Lata po premierze rumuński dyrygent Sergiu Celibidache, który słynął ze skłonności do wolnych, medytacyjnych temp, napisał do Szostakowicza ze Szwajcarii list z pytaniem: „Czy oznaczenie tempa w finale V Symfonii jako $\text{♩} = 176$ jest poprawne?”. Otrzymał niepodpisaną pocztówkę z Moskwy z jednym słowem: „Poprawne”.

Cóż, uwielbiam finał Piątej grany pod dyktando Artura Rodzińskiego w punkrockowym tempie prestissimo odmierzonym przez oszalałe transowe uderzenia w kotły – w końcu nie ma obowiązku grać muzyki według życzeń kompozytora – ale jednak Szostakowicz chciał na zakończenie symfonii klimatu zupełnie innego. To, co Rodziński zagrał w 8 minut i 4 sekundy, Celibidache zagrał w 11 minut i 16 sekund.

Co do nagrań, jest kilka świetnych kompletów symfonii Szostakowicza rosyjskich dyrygentów (Giennadija Rożdżestwieńskiego, Kiryła Kondraszyna, Rudolfa Barszaja, Władimira Aszkenazego czy Mściława Rostropowicza), ale świetny jest też boks Holendra Bernarda Haitinka. Żadnego utworu nie kolekcjonowałem tak jak Piątej. Na mojej półce stoją 32 jej nagrania. A teraz w telefonie dzięki apce z muzyką klasyczną mam jej wersji aż 186. Podłączam telefon do odtwarzacza i nurkuję w nieobjętym oceanie.

Piąta jest dziełem genialnym, na miarę Piątej Beethovena. Miłośnicy Szostakowicza dzielą się na zwolenników IV i V Symfonii. Co do mnie, nie czuję się w obowiązku wybierać. Piąta jest od Czwartej prostsza, ale ta prostota ani razu nie osuwa się w prostactwo – chyba żeby groźnymi dźwiękami fortepianu w niskim rejestrze sportretować tyrana.

Krzysztof Meyer napisał o V Symfonii: „W zadziwiający sposób potrafił (...) twórca pogodzić uproszczenie języka muzycznego z zachowaniem swojej wielkiej indywidualności. (...) Jak mało który z jego utworów,

przytłacza ona kolosalną siłą. (...) Patos, wywodzący się z tradycji Beethovena i Czajkowskiego – element u Szostakowicza zupełnie nowy – stanie się odtąd częstą cechą następnych jego dzieł”.

Nikt lepiej od Szostakowicza nie oddał w muzyce cierpienia wieku XX, wieku tyranii, ludobójstwa i strachu. Była jednak cena. Odtąd kompozytor mówił jedno, a muzyka drugie. Wydrukował w „Prawdzie” artykuł, w którym nazwał Piątą „praktyczną twórczą odpowiedzią artysty radzieckiego na uzasadnioną krytykę”.

Jest czymś tragiczno-groteskowym, czyli bardzo w duchu Szostakowicza, że stworzenie swojego największego arcydzieła zawdzięcza zarówno Beethovenowi, jak i Stalinowi.

PÓŁTONY

Wielkiego kompozytora poznaje się po własnym głosie. Drugorzędni kompozytorzy brzmią jak ktoś inny. Styl Szostakowicza rozpoznaje się po kilku nutach. Szostakowicz, jak pisał Tadeusz A. Zieliński, „nie waha się wykorzystywać całkowicie tradycyjnych połączeń harmonicznym i klasyczno-romantycznych współbrzmień, ale równocześnie zabarwia je nowymi środkami, typowymi dla kompozytorów współczesnych. (...) Melodyka jego utworów jest w zasadzie tonalna, eksponująca proste, diatoniczne zwroty, ale nie zawsze przebiega w sposób konwencjonalny; czasem jeden dźwięk wystarczy, by »popsuć« tradycyjny porządek”.

Na przykład aria Katarzyny o żrebieciu utrzymana jest w tonacji fis-moll i z początku wszystkie dźwięki trzymają się tej skali, są (jak nazywa to teoria) diatoniczne, zrozumiałe i spodziewane. Ale już siódmy i ósmy dźwięk są „skrzywione”, wychodzą poza skalę, psują porządek, wprowadzają chromatykę, czyli nuty obniżone o pół tonu.

Proste interwały należące do swoich skal, w większości calotonowe, wydają nam się naturalne. Najpopularniejsze melodie są diatoniczne. Od najprostszych, jak kołysanki, przez muzykę pop aż po symfonie Mozarta czy Beethovena.

Ale melodie Szostakowicza wymykają się naszym oczekiwaniom wynikającym – jak powiedzą jedni – z natury słuchu, a jak powiedzą inni, z przyzwyczajenia do reguł zachodniego systemu tonalnego. To nadaje jego melodiom wyraźnie dwudziestowieczny, modernistyczny sznyt.

Pod koniec XIX wieku w muzyce pojawiało się coraz więcej chromatyki i odpowiadających jej nietypowych współbrzmień. Dotyczyło to takich kompozytorów jak Ryszard Wagner, Ryszard Strauss, Claude Debussy, Maurice Ravel (z wyjątkiem jego najpopularniejszego „Bolera”, które jest czysto diatoniczne), Leoš Janáček czy u nas Karol Szymanowski. Następnym

krokiem było odrzucenie systemu dur-moll przez Arnolda Schönberga na rzecz dodekafonii, czyli techniki, w której w ogóle nie ma czegoś takiego jak tonacja.

Szostakowicz źle się odnosił do awangardy. Nie tylko dlatego, że władza radziecka wrogo na nią patrzyła. „Możliwości wyrazowe muzyki dodekafonicznej są bardzo niewielkie – pisał w 1959 roku. – W najlepszym razie zdolna jest wyrazić jedynie stan przygnębienia, prostracji albo śmiertelnego przerażenia”. Szostakowicz przez całe życie chciał tworzyć dla wszystkich i, co więcej, chciał także tworzyć w imieniu wszystkich, w imieniu narodu rosyjskiego. Chciał – jak mówił Wołkowowi – „muzyki, w której kompozytor wyraża swoje prawdziwe myśli i robi to w taki sposób, że możliwie największa rzesza uczciwych obywateli w jego kraju i w innych krajach uzna tę muzykę i zaakceptuje. Przez muzykę zrozumieją kraj i naród. To jest właśnie sens komponowania, tak go widzę”.

Bycie kompozytorem rosyjskim, w linii Glinki, Musorgskiego, Czajkowskiego czy Rimskiego-Korsakowa, uważał za coś bardzo ważnego. Chociaż cenił muzykę emigranta Strawińskiego, z dyzgustem określał go mianem „Europejczyka” i dodawał, że to podejście jest mu obce. Jak twierdził, nie miało też dla niego znaczenia polskie pochodzenie, jego pradziadek Piotr Szostakowicz urodził się na Wileńszczyźnie, a urodzony na Syberii ojciec – także Dymitr – doskonale mówił po polsku.

LENINGRADZKA

22 czerwca 1941 roku Hitler atakuje Związek Radziecki. Rodzinny Leningrad Szostakowicza zostaje okrążony. To oblężenie jest jednym z najtragiczniejszych wydarzeń drugiej wojny światowej. Potrwa 872 dni, od 8 września 1941 roku do 27 stycznia 1944 roku. Pochłonie ponad półtora miliona ofiar, po połowie żołnierzy i cywilów. Ludzie będą umierać z głodu i mrozu. Nierządki będzie kanibalizm.

19 lipca 1941 roku Szostakowicz zaczął pisać VII Symfonię C-dur op. 60. Dokończył ją w grudniu w Samarze nad Wołgą (wówczas Kujbyszew), dokąd go ewakuowano. „Leningradzka” jest najdłuższą symfonią Szostakowicza, trwa godzinę i kwadrans. Zrobiła furorę, głównie za sprawą środkowego epizodu pierwszej części, który nazwano „epizodem inwazji”. Jest on oparty na obsesyjnym, dwunastokrotnym powtórzeniu prostej melodii przechodzącej pomiędzy rosnącymi grupami instrumentów do wtóru militarnego werbla, co bardzo przypomina schemat Ravelowskiego „Bolera” z 1928 roku.

Uznano ten fragment za obraz hitlerowskiego najazdu. Ale pod koniec życia Szostakowicz mówił Wołkowowi: „VII Symfonię obmyśliłem przed wojną, a więc po prostu nie mogła być reakcją na atak Hitlera. »Wątek inwazji« nie ma nic wspólnego z tym atakiem. Komponując ten fragment, miałem na myśli innych wrogów ludzkości. (...) VII Symfonia stała się moim najpopularniejszym utworem. Smuci mnie jednak, że ludzie nie zawsze pojmują, o czym ona mówi, a przecież wszystko jasno wynika z muzyki. Achmatowa napisała swoje »Requiem«, a moje requiem to VII i VIII Symfonia”.

Muzyka jest na przemian tragiczna i liryczna, nawet sielankowa, a finał jest podobny do bombastycznego końca Piątej. Paradoksalnie jednak wojenna Siódma jest od niej o wiele bardziej optymistyczna, David Hurwitz nazywa ją „jedną z najbardziej słonecznych symfonii Szostakowicza”.

Siódmą wykonano w marcu 1942 roku w Kujbyszewie i Moskwie, a następnie partyturę na mikrofilmie przekazano drogą lotniczą i morską do Stanów Zjednoczonych, gdzie w lipcu zadrygował symfonią sam Arturo Toscanini.

Do oblężonego Leningradu partyturę przerzucono samolotem. Zaczęły się próby. „Ze stuosobowej orkiestry zostało nas raptem piętnaście osób – wspominała oboistka Ksenia Matus. – To były istne kościotrupy”.

Dyrygent Karl Eliasberg ściągał muzyków z frontu, gdzie grali w orkiestrach wojskowych. W tym czasie dzienna racja żywnościowa w mieście wynosiła mniej niż kromkę podłego chleba. „Już po paru minutach grania zaczynało się nam kręcić w głowach – mówił klarnecista Wiktor Kozłow. – Ludzie mdleli na próbach. Czasami, kiedy zdarzyło się zamienić parę słów z kimś, kto siedział obok, jedynym tematem rozmowy były głód i jedzenie, a nie muzyka”. Dwudziestu pięciu muzyków w czasie prób umarło z głodu.

9 sierpnia 1942 roku, w 335. dniu oblężenia, odbył się koncert. Przyszła inteligencja, robotnicy i oficerowie, w tym dowódca Frontu Leningradzkiego general Leonid Goworow. Wieczorowe suknie wisiały na miłośniczkach muzyki jak na wieszakach.

„Od pierwszych taktów – pisała poetka Olga Bergholc – stanęła nam przed oczami cała nasza droga, cała już legendarna epopeja Leningradu: i atakująca nas potworna, bezlitosna moc i nasz nieustępliwy opór, i nasz ból, i marzenie o dobrym świecie, i wiara w niedalekie zwycięstwo”. Koncert był transmitowany przez radio na cały Związek Radziecki.

Symfonia się skończyła. „Ludzie po prostu stali i płakali” – powiedział Eliasberg. Znow, jak na premierze Piątej w tej samej

Szostakowicz przez całe życie chciał tworzyć dla wszystkich i, co więcej, chciał także tworzyć w imieniu wszystkich, w imieniu narodu rosyjskiego.

Bycie kompozytorem rosyjskim, w linii Glinki, Musorgskiego, Czajkowskiego czy Rimskiego-Korsakowa, uważał za coś bardzo ważnego

sali, Leningrad odnalazł w tej muzyce siebie, swoje cierpienie i swoją nadzieję.

Siódma stała się, jak żaden utwór muzyczny przed nią i po niej, wydarzeniem politycznym na skalę całego świata. Świat zobaczył w Szostakowiczu nowego Beethovena. „Eroica naszych dni”: tak brzmiał jeden z prasowych nagłówków. Szostakowicz został ponownie uhonorowany Nagrodą Stalinowską.

„Wiele osób sądzi, że powróciłem do życia po V Symfonii – opowiadał Szostakowicz Wołkowowi. – Nie, ja powróciłem do życia po VII”. Lęk go jednak nie opuścił. „Szum był coraz większy, co z pewnością irytowało Stalina. Sytuacja, w której dużo mówiło się o kimś innym, była dla Stalina nie do przyjęcia. (...) To, że Stalin zazdrościł komuś sławy, może brzmieć idiotycznie, ale tak było. I ta zazdrość miała tragiczny wpływ na życie i działalność wielu ludzi”.

ÓSMA, CZYLI DNO ROZPACZY

„Wojna dostarczyła pretekstu do pisania muzyki o wiele mroczniejszej niż zwykle – napisał David Hurwitz – o ile miała ona zamiar upamiętniać poległych lub wyrażać cierpienie narodu rosyjskiego. To jest przypadek VIII Symfonii”.

VIII Symfonia c-moll op. 65 (1943) jest wstrząsająca. Światosław Richter – pierwszy kandydat do miana największego pianisty XX wieku – powiedział, że jest ona dla niego głównym dziełem życia Szostakowicza. Słucham jej równie często jak Czwartej, Piątej, Dziesiątej i Piętnastej.

Jej pierwsza część jest wolna – adagio – i tragiczna. Energia stopniowo rośnie, aż nagle odzywa się głośno blacha w brutalnym marszu, który dla mnie jest kolejnym muzycznym portretem Stalina.

Część trzecia, toccata (nazwa ta wywodzi się z baroku), jest jednym z najprędzej zapadających w pamięć fragmentów w całej twórczości Szostakowicza. Na tle obsesyjnych rytmicznych kroczków altówek

tworzących wrażenie okrażenia i osaczenia odzywa się nagle gwizdek – dwie nuty – oboju i klarnetu. Nie jest melodią, to raczej riff. Powtarza się w wykonaniu kolejnych grup instrumentów, dając obraz – jak to nazywa Hurwitz – „niehumanistycznego okrucieństwa”.

Czwarta część to wspaniała passacaglia, oparta na powtórzeniu forma także pochodząca z baroku, polegająca na repetycji powolnej melodii w basie, nad którą inne instrumenty budują swoje wariacje. Szostakowicz użył już passacaglii w interludium drugiego aktu „Lady Makbet”. Tutaj tworzy dzięki niej wrażenie powagi i nieuchronności, powtarzając temat dwanaście razy. To muzyka „odrętwiała i błędząca” (Hurwitz). Szostakowicz doceni możliwości, które stwarza forma passacaglii. Zastosuje ją w wolnych częściach II Tria fortepianowego (1944), I Koncertu skrzypcowego (1948), X Kwartetu smyczkowego (1964) i XV Symfonii (1971). Znowu powtórzenie i zmiana dadzą maksymalny efekt emocjonalny.

Piętnastominutowy finał buduje atmosferę „wymuszonego szczęścia i pustki” (Hurwitz) na zmianę z „nastrojem pogody” (Meyer). Zawiera fugę – kolejną barokową formę opartą na powtórzeniu – i potężną dysonansową kulminację, a kończy się, inaczej niż w Piątej czy Siódmej i na pewno

inaczej, niż życzyłaby sobie partia, powoli i cichutko, pianissimo.

Krytyk Danił Żytomirski zapisał w dzienniku: „Scherzo wywołało u mnie ciarki. A passacaglia przedstawia duszę w rozpacz, poszukującą i zadającą pytania błagalnym wzrokiem”. Recenzji napisanej dla „Komsomolskiej Prawdy” mu jednak nie wydrukowano. Partia była symfonią rozczarowana.

„Po prawykonaniu VIII Symfonii nazwano ją otwarciem dziełem kontrrewolucyjnym i antyradzieckim – opowiadał kompozytor Wołkowowi. – Dlaczego Szostakowicz napisał symfonię optymistyczną na początku wojny, a tragiczną teraz? Na początku wojny cofaliśmy się, a teraz atakujemy, niszczymy faszystów”.

DZIEWIĄTA, CZYLI BOHATERSKA BEZTROSKA

Wspomniane już II Trio fortepianowe e-moll op. 67 (1944) to „jakby kameralna paralela do VIII Symfonii” (Meyer). Kończy się zapożyczoną z żydowskiego idiomu melodią, przez którą Szostakowicz odmalował wyczytaną w prasie opowieść o tym, że oprawcy z SS kazali Żydom tańczyć nad grobowymi dolami chwilę przed egzekucją. Trio, jak najdalsze od estetyki socrealizmu, przyniosło kompozytorowi, na mocy kolejnego kapryśnego paradoksu, trzecią w jego życiu Nagrodę Stalinowską. (Polecam trzeci nagranie Beaux Arts Trio z 2005 roku).

Tymczasem Armia Czerwona „niszczyła faszystów” w coraz szybszym tempie. Szostakowicz rozpuszczał informacje, że szykuje apoteozę Pobjedy. Potem jednak prace przerwał i zaczął pisać od nowa. IX Symfonia Es-dur op. 70 (1945) była rękawicą rzuconą Stalinowi. Zamiast godzinnej apoteozy była 25-minutowa bagatelka, pogodna i niefrasobliwa w wyrazie.

„Ogłosiłem, że piszę apoteozę – opowiadał Szostakowicz Wołkowowi. – Chciałem, żeby się ode mnie odczepili, ale obróciło

się to przeciwko mnie. Kiedy moja Dziewiąta została wykonana, Stalin wpadł we wściekłość. Był głęboko dotknięty, bo nie było ani chóru, ani solistów, ani apoteozy. Nie było nawet nędznej dedykacji. Była po prostu muzyka, której Stalin za dobrze nie rozumiał i która zawierała wątpliwe treści. (...) Nie mogłem napisać apoteozy Stalina. Po prostu nie mogłem”.

NA CZTERY GŁOSY

Jeżeli próbuje się podsumować Szostakowicza w jednym zdaniu, to mówi się, że był on autorem piętnastu symfonii i piętnastu kwartetów. I tu, i tu potrafił zawrzeć cały świat, od słonecznej pogody aż do ostatecznej rozpacz.

I kwartet C-dur op. 49 (1938), napisany wkrótce po V Symfonii, jest jej emocjonalnym przeciwieństwem. Jest świetlisty, haydnowski. Sam kompozytor nazwał go „wiosennym”. II kwartet A-dur op. 68 (1944) jest dwa razy dłuższy, o wiele bardziej złożony i poważniejszy w nastroju (w części wolnej skrzypce płaczą znów w idiomie żydowskim, a finał to wariacje – znów forma oparta na powtórzeniu – malujące całą paletę emocji dostępnych człowiekowi).

Moim ulubionym jest III Kwartet F-dur op. 73 (1946), podróż od mozartowskiej klarowności przez taneczną groteskę, posępność wolnej części aż do ambiwalentnego finału, który Szostakowicz opatrzył podtytułem „wiekuiste pytanie: dlaczego? Po co?”. Ten kwartet jest jak symfonia. (III, IV, VI, VII, VIII, X i XV Kwartet zostały później zaaranżowane na orkiestrę).

Mamy kilka świetnych nagrań kompletu kwartetów. Moje ulubione to dwa rosyjskie – Kwartetu im. Beethovena, który sam autor wybrał do większości prawykonani, Kwartetu im. Borodina – oraz amerykańskiego Emerson String Quartet.

Szostakowicz chciał napisać 24 kwartety we wszystkich tonacjach systemu dur-moll. Osiągnął mistrzostwo w tej trudnej, abstrakcyjnej formie, gdzie w składzie czterech muzyków trzeba oddać to, co w symfoniach w składzie setki. W kwartetach Szostakowicza – pisał Piotr Wierzbicki – „rosyjska dusza, otwarta, goła, bez skóry, paraduje sobie w najlepsze i peroruje o tym, co jej dokucza. Udręka. Obolałość. Ból. W kolejnych odmianach właściwie niemal ten sam motyw skargi, tylko że nie beethovenowskiej, piorunującej, zestrzełonej w jeden punkt, tylko takiej jakby rozkojarzonej, podszytej wahaniem, może strachem”. Dodałbym, że w kwartetach Szostakowicza są też klarowność, pogoda, zgoda, niezmacona świadomość.

Było jeszcze jedno. Partia wtrącała się do symfonii, ale kwartety jej nie obchodziły. Nawet w warunkach pełnej kontroli politycznej – opowiadał Szostakowicz Wołkowowi – „można napisać kwartet, a potem grać go w domu z przyjaciółmi”, „dla własnej cichej satysfakcji”.

Nie wszystkie symfonie Szostakowicza trzymają równy poziom, ale słabego kwartetu nie napisał on nigdy.

KOLEJNY CIOS

10 lutego 1948 roku Komitet Centralny partii wydał rezolucję potępiającą „formalizm” w muzyce. Szostakowicza wymieniono na pierwszym miejscu wśród kompozytorów „reprezentujących kierunek antynarodowy, antydemokratyczny, obcy narodowi radzieckiemu”. „Formalizm” był słowem młotkiem, którym można było bić, kogo padło, ponieważ nie ma muzyki bez formy. Na zebraniu w Związku Kompozytorów wiceminister kultury wręczył Szostakowiczowi tekst samokrytyki. „I ja czytałem – wspominał Szostakowicz – jak pajac, jak marionetka pociągana za sznurki”.

Publiczne samobiczowanie nie pomogło. Szostakowicza wyrzucono z pracy w konserwatoriach Leningradu i Moskwy, a wiele jego utworów (między innymi VI, VIII i IX Symfonia) trafiło na czarną listę cenzury i nie mogło być wykonywanych. Na zebraniach Szostakowicz



odczytywał kolejne wręczone mu teksty popierające linię partii i potępiające antynarodowe tendencje w jego własnej muzyce.

Ugiął się. Przykleknął na jedno kolano. O ile po nagonce z roku 1936 ugiął się w życiu, ale nie w muzyce, to po roku 1948 ugiął się także w niej. Stworzył wiele dzieł sztamowych, socrealistycznych. Najbardziej osławiona z nich jest „Pieśń o lasach” op. 81 (1949, do słów Jewgienija Dolmatowskiego) wychwalająca Stalina, przywódcę wielkiej akcji zalesień:

Jesteśmy prostymi ludźmi radzieckimi, komunizm to nasza chwala i honor. Skoro Stalin powiedział „Niech się stanie”, odpowiemy wodzowi „To jest!”.
Stalingradzycz! Podnieście wyżej sztandar! Wymaszerowały komsomolskie pułki, żeby zielony płomień drzew uniósł się nad Wołgą. (...) Chwała leninowskiej partii! Wieczna chwala narodowi!
Mądrymu Stalinowi chwala! Chwała!

Za „Pieśń o lasach” Szostakowicz dostał po raz czwarty Nagrodę Stalinowską, dającą w Konstantynówce pod Moskwą, samochód z szoferem i 100 tysięcy rubli. Ale socrealizm w jego muzyce zaczął się o wiele wcześniej, od „Piosenki na dzień do bry” z filmu „Turbina 50 000” (op. 33, 1932). Pieśń tę pod koniec lat 40. mój kilkunastoletni ojciec słyszał codziennie do pobudki skoszarowany do pracy przymusowej na obozach hufców zwanych Służbą Polsce. „Już wschodzi dzień, czarnulko wstań, do pracy czas”, śpiewał mi potem, żeby mnie zerwać do szkoły.

Było tego więcej. Muzyka do spektaklu „Rosyjska rzeka” op. 66 (dla Zespołu Pieśni i Tańca NKWD, 1945), „Poemat Ojczyzny” op. 74 (1947, na 30. rocznicę rewolucji październikowej), muzyka do propagandowych filmów „Młoda Gwardia” op. 75 (1948), „Miczurin” (op. 78, 1949), „Spotkanie nad Łabą” op. 80 (1949), „Upadek Berlina” op. 82 (1950), cykl pieśni chóralnych „Dziesięć wierszy poetów rewolucyjnych” op. 88 (1951, Nagroda Stalinowska po raz piątą) i tak dalej aż do „Marsza milicji radzieckiej” (op. 139, 1970, wyróżnionego I nagrodą na Wszechzwiązkowym Konkursie Literatury i Sztuki) i „Lojalności” op. 136 (1970), chóralnego utworu znowu do wierszy Jewgienija Dolmatowskiego, skomponowanego na stulecie urodzin Lenina: *Jak w niepamiętnych latach pielgrzymi przemierzali Rosję, Ja również idę do Lenina, pomimo ograniczeń życia. Pochyliwszy obolale ramię, zmrużył chytre oko, Pod tym spojrzeniem nie będę milczał o niczym.*

Na wiecznym spotkaniu z Iljczem otrzymam odpowiedź na wszystko.

W 1956 roku powiedział Florze Litwinowej: „Jestem skurwysynem, tchórzem i tak dalej, ale możesz zrozumieć, że żyję w więzieniu i że boję się o dzieci i o siebie”.

Równocześnie, przez wszystkie te dziesięciolecia, w jakimś przedziwnym dwójmyśleniu, w równoległej rzeczywistości powstawały arcydzieła. Napisany w NRD w 1950 roku z okazji 200. rocznicy śmierci Jana Sebastiana Bacha cykl 24 preludiiów i fug op. 87, nawiązujący do Bachowskiego „Wohltemperiertes Klavier” to cały kosmos idei i uczuć. Szostakowicz znów korzysta z powtórzenia, jakim jest fuga, i znów tworzy fugi zupełnie nieprzypominające tych Bachowskich. Emil Gilels nagrał po mistrzowsku numery 1, 5 i 24. Nie ośmielił się z nim konkurować nawet sam Światosław Richter (nagrał 12 części). Z kompletów lubię zaś szczególnie nagranie Władimira Aszkenezego.

MONOGRAM

Kiedy partia uderzyła w lutym 1948 roku, Szostakowicz był w trakcie pracy nad I Koncertem skrzypcowym a-moll op. 77. Przetrzymał go w szufladzie do 1955 roku, do czasów odwilży. O ile symfonie są jak powieści, epiką, opisaniem świata, o tyle

forma solowego koncertu pozwoliła Szostakowiczowi pokazać los jednostki w tragicznym zderzeniu ze światem.

Sercem koncertu jest kolejna passacaglia – poważny, powolny temat w basie powtarza się dziewięć razy. Na jego tle zmieniające się grupy instrumentów grają chorałową melodię, a solista sięga szczytów liryzmu i skargi.

Koncert został napisany dla wielkiego skrzypka Dawida Ojstracha i jego nagrania są niezrównane. Nierosyjscy skrzypkowie, nawet genialni technicy jak Daniel Hope albo Hilary Hahn, grają te same nuty, ale nie wiedzą, co grają i dlaczego. Może, żeby umieć zagrać ten koncert, trzeba wiedzieć, co to znaczy żyć w śmiertelnym strachu.

Utwór ten jest ważny także dlatego, że pojawia się w nim monogram kompozytora, DSCH. Szostakowicz idzie za przykładem Bacha, który w „Sztuce fugi” zastosował motyw b-a-c-h. D-es-c-h odnosi się do niemieckiej pisowni nazwiska, „Dmitri Schostakowitsch” i niemieckich, identycznych jak polskie, nazw nut. Ten chromatyczny podpis Szostakowicz wykorzystał w X i XV Symfonii, a w VIII Kwartecie c-moll op. 110 – sławnym „kwartecie autobiograficznym” – uczyni z niego główny temat.

Szostakowicz napisał ten kwartet w ciągu trzech dni w 1960 roku w czasie pobytu w Dreźnie. Cytuje w nim I, V i VIII Symfonię, I Koncert wiolonczelowy, II Trio fortepiano-we i arie „Sierioża, ukochany mój” z IV aktu „Lady Makbet”, a na końcu pieśni rewolucyjną „Zamęczony w ciężkiej niewoli”. „Finałowe largo – pisał Krzysztof Meyer – jest fugą, opartą na motywie przewodnim [d-es-c-h] (...). VIII Kwartet to dzieło unikalne w całej literaturze kwartetowej, o wyjątkowej sile oddziaływania i ekspresji. (...) Stał się jednym z najczęściej grywanych kwartetów smyczkowych naszego stulecia, tak jak na terenie muzyki symfonicznej dziełem najczęściej wykonywanym stała się V Symfonia”.

„JESTEM KURWĄ”

W tym samym 1960 roku, kiedy czuło się, że czasy terroru odeszły w przeszłość, a władza – jak to określiła Anna Achmatowa – „przeszła na wegetarianizm”, Szostakowicz wstąpił do partii.

Wciągnięto go do niej rok wcześniej podstępem, podsuwając do podpisu wniosek kandydacki na jakimś alkoholowym przyjęciu. DSCH, który był już od lat przyzwyczajony do podpisywania napisanych przez kogo innego artykułów i przemówień, zrobił to bez czytania. A potem nie miał odwagi się wypłatać. Wstępując do partii, wdepnął w świeżo wylany beton, który unieruchomił go na zawsze.

Muzykolog Lew Lebiedziński wspominał: „Podejście do członkostwa w partii rzuca światło na VIII Kwartet napisany w tym czasie. (...) To miało być jego pożegnanie z życiem. Uważał wstąpienie do partii za śmierć zarówno moralną, jak i fizyczną. W dniu powrotu z Drezna, gdzie skończył Kwartet i kupił dużą ilość pigulek nasennych, zagrał mi Kwartet na fortepianie i powiedział mi ze łzami w oczach, że to jego ostatnie dzieło. Zrobił aluzję do zamiaru popelnienia samobójstwa. Może podświadomie chciał, żebym go ratował. Wyjąłem pigułki z kieszeni jego marynarki i dałem jego synowi Maksymowi. Obiecałem mu, że nie spuszczę jego ojca z oka. Przez następnych kilka dni spędzałem z Szostakowiczem tyle czasu, ile tylko się dało, aż poczułem, że zagrożenie samobójstwem ustalo”.

I dalej: „Mówił, lkając histerycznie: »Boję się ich śmiertelnie«. »Nie znasz całej prawdy«. »Od dzieciństwa robiłem rzeczy, których nie chciałem robić«. »Jestem żalonym alkoholikiem«. »Byłem kurwą, jestem i zawsze będę kurwą«. Często rugał sam siebie w najostrejszych słowach. (...) Został przykładowym i posłusznym członkiem partii. (...) Siedział jak lalka, błędząc myślami gdzieś daleko, klaszcząc, kiedy klaskali inni. Pamiętam, jak któregoś razu klaskał, kiedy Chrienikow [partyjny aparaczek, szef Związku Kompozytorów Radzieckich w latach 1948-91] zaatakował go w swoim wystąpieniu”.

Odtąd jego tragiczna muzyka będzie niosła jeszcze jedno pesymistyczne przesłanie:

że tchórzostwo jest silniejsze od odwagi, że zło ma w rękę mocniejsze karty od dobra.

W 1973 roku podpisał opublikowany w „Prawdzie” zbiorowy list potępiający najważniejszego dysydenta i przyszłego laureata pokojowego Nobla, fizyka (w latach 50. twórcę radzieckiej bomby wodorowej) Andrieja Sacharowa. Czyli zrobił to, co przeciwko niemu zrobiono tyle razy w 1936 i 1948 roku.

„Nie wybaczę sobie tego do samej śmierci”, wyznał swojemu lekarzowi. Jednocześnie próbował zrzucić z siebie odpowiedzialność, obwiniając ofiarę. We wspomnieniach dyktowanych Wołkowowi zapętlął się w swojej niechęci do Sacharowa: „Najpierw wymyślają potężną broń i dają ją do ręki tyranom, a potem piszą zwodnicze broszury. Te dwie rzeczy się nie równoważą. Nie ma takich broszur, które mogłyby być przeciwagą bomby wodorowej. Uważam za szczyt cynizmu prawienie pięknych słówek, gdy ma się na sumieniu podle postęпки. Myślę, że lepiej byłoby mówić podłości i nie popełniać przestępstw. Wina potencjalnego mordercy milionów jest tak wielka, że niczym nie można jej umniejszyć. A już na pewno nie ma powodu, żeby takiego człowieka chwalić”.

Sacharow, Bohater Pracy Socjalistycznej, też laureat Nagrody Stalinowskiej i złotego medalu „Sierp i Młot”, członek establishmentu, miał odwagę zaryzykować to wszystko. Odwagę, której DSCH nie miał.

Mieli z Sacharowem w Żukowce po sąsiedzku dacie. Szostakowicz przestał chodzić na spacer, bo wstydził się spotkać Sacharowa w lesie. Wielu starych znajomych przestało mu podawać rękę. „Puszkiniowski problem [z »Mozarta i Salieriego«] został rozwiązany na zawsze: geniusz i lotrostwo jednak idą w parze”, napisała w liście otwartym rozpowszechnionym w samizdacie Lidia Czukowska, pisarka i dysydentka.

100 MILIONÓW WYŚWIETLEŃ

Szostakowicz jest najczęściej nagrywanym spośród kompozytorów urodzonych po 1900 roku. Od 1994 roku ukazuje się półrocznik „DSCH Journal” poświęcony jego życiu i muzyce.

Napisał muzykę do prawie czterdziestu filmów. Były to przeważnie rozmaite tańce (walce, marsze, polki i galop), utrzymane w łatwiejszym idiomie niż w symfoniach, ale jest to nadal znakomita muzyka. Warto na przykład posłuchać suity do filmu „Giez” (ang. „Gadfly”, op. 97, 1955).

„Walc nr 2” z filmu „Pierwszy eszelon” (op. 99, 1956) w nagraniu pod dyktando Riccarda Chailly’ego zyskał światową sławę dzięki filmowi Stanleya Kubricka „Oczy szeroko zamknięte” (1999). Ma na YouTube ponad 100 milionów wyświetleń. Ale nie ma nic wspólnego z jego stylem. Jeżeli już, to z jego niezrównaną inwencją w tworzeniu i łączeniu melodii. Owszem, jest jednym z najlepszych walców, jakie napisano, ale mógł zostać napisany gdziekolwiek i przez kogokolwiek.

MORENDO

Późne lata pięćdziesiąte i lata sześćdziesiąte (z wyjątkiem skomponowanego dla Mścisława Rostropowicza I Koncertu wiolonczelowego Es-dur op. 107 z 1959 roku i VIII Kwartetu op. 110 z roku 1960) to obniżka formy kompozytorskiej DSCH. Szostakowiczowi posypało się zdrowie. Zaczął tracić władzę

w rękach i nogach. Zdiagnozowano to jako rzadką formę polio, ale równie dobrze mogła to być któraś z nieuleczalnych chorób neurodegeneracyjnych. Przeszedł dwa zawały. Chorował na łamliwość kości, złamał jedną po drugiej obie nogi. Pod koniec życia doszedł jeszcze rak płuc. DSCH zawsze dużo palił.

Pod koniec życia Szostakowicz przeżył jednak kolejny wybuch twórczej energii. Jego muzyka z tych lat jest wstrząsającą relacją z postępującego obumierania. W jego późnym stylu nie ma wielkiej zgody i spokoju jak u późnego Schuberta. U starego DSCH zgoda ma postać rezygnacji. Jest drętwienie, zubożenie. Życie, a zwłaszcza starość, jako proces bolesnego i chorobliwego gaśnięcia. Życie jako śmierć na raty. Najpierw duchowa, a dopiero potem fizyczna. To też jest wielki temat, a Szostakowicz jest w nim mistrzem nad mistrze, do czego jego skomplikowany los bez wątplenia się przyczynił.

Wspaniała jest XIV Symfonia op. 135 (1969), która jest cyklem pieśni. „W ostatnich latach – opowiadał Wołkowowi – doszedłem do przekonania, że słowo jest skuteczniejsze niż muzyka. Kiedy łączę muzykę i słowo, trudniej wypaczyć moje intencje. (...) Każdy tępak, każdy głupek zrozumie coś, jeśli są słowa”.

„Śmierć jest wszechpotężna” – cytował Rilkego w finale. „Przywykłem do myśli o nieuniknionym końcu i tak go traktuję – mówił Wołkowowi. – Takie są prawa natury i nikt nigdy im nie umknął. Jestem za racjonalnym podejściem do śmierci. Powinniśmy więcej o niej rozmyślać i przyzwyczajać się do myśli o odejściu. (...) Potem nic już nie będzie, nic”.

W jednym z finałnych utworów, „Suicide do wierszy Michała Anioła” op. 145 (1974), sonet „Śmierć” jest przedostatni. Ostatnia jest „Nieśmiertelność”.

Wspaniale są ostatnia XV Symfonia a-moll op. 141 (1971) i ostatni XV Kwartet smyczkowy es-moll op. 144 (1974). W wolnej części symfonii jest marsz żałobny, w finale kolejna passacaglia. Symfonia kończy się powoli i cicho. DSCH używa określenia morendo. Znaczy to „cichnącem, zanikającym dźwiękiem”, ale po włosku znaczy też po prostu „umierając”.

XV Kwartet składa się z samych wolnych części (sześć razy adagio), a ostatnia z nich kończy się morendo. Morendo też kończą się wszystkie trzy części pożegnane utworu DSCH, Sonaty na altówkę i fortepian op. 147, której odbitki korektorskie Szostakowicz skoryczył przeglądając w szpitalu cztery dni przed śmiercią. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to już koniec. W finale – powolnym, adagio – cytuje na przemian Sonatę księżycową Beethovena i własną młodzieńczą Suitę na dwa fortepiany fis-moll op. 6 sprzed ponad 50 lat. Suita ta była dedykowana zmarłemu w 1922 roku ojcu, myślę więc, że cytat z popularnej sonaty Beethovena odnosił się do matki kompozytora, wykształconej pianistki, która była pierwszą nauczycielką małego Mitii.

W swoich ostatnich nutach pożegnał się zatem ze swoim dzieciństwem i z rodzicami. Wieczorem 9 sierpnia 1975 roku powiedział: „Duszę się...” i stracił przytomność. Po 40 minutach agonii przyszła śmierć.

„Mój rozum – mówił DSCH Wołkowowi – upiera się tępo, że to, co człowiek zrobił, żyje po jego śmierci”. Minęło pół wieku. I to nadal żyje. ●

Za pomoc dziękuje Annie Żebrowskiej i Olgierdowi Uziemble

Literatura:

- Krzysztof Meyer: „Dymitr Szostakowicz i jego czasy”,
- „Świadectwo. Wspomnienia Dymitra Szostakowicza, tak jak zostały opowiedziane Sołomowi Wołkowowi i w opracowaniu tegoż”, przeł. Barbara Dancygier,
- Sołomon Wołkow: „Szostakowicz i Stalin”, przeł. Maria Putrament,
- Tadeusz A. Zieliński: „Style, kierunki i twórcy muzyki XX wieku”,
- Derek C. Hulme: „Dmitri Shostakovich. A Catalogue”,
- David Hurwitz: „Shostakovich Symphonies and Concertos”,
- Brian Moynahan: „Leningrad. Oblężenie i symfonia”, przeł. Jerzy Korpanty,
- Julian Barnes: „Zgiełk czasu”, przeł. Dominika Lewandowska-Rodak,
- Ian MacDonald: „The New Shostakovich”,
- Laurel E. Fay: „Shostakovich. A Life”,
- Elizabeth Wilson: „Shostakovich. A Life Remembered”,
- Allan B. Ho, Dmitry Feofanov (red.): „Shostakovich Reconsidered”.

Historia krzepi

Pierwsza afera zaprzysiężeniowa

Endecy, domagając się, by marszałek sejmu nie przyjmował przysięgi od prezydenta Narutowicza, powoływali się na Boga.

Natęcz

Tomasz Natęcz
– historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego



Awantury mające zablokować zaprzysiężenie prezydenta-elekta mają w Polsce długą tradycję. Do pierwszej, a zarazem największej doszło ponad sto lat temu, tuż po wejściu w życie konstytucji marcowej, ustanawiającej urząd prezydenta. Zgodnie z jej przepisami głowę państwa wybierali posłowie i senatorowie tworzący Zgromadzenie Narodowe, a nie wszyscy obywatele.

Po raz pierwszy zgromadzenie zebrało się 9 grudnia 1922. Zaciekle batalia przyniosła rozstrzygnięcie dopiero w piątej rundzie. Wygrał Gabriel Narutowicz, ceniony w Europie profesor i budowniczy hydroelektrowni, od 1920 r. minister robót publicznych, a od czerwca 1922 szef MSZ. Zwyciężył, choć nikt nie wróżył mu sukcesu. Był umiarkowanych i liberalnych poglądów, ale zgłosiło go radykalne, lewicowe PSL „Wyzwolenie”, grające na pogorszenie szans Stanisława Wojcie-

chowskiego, kandydata PSL „Piasta”, rywala „Wyzwolenia” na wsi.

Z zającą w poważnego pretendenta zamieniła Narutowicza największa partia prawicy, Narodowa Demokracja, mająca w tej elekcji 42 proc. głosów. Aby utracić groźniejszego Wojciechowskiego, endecy przetrucili w czwartej turze część głosów na Narutowicza. Kryła się za tym kalkulacja, że „piastowcy” skreślą w ostatecznej rozgrywce nominata zwalczanej przez nich partii.

Narodowcy wpadli jednak we własne sidła. Stało się tak, bo fatalnie dobrali kandydata. Był nim Maurycy Zamoycki, zasłużony patriota, ale największy w Polsce obszarnik, właściciel prawie 200 tysięcy hektarów. Tymczasem klepiąca biedę wieś ląknęła ziemi i domagała się reformy rolnej. Różne rzeczy mogli chłopci wybaczyć swoim posłom, ale nie prezydenta obszarnika. Przerażeni „piastowcy” bali się, że sąsiedzi pogonią ich kłonicami za wybór „hrabiego”, więc poparli Narutowicza, dzięki czemu pokonał Zamoyckiego 289 do 227.

Endecy nie pogodzili się z klęską, którą sami sobie zgotowali. Za wszelką cenę usiłowali wyłamać prezydenckie drzwi, zatrzaskując je przed nosem. Chwycili się brzmienia przysięgi, a konkretnie słów: „przysięgam Panu Bogu

Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu”. Zjawili się u marszałka sejmu Macieja Rataja, twierdząc, że elekt nie może wypowiedzieć tej formuły, bo popelni świętokradztwo. W Szwajcarii, gdzie mieszkał przed 1918 roku, deklarował się bowiem jako bezwyznaniowiec. Urządził m.in. świecki pogrzeb zmarłej tam żonie.

Dziurawa to była argumentacja, bo Narutowicz pochodził z szanowanej, kresowej rodziny szlacheckiej i odebrał staranne katolickie wychowanie, włącznie z wymaganymi sakramentami, a po powrocie do kraju zerwał z bezwyznaniowością.

Rataj, który próbował być obręczą na coraz bardziej rozpadającej się sejmowej becze, nie chciał konfrontacji z prawicą i obiecał wyjaśnić sprawę z elektem. „Zakomunikowałem mu obiektywnie co do przysięgi – zanotował w dzienniku – Oświadczył, że decydując się na złożenie takiej przysięgi, daje dowód, że ją uznaje”.

Endecy, wprawdzie kwaśno, ale przyjęli to wyjaśnienie i obiecali nie bojkotować zaprzysiężenia.

Mnóstwo było w tym obłudy, bo tego samego dnia, 11 grudnia 1922, apogeum osiągnęła kampania nienawiści godząca w Narutowicza. W endeckiej prasie oraz na paraliżujących Warszawę wiecach i demonstracjach obrzu-

cano go obelgami i oszczerstwami, z których „żydowski pacholek”, „germanofil”, „złodziej grosza publicznego” nie należały do najgorszych.

Zmobilizowany przez endeków, agresywny tłum wypełnił Aleje Ujazdowskie, którymi elekt zmierzał do sejmu na zaprzysiężenie. Zgodnie z ceremoniałem, jechał otwartym powozem, bezbronny wobec ataków endeckich bojówkarzy, bo policja, zdeorientowana ogarniającym stolicę chaosem, zachowywała się z karygodną biernością. Na powóz posypały się śniegowe bryły zmieszane z błotem. Jedna trafiła Narutowicza w twarz, sprawiając, że składał przysięgę z dużym guzem na czole.

Objął urząd, ale nie był to koniec drogi przez mękę, zgotowanej przez prawicę. Hejt i uliczna agresja wydały owoce. W kilka dni po objęciu urzędu prezydent został zamordowany przez endeckiego fanatyka.

Zbrodnia królobójstwa, obca Polsce przez długie wieki, trwale obciążła konto nacjonalistycznej prawicy, dla partyjnych interesów gotowej zachwiać fundamentami państwa. Warto, by spadkobiercy tej formacji pamiętali o tamtej tragedii, kiedy dzisiaj w politycznej walce znowu sięgają po metody skompromitowane sto lat temu. ●

Tomasz Natęcz

Okruchy historii

Symetrysta Andrzej Duda

W kwestii upamiętnienia zbrodni wołyńskiej osiągnięcia Andrzeja Dudy wyglądają skromnie.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN



Na koniec swojej kadencji prezydent Andrzej Duda postanowił zademonstrować twardą postawę: Polaków postraszył wieszaniem, zaś Ukraińców zamknięciem lotniska w Rzeszowie i koniecznością budowania dobrych relacji z Polską „tylko na prawdzie” o zbrodni wołyńskiej. Zwłaszcza ta ostatnia wypowiedź dziwnie wygląda w ustach polityka, który jako jedyny prezydent III RP podpisał się pod ukraińską doktryną o symetrii win UPA i AK. I jak się wydaje, do dziś nie zrozumiał swojego błędu, o wytłumaczeniu się z niego nawet nie wspominając.

W 2023 roku, w 80. rocznicę zbrodni wołyńskiej, prezydenci Polski i Ukrainy spotkali się na wspólnej modlitwie w Łucku. Gdyby na niej poprzestano, można by to uznać za sukces. Zdecydowano jednak, by spotkanie modlitewne opatrzyć wspólnym komunikatem, który pojawił się na platformach X obu kan-

celarii prezydenckich: „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy!”. Tekst był jednobrzmiący, ale oznaczał zgoda co innego, niż sądził prezydent i jego urzędnicy.

W Polsce zgodnie z ustaleniami historyków i świadków wydarzeń, a więc w oparciu o twarde fakty, uznaje się antypolską akcję UPA za lat 1943-1945 za planową depolonizację, której okrutny przebieg uprawnia do zakwalifikowania jej jako ludobójstwo. Tymczasem w Ukrainie, co najmniej od 2003 roku, obowiązują państwowa wykładnia, że doszło wówczas do polsko-ukraińskiej wojny, w czasie której obie strony popełniły podobne zbrodnie.

Choć najczęściej się tego wprost nie dopowiada, to jednak logicznie uznaje się, że UPA i AK należy traktować podobnie, gdyż ich winy wobec ludności cywilnej rzekomo się równoważą. Piszac więc w komunikacie o „niewinnych ofiarach Wołynia”, bez wskazania ich narodowości lub użycia polskiej terminologii (choćby tylko tak często goszczącego w Polsce na transparentach zwrotu „Wołyń 1943”), tym samym przyznano rację ukraińskiej wizji historii.

Wcześniejsi prezydenci RP zdawali sobie sprawę z tej różnicy w narracjach historycznych i w swoich pu-

blicznych wypowiedziach nie popełnili nigdy tak rażącego błędu. Dopiero Andrzej Duda, zgadzając się na taki zapis, siłą rzeczy, podpisał się pod wytycznymi ukraińskiej polityki historycznej. Cóż, gdyby podobną wpadkę zaliczył ktoś z innej opcji politycznej, natychmiast zostałby okrzyknięty narodowym zdrajcą, „ukropolem”, banderowcem lub przynajmniej miłośnikiem ukraińskiego nacjonalizmu. Upomnieniom w rodzaju „kto relatywizuje zbrodnie, ten rozbraja sumienie narodu”, żeby zacytować słowa samego byłego prezydenta, nie byłoby końca.

Nad fatalnym błędem Andrzeja Dudy dyżurni patrioci spuścili jednak zasłonę miłosierdnego milczenia. Zabrakło głosu IPN, nie odezwali się też sprzyjający PiS publicyści, tak chętnie krytykujący innych nawet za zwykłe przejęzyczenia. Nie komentowali sprawy także opozycyjni politycy, którzy z kolei obawiali się, by przypadkiem czegoś nie zepsuć w polsko-ukraińskich relacjach.

Jednym z nielicznych, który publicznie zaprotestował przeciwko tej relatywizacji przeszłości, był ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Zwrócił on uwagę, że „Wołyń nikogo nie zabił”, natomiast prezydent po prostu „ucieka od prawdy”. A w dodatku, pisząc o „niewinnych” ofiarach,

nieświadomie sugeruje, iż „niektóre ofiary były winne, czyli ludobójstwo na Polakach w niektórych przypadkach byłoby usprawiedliwione”. Niejeden raz przychodziło mi nie zgadzać się z księdzem Isakowiczem-Zaleskim i zacięcie z nim polemizować, w tym jednak wypadku trudno nie przyznać mu racji.

Gdy otoczenie prezydenta Dudy zdało sobie sprawę z popełnionego błędu, szybko opublikowano kolejny post na platformie X, mówiący, iż prezydenci oddali wspólnie „hołd pomordowanym Polakom”. W ten sposób zerwano jednak porozumienie i tylko pogorszo sytuację. Koniec końców wyszło bowiem, że polski prezydent modlił się za zabitych Polaków, zaś ukraiński tak za Ukraińców, jak i Polaków. Taki przebieg obchodów trudno uznać za choćby drobny sukces na drodze do przekonania państwa ukraińskiego do rozliczenia się z ciemną kartą swojej historii.

Niech nas więc nie zmylą głośne pohukiwania, srogie miny i dobre samopoczucie byłego prezydenta. W kwestii upamiętnienia zbrodni wołyńskiej jego osiągnięcia wyglądają równie skromnie, jak na niemal wszystkich innych polach. Za nami zmarnowane 10 lat... ●

Prof. Grzegorz Motyka



• Dzielnica Nakajima-hon-machi bliski centrum w Hiroszimie po zrzuceniu bomby atomowej. Dziś znajduje się tam Park Pokoju

FOT. BE&W

80. rocznica zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki

BŁYSK! I NIE MA MIASTA

John Hersey na bohaterów reportażu wybrał sześcioro ocalałych: dwóch lekarzy, dwie kobiety, pastora i jezuity. Każde z nich zastanawia się, dlaczego akurat oni uszli z życiem.

Mateusz Demski

Jest początek sierpnia. Czas odpoczynku, pełnia lata. Ludzie wychodzą po pracy do parku, spacerują, rozwieszają hamaki, grają w tenisa, wylegują się beztrudnie na plaży.

Już wkrótce ta sielska scenaria spłynie krwią. Wielu ludzi nie obudzi się następnego dnia.

Ten obraz znalazł się na okładce „New Yorkera” z 31 sierpnia 1946 roku. Usypia on czujność czytelnika i odwraca uwagę od sedna sprawy. Numer zostaje w całości poświęcony atakowi na Hiroszimę. W środku

znajduje się tylko jeden długi tekst – na ten jeden temat.

Faktycznie tak mógł wyglądać dzień poprzedzający pojawienie się „Błysku” – w ten sposób mieszkańcy zaczęli nazywać moment wybuchu. Nikt w Hiroszimie nie przeczuwał, co się za chwilę wydarzy. Podczas gdy wszystkie duże miasta Japonii były bombardowane jedno po drugim, tu nie spadła ani jedna bomba. Hiroszima nie miała znaczenia ani przemysłowego, ani strategicznego. Nie było powodu, żeby marnować na nią pociski.

Kiedy nad miastem pojawia się samolot, mało kto go zauważa. Nieliczni są w stanie dojrzeć na niebie czarną kropkę, ma- ciupeńki punkt opadający ku ziemi. Bomba

spada czterdzieści pięć sekund, z wysokości prawie dziesięciu i pół kilometra. Eksploduje 580 metrów nad miastem, 170 metrów na południowy wschód od mostu Aioi, który ze względu na swój charakterystyczny kształt miał służyć za miejsce zrzutu.

W bazie morskiej w Kure leżącej dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Hiroszimy rozbłysk jest tak silny, że wyrzyna ludzi ze snu.

Z radia dobiega głos spikera: „Hiroszima jest całkowicie zburzona”. Z miasta liczącego 245 tysięcy mieszkańców o poranku pod wieczór zostają zgłiszczą.

Piloci samolotu B-29, z którego na miasto spada bomba, po lądowaniu opowiadają na gorąco o tym, co ujrzeli

z kokpitu: „zabarwiona na fioletowo chmura w kształcie grzyba, pod którą szaleją pożary, bulgoczące niczym gorąca smoła”, „kocioł płonącej czarnej ropy, kipiący jak coś żywego”, „to obrazy wprost z »Piekieł« Dantego”. Robert Schumard, asystent mechanika pokładowego, w jednej chwili zrozumiał, że w tej chmurze musi czaić się śmierć. Pomyślał, że być może dusze ofiar wznoszą się właśnie do nieba.

Już niedługo zacznie się mówić o „cieniach Hiroszimy”. Na chodnikach i budynkach odcisnęły się zarysy sylwetek ludzkich. To ślady po tych, którzy wyparowali natychmiast pod wpływem siły wybuchu i promieniowania. Na pierwszych fotografiach lotniczych, jakie powstają nad zburzo-

bardowanym miastem, nie widać gruzów. Wszystko w strefie zero, w bezpośrednim polu rażenia, zostaje obrócone w pył. Żadna broń znana ludzkości nie spowodowała by takich zniszczeń.

William L. Laurence, jedyny amerykański dziennikarz, który widział pierwsze testy broni atomowej i późniejsze bombardowanie Nagasaki, notuje: „To nie był już dym, pył ani nawet chmura ognia. To było coś żywego, nowy gatunek, który narodził się na naszych pełnych niedowierzania oczach”.

Prezydent Truman ma powiedzieć o bombie: „To najwspanialsza rzecz w historii”.

MONSTRUALNY WALEC

Komentarze w prasie pojawiają się niemal od razu.

„New York Times”: „Wczoraj człowiek uwolnił potęgę atomu, aby zniszczyć bliźniego, otwierając w ten sposób nowy rozdział w historii ludzkości. [...] Odnieśliśmy zwycięstwo na Pacyfiku, ale zasialiśmy wiatr”.

„Times”: „Amerykanie stali się synonimem destrukcji. Jako pierwsi użyliśmy nowej broni o niemożliwych do przewidzenia skutkach, która może przyspieszyć nasze zwycięstwo, ale zasieje ziarno nienawiści jak nigdy dotąd”.

„New Republic”: „Wydaje się, że dewiza, iż ludzkość jako całość albo nauczy się żyć w pokoju, albo stanie w obliczu zniszczenia na nieprawdopodobną skalę, musi teraz być rozumiana dosłownie”.

Sondaż Gallupa, przeprowadzony kilka dni po zniszczeniu Hiroszimy i późniejszym ataku na Nagasaki, wskazuje, że 85 proc. respondentów popiera decyzję o zrzuceniu bomby. Taki pogląd trwa do dziś. W 2005 roku, w 60. rocznicę zbombardowania Hiroszimy, poparcie nie spada poniżej 53 proc.

Amerykanie nie wiedzą jeszcze o skutkach eksplozji. Generał Douglas MacArhtur, dowódca aliantów na Pacyfiku, utajnia wszelkie ślady i informacje o zniszczeniach. Zabrania fotografowania zrujnowanych budynków, pierwsze materiały dokumentalne zostają skonfiskowane przez amerykańskie władze. Trwa wielkie ukrywanie. Do projektu Manhattan zatrudniono w sumie ponad sto tysięcy osób, wydano na niego dwa miliardy dolarów. Oczywiście, że nie może być mowy o żadnych uchybieniach.

ZASŁONA MILCZENIA, ALE NIESZCZELNA

5 września 1945 roku na łamach „New York Herald Tribune” ukazuje się tekst „Hiroszima wciąż nie może uwierzyć”. Homer Bigart, znany dziennikarz i korespondent wojenny, jest na miejscu cztery tygodnie po wybuchu, zatrzymuje się tam na równo cztery godziny, by zwiedzić ruiny – kwartał za kwartałem spopielałych domów. Japońscy dziennikarze zadają mu dwa pytania: „Jaki wpływ wywrze ta bomba na wojny toczzone w przyszłości?”. Oraz: „Czy Hiroszima pozostanie miejscem niezdatnym do życia na siedemdziesiąt lat?”.

Bigart nie chce odpowiadać, bo nie zna odpowiedzi.

W tym czasie na Łamach „Daily Express” pojawia się depesza australijskiego reportera Wilfreda Burchetta: „Hiroszima nie wygląda jak zbombardowane miasto. Wygląda tak, jakby przejechał po niej monstrualny walec parowy i doszczętnie ją zgniotł. [...] Na tym tle wzięta szturmem wyspa na Pacyfiku wydaje się rajem”.

John Hersey, korespondent wojenny „New Yorkera”, uważa, że można podejść do sprawy inaczej. Postanawia pisać o tragedii ofiar, dramatach ludzkich, a nie o niszczycielskiej sile bomby i zrujnowanych budynkach. W sumie spędza miesiąc na wywiadach z mieszkańcami Hiroszimy, wraca do kraju z zebranym materiałem i omija pułapki zastawione przez cenzurę MacArthura. Na bohaterów wybiera szóst-



• **Załoga bombowca B-29 „Enola Gay”, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę. Pilotował płk Paul W. Tibbets** FOT. DOMENA PUBLICZNA

kę ocalałych: dwóch lekarzy, dwie kobiety, pastora kościoła metodystów i niemieckiego jezuitę. Każde z nich zastanawia się, dlaczego akurat oni uszli z życiem, gdy tylu innych zginęło.

Na tragedię Hiroszimy można wreszcie spojrzeć indywidualnie, dostrzec w niej konkretne twarze. Hersey uczy Amerykanów nowego terminu: hibakusha. Tak w Japonii mówi się na ofiary eksplozji.

Czytelnicy nie mogą uciec przed obrazami, jakie Hersey przywozi z Hiroszimy. Ludzie leżący byle gdzie i tak okrutnie poparzeni, że trudno odróżnić kobiety od mężczyzn. Zewsząd słychać krzyki dzieci wołających rodziców, rodziców płaczących nad ciałami dzieci. Na skórze wielu kobiet odbił się zarys kwiatów haftowanych na kimonach – od piekielnego gorąca.

Według Herseya ze 150 lekarzy w mieście 65 zginęło, a większość była ranna. Z 1780 pielęgniarek 1654 zginęły lub odniosły tak poważne obrażenia, że nie były w stanie kimkolwiek się zająć. Każda godzina przynosi nowe ofiary. Zapasy opatrunków, lekarstw i wszelkich środków medycznych spłonęły. Nieprzytomnych cuci się za pomocą whisky. Na pierwsze objawy choroby popromiennej lekarze dysponują tylko zastrzykami z kamfory i witamin.

Przez wiele tygodni po publikacji redakcja „New Yorkera” otrzymuje setki listów dziennie. Shepard Traube, reżyser filmowy, pisze, że tekst Herseya stanowi kamień milowy w amerykańskiej historii. I dodaje: „O ile dane nam będzie mieć jeszcze jakąś historię”.

Albert Einstein wysłał do siedziby „New Yorkera” pismo z prośbą o przesłanie egzemplarzy tygodnika. Potrzebuje tysiąca sztuk. Naukowiec zamierza rozesłać je do m.in. członków organizacji Emergency Committee of Atomic Scientists.

W 1954 roku, niecałe pół roku przed śmiercią, oświadczył: „W moim życiu popełniłem jeden wielki błąd – podpisując list do Roosevelta zalecający budowę bomb atomowych”.

BOMBA WIELKOŚCI ZAPALEK

„Hiroszimę” można traktować jako świadectwo swoich czasów. Hersey chwytą na gorąco moment „Błysku”, grozę, zdumienie i niedowierzanie wśród mieszkańców. Nikt jeszcze nie wie, co się stało.

Jedna z popularnych plotek krążących po mieście głosi, że Amerykanie rozlewają nad nim benzynę i w niewyjaśniony sposób natychmiast ją podpalają. Na każdym kroku pojawiają się kolejne hipotezy: to sproszkowany magnez, który eksplodował w zetknięciu z przewodami sieci elektrycznej, albo tajemnicza akcja spadochroniarzy. Chodzą nawet słuchy, że bomba była wielkości pudełka zapalek.

Nikt nie pojmuje ani nie wierzy w teorię, że miasto zostało zniszczone przez energię,



• **John Hersey (1914-1993), autor reportażu „Hiroszima”** FOT. DOMENA PUBLICZNA



• **Toyoko Kugata, 22-letnia ofiara ataku atomowego**

FOT. KURITA KAKU/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

jaka uwalnia się w chwili rozpadu atomu. Zresztą ta informacja nie od razu dociera do Hiroszimy.

Tylko jedna osoba może im to wyjaśnić. Cesarz Hirohito po raz pierwszy przemawia do narodu przez radio. Zwykli Japończycy nigdy wcześniej nie słyszeli jego głosu. „Głęboko rozważywszy ogólne trendy światowe, a także obecne warunki naszego cesarstwa, postanowiliśmy rozwiązać obecną sytuację, sięgając po środki nadzwyczajne...” – te słowa z trudem przechodzą mu przez gardło, ale nie ma złudzeń. Sześć dni wcześniej druga bomba spada na Nagasaki, Amerykanie straszą kolejnymi atakami, aż cesarz nie ogłosi kapitulacji. Decyzja jest nieunikniona. Nie ma odwrotu.

Niektórzy historycy są przekonani, że w 1945 roku Japonia była już pokonana i poddałaby się bez zrzucenia bomb.

Koszt wojny dla Ameryki jest bolesny: 405 799 zabitych i 670 864 rannych. Zabity lub ranny został 1 na 136 Amerykanów – takie dane przywołują Chris Wallace i Mitch Weiss w książce „Hiroszima 1945”. Japonia pochowa dwa miliony ludzi, jakieś cztery procent populacji.

Na całym świecie zginęły 72 miliony ludzi, w tym 47 milionów cywilów.

Liczenie strat trwa, świat zostaje wezwany do rozliczeń. Ofiary chcą, aby ich przeżycia ujrzały światło dzienne, zostały zapamiętane, trafiły do potomnych.

ADOPCJA MORALNA

Ludzie Hiroszimy nie chcą być tylko przedmiotem relacji amerykańskiej prasy, wołają sami opowiedzieć o sobie z tamtego dnia. Napisać swoją historię swoimi słowami.

Po Hiroszimie zaczyna krążyć pomańczowa książeczka z portretem staruszki na okładce. Osiemdziesięcioletnia kobieta z dzielnicy Minaki w Hiroszimie za sprawą niezwykle sugestywnych obrazów opisuje w niej, co widziała w dniu wybuchu: „Jaskółki ze spalonymi skrzydłami chodzą po ziemi i piszczą, nie mogą już latać. [...] W tamtym czasie wszędzie zaroilo się od much pijących ludzką krew”. Tak wygląda papierowa pamięć Hiroszimy.

Sześć lat po zrzuceniu bomby, z inicjatywy byłego rektora Uniwersytetu Hiroshima, profesora Arata Osada, rusza szeroka akcja wśród młodzieży szkół japońskich – mają uisnąć do spisywania osobistych wspomnień związanych z kataklizmem.

Zbrano ponad dwa tysiące autobiograficznych relacji. Nie ma przeżyć nieważnych, każde jest cenne, każdy pamięta ten dzień po swojemu, ale tylko sześćdziesiąt siedem trafi do książki „Testament dzieci Hiroszimy”. Najmłodszy autorzy w trakcie wybuchu mieli cztery lata. Najstarsi – dwanaście. Notują obrazy, fakty, przemyślenia, pogłoski, upamiętniają swoje historie. Do kluczowych tematów należą: strach, chęć życia i przetrwania, poczucie krzywdy i gotowość do przebaczenia. Cel jest jeden – obudzić ludzkie sumienia.

Sachhiko Habu, uczennica klasy piątej, w roku 1945 miała pięć lat: „Ponieważ mój dom znajdował się przy Togiya, niedaleko miejsca, gdzie spadła bomba, moja mama zamieniła się w biały proch [...] choć bardzo chcę, nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądała”.

Shunnen Arishige, uczeń klasy dziewiętej, w roku 1945 uczęszczał do klasy trzeciej: „Owego dnia, kiedy zrzucono bombę, z niewiadomych powodów nie kwapiłem się do szkoły. Później dowiedziałem się, że większość moich kolegów zginęła”.

Mitsugu Hanabusa, uczeń klasy dziesiątej, w roku 1945 uczęszczał do klasy czwartej: „Co zostało z Hiroszimy z chwilą, gdy nawiedził ją ów okropny błysk? Pozostała ponura sceneria, sterroryzowani, na pół martwi ludzie, wędrujący w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca – wyglądało to dokładnie tak, jakby ktoś roztoczył przed nami widok piekła”.

Atsuko Tsujioka, studentka wyższej uczelni: „Było w tym coś ze snu, coś z bezsensu”.

Cały czas, jak mantra, powtarzają się głosy na rzecz pokoju: „Nurtują mnie następujące sprawy: »Co to jest wojna? Co to jest pokój? Dlaczego potrzebujemy tej okropnej bomby, aby bronić pokoju?«”. „Wojna! To ona niszczy w okrutny sposób istoty, których nic nie jest w stanie zastąpić”. „Ludzie! Uchrońcie ludzkość od doświadczeń Hiroszimy!”.

Japoński parlament, w 4. rocznicę wybuchu bomby, ogłasza Hiroszimę „Miejsmem Pomnikiem Pokoju”. Nowa konstytucja przyrzeka, że Japonia nigdy nie będzie prowadzić wojny.

W tym czasie Hiroszimskie Stowarzyszenie Matek zaczyna wydawać czasopismo „Rzeki Hiroszimy”. Zbierają głosy zwyczajnych hibakusha, dowody ich codziennej walki o przetrwanie.

Na „Testament dzieci Hiroszimy” i inne wspomnienia reaguje dzien-



nikarz Norman Cousins, który przewija się w reportażu Herseya. Jest nimi zdruzgotany. Lektura nie pozostawia złudzeń. Apeluje, by Amerykanie dokonali „moralnej adopcji” hiroszimskich sierot i zaczęli wysyłać środki na ich wychowanie. Prezydent Truman nie przyjmie petycji w tej sprawie.

KELOIDOWE DZIEWCZĘTA

Cousins ma w zanadrzu wiele rozwiązań, pomysłów. Proponuje koncepcję rządu światowego, stworzenie międzynarodowej instytucji do kontroli broni atomowej i jednolitego systemu prawnego dla ogółu ludzkości. Formuluje tezę, że wszystkie wojny razem wzięte pochłonęły przez wieki 3 miliardy 640 milionów istnień. Liczba ta będzie cytowana w podręcznikach, sprawdzana na kartkówkach, dopiero za kilkadziesiąt lat wyjdzie na jaw, że Cousins ją zmyślił. Uznał, że jest wystarczająco wysoka, aby skutecznie nastraszyć ludzi.

W 1955 roku Cousins razem z wielobnym Kiyoshi Tanimoto odegra kluczową rolę w sprowadzeniu do USA dwudziestu pięciu kobiet hibakusha. Pod okiem amerykańskich specjalistów przechodzą one operacje plastyczne, które mają na celu przeszczep skóry, usunięcie blizn, rekonstrukcję powiek i brwi. Nie brakuje głosów krytycznych. Wiele osób uzna, że są narzędziem propagandy i asymilacji z wrogiem. Inni pytają, czemu operowano tylko panienki, a nie chłopców. Gazety nazywają je „keloidowymi dziewczętami”.

Jedna z nich, Tomoko Nakabayashi, umiera na stole operacyjnym. Japońskie gazety piszą, że dziewczyny to „króliki doświadczalne” w amerykańskich eksperymentach.

Amerykańskie media przemilczają ten wątek.

Kilka dziewcząt, na prośbę Cousinsa, leci z Nowego Jorku do Los Angeles, aby wystąpić w programie „This Is Your Life” na antenie NBC. W pewnym momencie w studiu pojawia się kapitan Robert Lewis, drugi pilot „Enola Gay” podczas nalotu na Hiroszimę. Gdy zamyka i przeciera oczy, czterdzieści milionów Amerykanów przed telewizorami myśli, że płacze. Tak naprawdę jest pijany. Na pytanie, czy tamtego dnia zapisał coś w dzienniku pokładowym, Lewis odpowiada: „Tak, napisałem: »Boże, co my zrobiliśmy?«”.

Pułkownik Paul W. Tibbets, dowódca Lewisa, zanotował po lądowaniu: „Świat już nigdy nie będzie taki sam. Wojna – plaga, która nęka rodzaj ludzki od zarania dziejów – teraz budzi niewiarygodną grozę”. Claude Eatherly, jeden z pilotów Hiroszimy, sporządził „Przykazania ery atomowej”. Prezydent Truman na propozycję producenta telewizyjnego, czy poleci do Hiroszimy na spotkanie z ocalałymi, odpowiedział: „Cóż, polecę, jeśli pan chce, ale nie będę całować ich w dupę”. Plan wyjazdu nie doczekał się realizacji.

Przez następne dekady Cousins będzie prowadził swoją kampanię przeciwko użyciu broni atomowej i utrwaleniu w pamięci losów Hiroszimy. Założył National Committee for a Sane Nuclear Policy (SANE). W latach 1948-64 wygłosi 2100 przemówień na rzecz pokoju.

W 1964 roku odbędą się letnie igrzyska olimpijskie w Tokio. Znicz niesie Yoshinori Sakai, dziewiętnastolatek urodzony w dniu zrzucenia bomby na Hiroszimę. Amerykańska prasa uzna, że wybór jest nie na miejscu, bo wpływa na sumienia Amerykanów i niepotrzebnie przypomina im o atakach.

Prawie dwadzieścia pięć lat po śmierci Cousinsa w parku Pokoju w Hiroszynie stanie pomnik jego imienia.

HIROSZIMA W KAŻDYM Z NAS

Hersey wraca do Hiroszimy czterdzieści lat później, by ponownie spotkać się ze swoimi rozmówcami. Opisuje pełne życia miasto, odradzające się nieczym Feniks z popiołów, z największą w Japonii liczbą restauracji i barów. Jednocześnie pisze o następstwach i powikłaniach spowodowanych chorobą popromienną. Niedobór białych krwinek, nowotwory, ślady reumatyzmu, zaćmy, kłopoty z wątrową, krwawe wybroczyny na nogach, przyspieszone starzenie. Istnieje obawa, że dzieci w Hiroszynie będą się rodzić zdeformowane. Cień bomby kryje się w organizmach ludzi, nie mówiąc o bliznach na psychice.

Jeden na dziesięciu mieszkańców Hiroszimy to hibakusha.

A jednak ocaleni zostają zepchnięci na peryferia społeczeństwa, knebluje się im usta. Pierwsza dekada od wybuchu to czas milczenia. Hibakusha są pozbawieni opieki i pomocy państwa. Młode dziewczęta, z keloidowymi bliznami na twarzach, są zamykane w domach, żeby nikt ich nie widział. Pracodawcy nie chcą zatrudniać ludzi dotkniętych skutkami zrzucenia bomby. Ustawa o specjalnej pomocy dla nich to fasada. Zdani są tylko na siebie.

Hersey stosuje przy tym ciekawy zabieg – w dramatyczne losy mieszkańców Hiroszimy mimochodem wplata doniesienia o kolejnych testach nuklearnych.

1 czerwca 1946 roku, na krótko przed rocznicą wybuchu w Hiroszynie, Amerykanie dokonują próbnej eksplozji atomowej na atolu Bikini.

23 sierpnia 1949 roku Radio Moskwa obwieściło, że także Związek Sowiecki zbudował bombę atomową.

W październiku 1952 roku Wielka Brytania przeprowadziła pierwszą próbę z bombą atomową, a Stany Zjednoczone z bombą wodorową.

13 lutego 1960 roku Francja dokonała na Saharze próby z bombą nuklearną. 16 października 1964 roku swoją pierwszą próbę przeprowadziły Chiny, które 17 czerwca 1967 zdetonowały także bombę wodorową.

18 maja 1974 roku Indie przeprowadziły pierwszą próbę nuklearną.

Szacuje się, że zgromadzony na Ziemi arsenał bomb i głowic jądrowych może odpowiadać kilku milionom eksplozji takich jak w Hiroszynie. Przywódcy krajów uzbrojonych w atom utrzymują, że jest to gwarancja pokoju, straszak, realna perspektywa wycofania broni z użycia.

Książka „Zapiski z Hiroszimy”, która powstaje dwadzieścia lat po wojnie, daje pełen obraz tego, co to takiego strach, choroba i żaloba spowodowane bronią atomową. Autor Kenzaburō Ōe, aktywista ruchu antynuklearnego i laureat Literackiej Nagrody Nobla, pisze o tym tak:

„Hiroszima jest w każdym człowieku w Japonii, w każdym człowieku na świecie [...] Wciąż nie ma widoków na prawdziwy i całkowity zakaz broni jądrowej – jak potworne musi być to dla mieszkańców Hiroszimy? Nie śmiem nawet przypuszczać”. ●



Hiroszima

John Hersey
Tłum. Jerzy Łoziński
Znak Literanova
2025



▲ „Napiętnowani”, obraz Marka Oberländera z 1955 roku

FOT. ZE ZBIORÓW
MUZEUM ZIEMI
LUBUSKIEJ

Człowiek Z ODWRÓCONĄ GŁOWĄ

Dla Marka Oberländera nie był ważny postęp, estetyka, czy zachodnie wzorce. Chciał przedstawić losy polskich Żydów.

Z **PIOTREM SŁODKOWSKIM**, HISTORYKIEM SZTUKI, AUTOREM KSIĄŻKI „KLIMAT ODWILŻY. OBRAZY MARKA OBERLÄNDERA”, ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

SEBASTIAN SŁOWIŃSKI: Obraz „Napiętnowani” Marka Oberländera zobaczyłem po raz pierwszy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie „Nigdy więcej”. I tak jak obraz utkwił mi w pamięci, to nazwisko autor już nie bardzo. Kim jest Marek Oberländer?

PIOTR SŁODKOWSKI: Polska historia sztuki pełna jest nazwisk, które się kojarzy, ale mało o nich wie. Marek Oberländer również nie jest artystą szeroko rozpoznawalnym, zwłaszcza że umarł w 1978 roku w Nicei, niemal w całkowitym zapomnieniu. A należał do ważnego nurtu sztuki powojennej, która, moim

zdaniem, cały czas może na nas intensywnie oddziaływać i coś nam mówić.

Moja przygoda z Oberländerem zaczęła się na tej samej wystawie, zostałem poproszony o napisanie eseju do jej katalogu i wtedy zakochałem się w tym malarzu.

Wyrzysły, ciemny obraz „Napiętnowani” przedstawia trzech Żydów z wymalowanymi gwiazdami Dawida na czołach. To niewątpliwie jego najbardziej znane dzieło. Zostało pokazane na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”, otwartej 70 lat temu, 21 lipca 1955 roku i od miejsca, gdzie się odbyła, zwanej po prostu Arsenalem. Tego samego dnia otworzono też Pałac Kultury i Nauki. Wystawa ta stanowi ważną cezurę, symboliczne przejście od stalinizmu do odwilży, czyli społecznej i kulturowej liberalizacji. Choć poli-

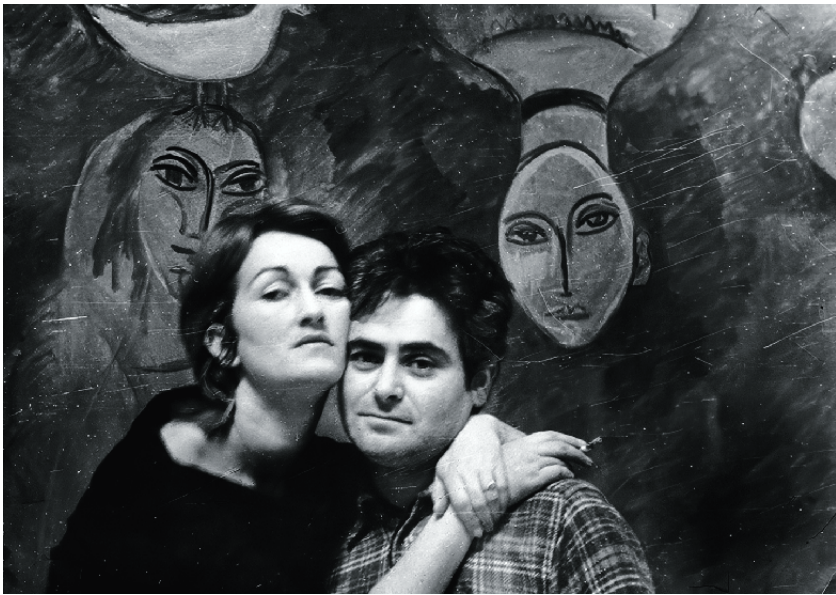


tycznie oczywiście odwilż związana jest z Gomulką i rokiem 1956, to w sztuce mówimy o niej już w roku 1955.

Na czym polegało to przejście na gruncie sztuki?
– Przede wszystkim na odejściu od socrealizmu w stronę sztuki nowoczesnej. W Polsce oznaczało to wtedy głównie malarstwo materii lub informel, czyli rodzaj swobodnej abstrakcji.

Oberländer był jednym ze współorganizatorów Arsenalu.
– Tak, ale to postać dużo bardziej skomplikowana i nie chciałem go w swojej książce redukować do jednego tylko, najbardziej znanego, obrazu. Był polskim, małomiasteczkowym Żydem, który w wieku 19 lat został wcielony do Armii Czerwonej. Wojnę spędził w różnych częściach ZSRR. Jest to historia nie do odtworzenia, choć staram się sugerować pewne możliwości, tropy, hipotezy. Do Polski wrócił w 1946 roku. Osiedlił się w Warszawie. I – podobnie jak wszyscy – starał się rozpocząć normalne życie. Stał się jednym z najważniejszych twórców lat 50., ale, co ważne, zaproponował całkiem inne myślenie o praktyce artystycznej. Dla Oberländera nie był ważny postęp, estetyka, wirtuozeria techniczna czy zachodnie wzorce. Skupił się na doświadczeniach biograficznych, chciał przedstawić losy polskich Żydów. Jego sztuka pozwala całkiem inaczej spojrzeć na kulturę odwilży.

W jakim sensie?
– Odwilż kojarzymy ze swobodą, liberalizacją, tryumfem sztuki nowoczesnej. Przecież właśnie wtedy Tadeusz Kantor przywiózł z Paryża rodzaj abstrakcji zwanej informelem. Tymczasem odwilż, którą znamy, z perspektywy żydowskiej nie tak bezproblemowo przekłada się na odwilż pamięci o Zagładzie. Dlatego Oberländer w tym gruntownie przeobrażonym świecie po 1955 roku starał się przebić z pamięcią o wojnie i jej żydowskim doświadczeniu.



Rok 1955 to też słynna „wystawa dziewięciu” w krakowskim Domu Plastyków, w ramach której zaprezentowano przeciwko socrealizmowi. O co chodzi z tą trudnością, żeby „przebić się z pamięcią”?
– Uznaje się, że w Polsce w sposób względnie swobodny mówiono o Zagładzie tylko zaraz po wojnie. Od końca lat 40. zaczęto natomiast tabuizować lub marginalizować jej znaczenia. Piszą o tym między innymi Jacek Leociack i Piotr Forecki. Chodzi o to, że żydowskie doświadczenie Zagłady wpisuje się w ogólne doświadczenie wojny, co prowadzi do uniwersalizacji i polonizacji tej pierwszej. Wystawa w Arsenalu, od której zaczynaliśmy, odbywała się przecież pod hasłem „Przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi”. Retoryka antyfaszystowska była jednym z elementów uniwersalizujących doświadczenia żydowskie.

Historyk sztuki Józef Sandel o pokazywanym w Arsenalu obrazie Oberländera pisał, że „to memento dla tych, którzy uchylają się od walki przeciwko rozpętaniu nowej grozy wojennej”. Po 70 latach wciąż widzi pan w tym dziele to memento?
– Sandel to bardzo wybitny badacz (Marta Kapelańska pracuje obecnie nad jego monografią). Ale akurat ten fragment cytat jest elementem wpisywania żydowskiego doświadczenia do tego uniwersalnego, do ogólnej retoryki antyfaszystowskiej. Tymczasem ja staram się spojrzeć na „Napiętnowanych” z dwóch innych perspektyw. Po pierwsze, Oberländer namalował ten obraz, wykorzystując oryginalne nazistowskie zdjęcie, na którym są anonimowe ofiary Zagłady. To jest gest etyczny, który ma te osoby upamiętniać. Ale w ten sposób artysta dopomina się też to, by traktować żydowskie doświadczenie wojny niejako osobno, jako doświadczenie unikalne w swej tragiczności.

Po drugie, co jest już bardziej swobodną interpretacją, wydaje mi się, że czerwone gwiazdy wymalowane na czołach tych Żydów dotyczą tematu tzw. żydokomuny, czyli głębokiego przekonanania, że Żydzi byli nadreprezentowani w instytucjach władzy, że Żyd to bolszewik etc. Jeśli zgodzimy się na takie odczytanie, które nie dotyczy tylko grozy wojny, obraz ten dotyka problemu antysemityzmu w ogóle, także tego powojennego.

Oberländer sam przecież był jego ofiarą.
– Tak, w swojej książce próbują zrekonstruować jego biografię, utkać ją w sposób jak najbardziej nieuproszczony. Do 1963 roku, kiedy malarz wyjechał z Polski do Szwecji, potem do Francji, sam ciągle doświadczał antysemityzmu. Aż do śmierci prowadził różnego rodzaju zapiski i pamiętniki, z których dowiadujemy się, że usta-

wicznie się z nim spotykał. O PRL-u pisał, że była to pustynia otoczona drutem kolczastym.
Odtwarza pan życie swojego bohatera, bo – jak pan wspomina w książce – biografizm to też metoda badań.
– Mamy coraz więcej wybitnych biografii i książek korzystających z tej metody. Wspomnę choćby ubiegłoroczną biografię Artura Sandauera pióra Justyny Koszarskiej-Szulc. W mojej książce nie chodzi encyklopedyczne wypełnienie luk, a raczej o projekt polemiczny.

Z czym pan polemizuje?
– Z uproszczonym obrazem myślenia o artyście, ponieważ historia sztuki przez wiele lat nie robiła problemu z kwestii tożsamości Marka Oberländera. Zakładano, że to Polak i kropka. A jego biografia świetnie pokazuje, że to bohater pogranicza, ani Polak, ani nie-Polak. Mniej lub bardziej płynnie mówił w czterech językach – jidysz, rosyjskim, polskim i francuskim – podróżował. Wiele czynników złożyło się na jego tożsamość, której nie można zredukować do „polskości”. Tak naprawdę nigdzie nie był u siebie. Takie szerokie ujęcia wydają mi się po prostu dużo ciekawsze, a pozwalają na nie problemowe rekonstrukcje biograficzne. Nie jest to narzucenie sobie obcych kategorii z zewnątrz, ale praca z materiałem historycznym.

Wciąż mam jednak wrażenie, że rozmawiamy o nieznanym niemalże artyście.
– To prawda. Uproszczenia to jedno, a druga rzecz – Oberländer jest znany fragmentarycznie, jako autor wspomnianego obrazu i Arsenalu, a także jako kurator. Tymczasem jego twórczość mówi bardzo wiele na temat miejsca Żydów w ówczesnej kulturze polskiej. Rozwija szalenie ciekawy cykl portretów osamotnionych postaci. Na przykład „Portret filozofa z małego żydowskiego miasteczka”, któremu poświęcam cały rozdział. Uważam, że ten obraz powinien na stałe wpisać się w kulturę wizualną okresu powojennego, odwilży. Formalnie to niezwykle prosty, syntetyczny portret, ale człowiek przedstawiony jest na nim z odwróconą głową. To symbolem tego, że Oberländer i jego żona, jak sami mówili, żyli po prostu z odwróconym głowami. Cały ich świat był odwrócony, na opak. Portret ma mnóstwo znaczeń, które zdają sprawę z przedwojennego życia w małym miasteczku, niemożliwego już do odtworzenia. A także z kondycji egzystencjalnej Żydów po wojnie. Ten filozof ma wyraźne, sine ślady po pejsach. Choć to subtelny malarski znak, wydaje mi się, że jest to niezwykle przenikliwa diagnoza sytuacji wielu polskich Żydów, którzy zdecydowali się zostać w kraju i często wybierali życie pod przybraną tożsamością, jako Polacy. Wielu Żydów, żyjących w czasie wojny po aryjskiej stronie (poza gettami) i pod zmienionymi, spolszczo-

• **Halina Pfeffer-Oberländer i Marek Oberländer w pracowni, koniec lat 50.**
FOT. ZE ZBIORÓW
ARCHIWUM EMIGRACJI
BIBLIOTEKI UNIWE-
RSYTECKIEJ W TORUNIU

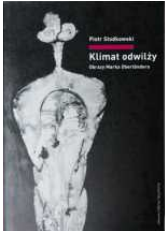
nymi nazwiskami, po wojnie nie wróciło do tych prawdziwych ani też do dawnych zwyczajów czy kultury. Głównie ze strachu. W tym sensie „Portret filozofa” jest bardzo przejmujący.
To może być podatny grunt dla coraz popularniejszego w badaniach humanistycznych marranizmu, zajmującego się tożsamością pod kątem tego, co ukryte, niewypowiedziane, sprzeczne. Ale patrząc na ten obraz mam, może nietrafione, skojarzenia z Chagалlem. To przecież on przekreślał twarze swoich postaci. I mimo tego skojarzenia, jednak nie sposób nie zauważyć, że jest w tym coś makabrycznego. Odwrócona twarz to coś potwornego.
– Owszem, to forma niezwykle dramatyczna. Marek Oberländer poprzez swoją sztukę ciekawie problematyzuje wiele kwestii społeczno-politycznych, także uciekając się do wyrazistych środków artystycznych.

Oprócz słynnych „Napiętnowanych” i serii portretów jest także inna estetyka malarska Oberländera, którą moglibyśmy nazwać abstrakcją organiczną.
– Tak, to przede wszystkim cykl „Figury”, bardzo ciekawy, ponieważ wchodzi w dialog z głównym nurtem sztuki swojego czasu. Odwilż, jak mówiliśmy, to w malarstwie tradycja informelu, malarstwa materii, abstrakcji gorącej, organicznej. „Figury” faktycznie czerpią z tej tradycji, ale nie są tylko stylistycznymi zapożyczeniami. Oberländer wyraźnie dialoguje z tą estetyką, wie, do czego chce jej użyć, to nie jest zabawa formą, sztuka dla sztuki. On chce przekroczyć horyzont estetyczny, jego „Figury” to amorficzne pozostałości ciał, kadłubki, szczątki. To uparcie powtarzane reprezentacje ludzi, którzy zginęli w Zagładzie. To najbardziej syntetyczna w jego twórczości wizualna forma przemocy i obraz ofiar Holokaustu.

Wspominał pan przed naszą rozmową, że zajmowanie się tematami marginalizowanymi, jest, czy powinno być, swego rodzaju odporem wobec zwrotu konserwatywnego, który dziś bardziej niż z dobrze pojętym konserwatyzmem związany po prostu jest ze skrajną prawicą i populizmem.
– Wierzę, że uprawiając humanistykę, nie powinniśmy zamknąć się w wieży z kości słoniowej. Trzeba podejmować tematy ważne współcześnie, sprawy, którymi żyjemy. Badania nad sztuką Marka Oberländera uczą nas uważności, wrażliwości, empatii dla innych, bo jego sztuka domaga się od widza patrzenia i widzenia w sposób refleksyjny i nieautomatyczny. W książce wydobywam szalenie ważną kategorię, którą sam Oberländer nazwał „instynktem sprawiedliwości”. Na rozdartej karteluszcze, która miała wszelkie prawo zagiąć, a jednak nie zagięła, napisał, że w swoich pracach odnosi się właśnie do „instynktu sprawiedliwości, który każdy człowiek w sobie nosi lub powinien nosić”. Ta myśl przypomina późniejsze napomnienie Zygmunta Baumana, aby swojej postawy nie opierać na sztucznych kodeksach, lecz na wewnętrznym popędzie moralnym. To wszystko jest ważne zwłaszcza dzisiaj, kiedy mamy tyle populizmu, hejtu, uproszczeń. Kiedy na co dzień spotykamy się z wrogością wobec migrantów. I kiedy coraz śmielej zakłamuje się historię, czego ostatnim przykładem jest karygodna dyskusja o nieobecności komór gazowych w Auschwitz. Jestem pewien, że tu i teraz postawa i cnoty intelektualne, których Oberländer wymagał od widza, są godne przypomnienia i pielęgnowania. Dlatego warto wracać do przeszłości, by przyszła nam z pomocą. ●



• **Piotr Ślódkowski**
FOT. SŁAWOMIR
KAMIŃSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL



Klimat odwilży. Obrazy Marka Oberländera
Piotr Ślódkowski
słowo/obraz, terytoria



Kto czyta książki, ten żyje podwójnie” – powiedział Umberto Eco, swoją myśl zawierając w zbiorze felietonów „Zapiski na pudełku od zapalek”. No bo wszak żyje nie tylko swoim życiem, ale i życiem wszystkich bohaterów książek, które czyta. Wie więcej, czuje więcej, myśli więcej, więcej sobie wyobraża, więcej marzy. Więcej żyje.

Światowy Dzień Miłośników Książek, National Book Lovers Day, obchodzony jest na całym świecie właśnie 9 sierpnia. Kto i gdzie wpadł na ten pomysł? Nie wiadomo. Za to wygląda na to, że najstarszą znaną nam książką jest datowana na VI w p.n.e. tzw. Złota Księga Etrusków, odkryta w Bułgarii w dolinie rzeki Struma. Składa się na nią sześć złotych płytek połączonych obręczami wykonanymi z tego samego kruszcu.

Ta pozycja jest absolutnie unikatowa, a jaką książka rozeszła się w największej liczbie egzemplarzy. Szacuje się (właśnie tak, bo w tym przypadku nie da się tego dokładnie określić, taką daną znajdziemy m.in. w „Britannice”), że jest nią „Don Kiszot”. Powieść Miguela Cervantesa miała rozejść się w 500 mln egzemplarzy.

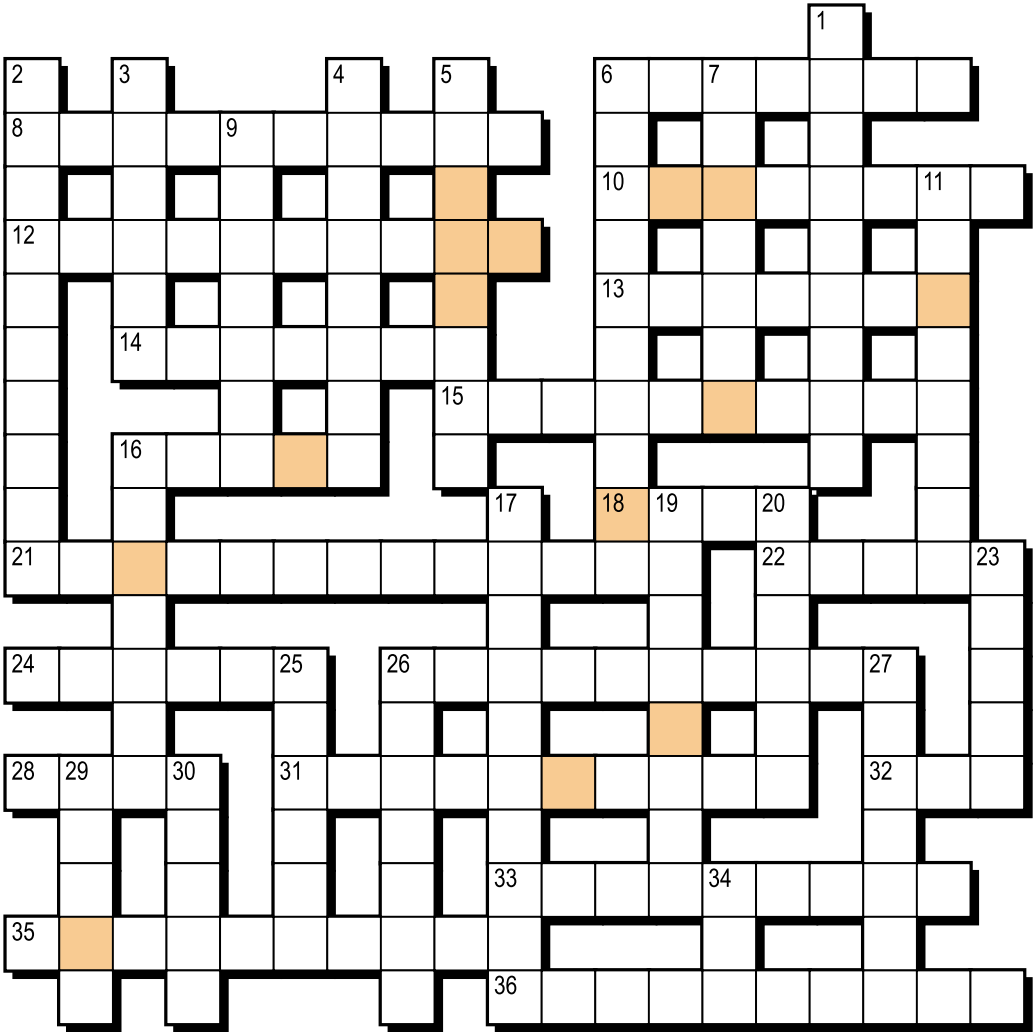
Za błędnym rycerzem z La Manchy plasują się „Opowieść o dwóch miastach” Karola Dickensa (200 mln) i „Władca pierścieni” J.R.R. Tolkiena (150 mln). Dalej jest „Mały książe” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego oraz „Harry Potter i kamień filozoficzny” J.K. Rowling.

To tyle, jeśli chodzi o powieści. Bo najwięcej rozeszło się egzemplarzy Biblii: serwis Words Rates i „Księga Rekordów Guinnessa” podają zawrotną liczbę 5-7 mld egzemplarzy, a co roku drukuje się jej ok. 100 mln.

Z pewnością wszystkie te pozycje znajdziemy w największym prywatnym księgozbiorniku świata, który należy do Johna Q. Benhama ze stanu Indiana. W kolekcji jest ponoć 1,5 mln książek, które zajmują dom, garaż na 6 samochodów, dwa pomieszczenia magazynowe, a nawet ułożone są w stosach przykrytych plandekami na dworze.

Być może jest tam i moja ukochana książka, czyli „Gra Endera” Orsona Scotta Carda, którą już sam nie wiem, ile razy przeczytałem. Może zresztą przeczytam ją po raz kolejny, by w ten sposób celebrować Dzień Miłośników Książek. Bo myślę, że Umberto Eco miał rację. A Wy?

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



**Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 165 z 2.08:**

Poziomo: 2) cesarze
5) Azincourt 9) Zama
10) Trafalgar 11) Orda 13) Marna
15) przebieg 16) pogromy
19) Nelson 21) Bzura
22) Leonidas 25) Maraton
26) Stalingrad 30) Anders
31) wódz 32) morze 33) książę
34) Berezyna 35) Matejko
36) Verdun.

Pionowo: 1) Jungingen
2) Cezar 3) Somma 4) Zbaraż
6) Iganie 7) Czarniecki
8) Termopile 10) Tobruk
12) Aleksander 14) Neron
17) Cud nad Wisłą 18) flota
20) Oka 21) bitwa 22) las
23) Dunkierka 24) strateg
25) Midway 27) Turcja 28) Lee
29) Edward 33) Kanny

HASŁO: FRONTALNE ATAKI

KRZYŻÓWKA KSIĄŻKOWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

6) imię chłopca – bohatera „Niekończącej się opowieści”
8) ukochane sklepy moli książkowych
10) „Będzie festyn na Dzień Dziecka, są ... literackie”, w tekście piosenki „Kultura” zespołu Zielone Żabki
12) „... książek”, sfilmowana powieść Markusa Zusaka
13) np. Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie
14) tomiki poezji
15) zatopieni w lekturze powieści, poradnika

16) temat utworu fabularnego rozwijany przez autora, np. ... miłosny w powieści

18) Dyskusyjny ... Książki (DKK)
21) powieść „o sobie samym”
22) mebel z półkami na książki
24) ... rzeka, długa rozmowa, którą można opublikować w formie książki
26) wydawnictwo, do którego chętnie sięgnie turysta
28) Homer jako autor „Iliady” i „Odysei”
31) autor dzieł literatury pięknej
32) nazwisko autora powieści „Imię róży”
33) Bolesław Prus lub Henryk Sienkiewicz jako autor krótkich utworów literackich
35) pisane przez Jana Chryzostoma Paska
36) jedna książka (... autorski)

Pionowo:

1) nazywana największą encyklopedią świata
2) zagięte części obwoluty
3) nazwisko jednego z polskich laureatów Literackiej Nagrody Nobla
4) dzieło literackie wydane ponownie, bez zmian
5) „Klub ...”, powieść Karola Dickensa (wpisujemy w mianowniku)
6) mają katalogi, co jakiś czas przeprowadzają skontra
7) przystawiony na niektórych stronach książki w zasobach biblioteki
9) bok książki od strony zszycia arkuszy
11) osoba prowadząca dziennik; pamiętnikarz
16) uzupełnienia, dopiski naniesione w rękopisie

17) potocznie: zniszczenie książki na skutek częstego sięgania do niej
19) francuskie wydawnictwo kojarzone z encyklopediami
20) ... wydawnicza (sektor gospodarki)
23) „Nie czytasz? Nie idę z tobą do ...”, tytuł kampanii społecznej (wpisujemy w mianowniku)
25) pierwsza powieść pisarza
26) ... książek przez niemieckich nazistów, miało miejsce w 1933 r.
27) wypowiedź aktora w sztuce
29) symbol natchnienia poetyckiego
30) czytelnicy – w szkole, w salonie albo w pokoju dziecka
34) nazwisko autora „Dzienników gwiazdowych”

Leszek Rydz

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

**SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY**

**APLIKACJA
WYBORCZEJ**

Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

POBIERZ
Google Play

Pobierz w
App Store